

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**STEFAN ŻEROMSKI**

**SNOBIZM  
I POSTĘP**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*„Pawiem narodów byłaś i papugą”*

**JULIUSZ SŁOWACKI**

*„Wrony pragną popisywać się pawimi piórami, -  
i doprawdy, nigdy i nigdzie jeszcze od czasów Ezopa  
nie było na świecie tak wiele wron tego rodzaju,  
jak w Anglii, gdzie one noszą nazwę snobów.”*

**WILLIAM MAKEPEACE THACKERAY**

**THE BOOK OF SNOBS**

# ROZDZIAŁ 1

W życiu umysłowym części społeczeństwa, zwanej inteligencją, częstokroć przewija się pojęcie, a w potocznej rozmowie brzmią terminy *snob* i *snobizm*. Najogólniej rzecz biorąc, za pomocą wyrazu *snob* określa się i charakteryzuje osobnika, uprawiającego z zamiłowaniem pretensjonalny dandyzm, przestrzegającego kanonów mody z przesadą i nadmierną pieczołowitością. Snobizm w najpowszechniejszym mniemaniu jest to pozowanie na jakiś autorytet, - na opanowanie pełni wiedzy o jakiejś dziedzinie życia, - przestrzeganie aż do granic śmieszności umówionych, modnych przepisów dobrego tonu, praw czy przesądów, uznanych za najniewątpliwiej doskonale i wykwintne przez osobistości miarodajne, stanowiące wzór obowiązujący, bezwzględnie godny naśladowania w danej sferze, czy w dziedzinie. Lecz te wyrazy *snob* i *snobizm*, w miarę operowania nimi, przykładania ich do coraz to innych zjawisk życia, nasiąkły wieloraką treścią, nabrzmiały od rozmaitych znaczeń. Nazwę *snobizmu* noszą częstokroć w mowie i piśmie objawy wszelakich przesądów i zgoła głupoty, - wady, wynikające z unikania naturalności i szczerości, a również najistotniejsza cecha natury ludzkiej, czyli arystokratyzm. Osobistość dotknięta przymiotem *snobizmu*, w mniemaniu, iż sposobem naśladowania, posiadała pełnię wiedzy o doskonałości w jakimś zakresie życia, ośmiesza nieustannie innych, nie pasujących do idealnego wzoru, wyszydza braki, których ona wyzbyła się pracowicie, studiując swój ideał. Nie wie zaś wcale o tym, iż sama jest przedmiotem pośmiewiska, dzięki właśnie ślepemu naśladowaniu wzorów. Krytyczny rzut oka wyższości prawdziwej, a nawet pospolity akt zdrowego rozsądku, w lot spostrzega złośliwie to usiłowanie obnoszenia wyuczonych doskonałości, - wyróżnia natychmiast najistotniejszą cechę *snoba*, iż nie interesuje go w gruncie rzeczy wartość, albo nicość jakiejś sprawy lub rzeczy, lecz jedynie jej powodzenie wśród ludzi, - i ową kreaturę bez poczucia wartości spraw, rzeczy i siebie samej, bez orientacji własnej w chaosie zjawisk i pojęć, bez prawdy wewnętrznej, wdzierającą się przemocą na miejsce prawdziwie dostojnych, strąca z rusztowania wyniosłości na poziom *snobizmu*. Wyraz „*snob*” powstał w Anglii. Zazwyczaj termin ów i całą sprawę *snobizmu* łączy się z nazwiskiem Williama Makepeace Thackeray’a, który w istocie gatunek „*snob*” rozklasyfikował i każdy typ usiłował z zamiłowaniem określić. Thackeray utrzymuje w swej książce p. t. *The Book of Snobs*, iż „całe społeczeństwo angielskie wyróżnia się od innych właśnie *snobizmem*, ponieważ na wszystkich stopniach drabiny społecznej Anglik kłania się przed wyższymi, a zadziera nosa wśród niższych”. Co prawda ironista, czy satyryk jakiegokolwiek społeczeństwa dostrzegłby na pewno tę samą cechę w swoim własnym narodzie i swojemu tę dominującą cechę przypisał. Thackeray nie jest odkrywcą, czy wynalazcą terminów - *snob* i *snobizm*. Spotkał on ten wyraz gotowy jako prastarą, niezniszczalną i żywą formułę, w polu swej obserwacji za czasów pobytu (od lutego 1829 do marca 1830 roku) w *Trinity College* uniwersytetu w Cambridge. Od najdawniejszych czasów, - kto wie, czy nie

od owej doby na początku trzynastego wieku, gdy trzy tysiące studentów porzuciły Oxford, a część ich udała się do Cambridge, - od czasów, gdy wielu studentów przybywało tam również z Paryża „*e diversis partibus, tam cismarinis, quam transmarinis*”, - od chwili pierwszego podziału obywateli tego uniwersytetu na *australes* i *boreales*, - poprzez wieki - pisano we właściwej rubryce obok nazwisk młodzieńców studiujących a wysoko urodzonych, należących do *nobility* i *gentry*, do *county - families*, czyli mieszkających w dobrach swych na wsi, - właściwe ich tytuły i wymieniano godności - *esquire*, dający prawo do tytułu *sir, knight, count*, najdawniejszy tytuł noblesy angielskiej, duński *earl, marquis, lord, baronet* (od czasów Jakóba I-go). Natomiast w tejże rubryce, określającej stanowisko społeczne i pochodzenie uczniów uniwersytetu w Cambridge, obok nazwisk młodzieńców, wywodzących się ze sfery ludzi niezamożnych, wieśniaków, wiejskich dorobkiewiczów, rzemieślników, drobnych kupców, żeglarzy, wojskowych i tym podobnych „niższych zawodów” - wypisywano *sine nobilitate*, a w skróceniu - *s. nob. \**} Ci to synowie kmieci, „łyczkowie” z pochodzenia, czyli świat żaków, gawieź *sine nobilitate, servitors*, gmin, usiłujący za pomocą uniwersytetu zrobić karierę, wdrapać się wyżej, podpatrujący wciąż i na każdym kroku świat, obyczaje, postępowanie i maniere paników, był prawozorem, zaczątkiem i niejako klasą snobów. Zawzięcie i żarliwie podpatrywali wszystko, co poczynają i przedsięwzięją panice, w jaki sposób pracują i próżnują, w jaki sposób odżywiają się i bawią, jak się ubierają i jakie stąd wynikają mody, obyczaje i przepisy, Z pasją właściwą naturze ludzkiej, dążąc do utożsamienia się z tamtymi, wszystko, co spostrzegli, naśladowali, oczywiście, nieudolnie, głupio, zabawnie i bez znajomości rzeczy. Ślepe naśladowanie - otóż i najistotniejsza, podstawowa cecha snobizmu. Już dwa kolegia dla biednych studentów, założone przy kościele świętego Piotra w Cambridge przez Hughes'a de Balsham biskupa d'Ely były dwoma gniazdami snobizmu. A trwając i rozwijając się poprzez stulecia, i obecny podział świata studenckiego w Cambridge na klasy: *Fellow, Commoners, Noblemen, Scholars, Pensioners, Sizars, Sub - sizars* - wskazuje na nieustanne współżycie tych dwu światów: magnaterii i żaków. Ubogie „sajzary”, otrzymujące lokal, lub małe pensyjki, pilnie patrzą na postępowanie, zabawy, życie klubowe, obyczaje i tysiączne szczegóły pensjonarzy, suto płacących za stół i mieszkanie, muszą szczególnie uczyć się wszelakiego sposobu bycia, który panuje w świecie studentów, należących i dziś jeszcze do klasy *Noblemen*, gdy po szczęśliwym złożeniu egzaminów uda im się samym przekroczyć progi upragnionego klanu *Pensioners* i stać się członkami owego wyższego świata w państwie uniwersyteckim. Szlachetny i nieulekły W. M. Thackeray w rozdziale o snobach uniwersyteckich swej znakomitej książki z pasją przedstawia te stosunki, pisząc:

„Przejdźmy się za pięć szylingów i zobaczmy, co się dzieje w kolegiach: ujrzymy tam, że jeden z młodzieńców poważnie defiluje w todze, *cap and gown* profesora, drugi ozdobił swój aksamitny beret złotymi i srebrnymi oblamowaniami, a trzeci pokornie nosi swój berecik bez chwaścika. Pierwszemu z nich wolno wszystko, ponieważ jest to *Noblemen*. Młodemu lordowi uniwersytet przyznaje stopień naukowy po dwu latach studiów, a zwykłym śmiertelnikom - po siedmiu. Oprócz tego tamten, pan, nie ma obowiązku zdawania egzaminów. Młodzieńcy w beretach ze złotymi i srebrnymi ozdobami, to synowie ludzi bogatych. Aczkolwiek nie należą do arystokracji, wolno im jest odżywiać się lepiej, niż kolegom, tudzież pić wino przy stole, do czego tamci nie mają prawa. Nieszczęśliwi młodzi ludzie bez chwaścika na czapkach noszą w Oxfordzie nazwę *Servitors* (nazwa w istocie nobliwa i pełna subtelności). W ro-

dzaju odzieży ich musi być zachowana różnorodność, ponieważ są to ludzie biedni, to też im nawet nie wolno obiadować przy stołach wspólnych, obok bogatych i znakomitych kolegów”. W. M. Thackeray stwierdza, iż za jego czasów najlichszymi w galerii snobów uniwersyteckich byli nieszczęśliwi młodzieńcy, rujnujący się literalnie aż do zguby wskutek manii naśladowania znakomitych i bogatych kolegów. Smith zaznajamia się z *noblemen'ami* i zaczyna wstydzić się swego ojca, sklepikarza. Johns pozostaje w stosunku znajomości, żyje wesoło i lekkomyślnie, rujnując siostrę i brata, dlatego tylko, żeby móc odwzajemnić się wydaniem obiadu dla lorda, albo jechać konno w towarzystwie sir Johna.

Wstrętny typ snobów stanowili komiczni plebejusze, nie znoszący, na przykład, polowania, lękający się tej całej zabawy w myślistwo, a, co ważniejsza, nie posiadający wcale środków po temu, ażeby móc sobie pozwolić na tego rodzaju zabawę, lecz polujący zajadle, ponieważ w danym polowaniu brali udział koledzy lordowie. Rozpatrzywszy całą drabinę życia społecznego Anglii ówczesnej, kreśląc typy (a, po prawdzie, karykatury) snobów na dworze monarchicznym, w sferze arystokracji, nade wszystko zaś wśród pół-arystokratów, w sferze osób „porządnych”, grubej burżuazji, stanu wojennego, w świecie klerykalnym, uniwersyteckim, w literaturze, w Irlandii, wśród Anglików, wędrujących po kontynencie, na prowincji, w klubach, w małżeństwie, W. M. Thackeray przestaje być spokojnym, wesołym obserwatorem obyczajów, chwytając się satyry i uderza przede wszystkim na konserwatywny ustrój Anglii. „Jakimże sposobem moglibyśmy uniknąć snobizmu”, - pisze z pasją, - „skoro mamy zadziwiający instytut narodowy, specjalnie w tym celu utworzony, dla rozwoju i kultu właśnie snobizmu. Jakimże sposobem moglibyśmy uniknąć czci lordów? Ciało i krew zmusza nas do tego. Któryż to z naszych ludzi zdoła oprzeć się tej niezmiernej pokusie? Pobudzani przez siłę, zwaną szlachetnym współzawodnictwem, ludzie dążą do osiągnięcia godności i zaszczytów, - osiągają je wreszcie. Inni, zbyt słabi, albo nikczemni, zachwycają się na ślepo, a nawet po prostu czołgają w zachwycie przed szczęśliwymi posiadaczami dostojęństw”.

W „Księdze snobów”, tej galerii figur, karykaturalnie naszkicowanych węglem satyryka i ironisty, W. M. Thackeray rysuje jednak parę małżeńską Gray'ów, adwokata bez praktyki i jego żony, parę, która stanowi dwa typy dodatnie w rozumieniu tego autora, właśnie wskutek lekceważenia form uświęconych przez snobizm ich gościa. Gray i jego żona to postaci jasne i naturalne, postawione może umyślnie dla kontrastu i uwypuklenia nieszczeroci, fałszu obyczajowego, czci nabożnej dla uświęconych przez tradycję form towarzyskich i społecznej obłudy, - to typy rasy ludzi szczerych i właśnie przez tę szczeroci dostojnych. W szczegółowym przeciwstawieniu obiadu u Raymonda Gray'a spotykają się tedy dwa typy dostojęstwa: niewątpliwie istniejące, usankcjonowane przez cały ustrój angielski, - oraz drugie, nowe, a jednak istotne, wyzute ze wszelkiej blagi życiowej, idące za wskazaniem własnej wewnętrznej prawdy jednostek. Zachodzi tedy konieczność wyjaśnienia, co właściwie zawiera w sobie owo określenie - dostojęstwo, *nobilitas* starożytnych, a czym jest owa niejasna formuła - *sine nobilitate*, czyli późniejszy snobizm.

Przymiotnik słowny *nobilis* pochodzi od słowa *nosco*, co znaczy - rozumiem i wiem. W skrócie, wskutek synkopy, przymiotnika *nobilis* ukrywa się tedy pierwotna forma *noscibilis*, czyli wiedzący, znający się na rzeczy, świadomy. W łacinie pierwotnej, jak podają znakomite jej słowniki, zamiast późniejszego *nosco*, pisano *gnosco* i *gnosibilis* zamiast startego i urobionego później *noscibilis*. *Nobilis* jest to wyraz wieloznaczny, obejmujący szeroką i wieloraką sferę przymiotów. Wyraża tedy to samo, co *cognus* i *notus*, znany z dobrej, lub złej strony,

jako to: „*Nobilis rhetor*”... *Demetrius ex doctrina nobilis et clarus*...” „*Multi in philosophia praeclari et nobiles*...” *Nobilis oratio*...” „*Nobiles libelli*...” ale również „*Scortum nobile ac libertina*”.

W innym znowu sensie *nobilis* znaczy to samo, co *insignis* (odznaczający się), *famosus* (głośny), *excellens* (celujący), *celeber* (słynny), *conspicuus* (znaczny), więc *nobilis nomine et armis, claro genere ortus, nobilis natu*, - a wreszcie po prostu *bonus* (zaczny), *probus* (rzetelny), *honestus* (godziwy), *generosus* (szlachetny), *liberalis* (godny męża wolnego), *ingenuus* (szczerzy otwarty).

*Nobilitas* - abstraktum przymiotnika *nobilis*, - zamiast prastarego *notabilitas*, - oznacza na ogół rzecz, albo pojęcie jakie wzniosłe. Wyrazu tego używano, - zwłaszcza w łacinie średnio-wiecznej, - jako tytułu wyróżniającego, dla oznaczenia prerogatyw, praw honorowych, dzieł z zacnych i zaszczytnych, wreszcie - majątków ziemskich. W znaczeniu obszerniejszym *nobilitas* jest wyrazem określającym miękkość i elegancję obyczajów, a więc to samo, co *urbanitas*, czyli wielkowiejskość, w przeciwieństwie do parafianstwy, - sposób postępowania, właściwy człowiekowi „urodzonemu”, szlachetnemu z pochodzenia, *amplitudo* (szerokość gestu), *magnificentia* (wspaniałomyślność), - a dalej, *nobilitas* - to dalekość rozgłosu, sława, dzięki której jakaś osoba, czy sprawa znana jest powszechności, - *excellencia* (wyróżnienie się, dostojność wartości, szlachetność), *fecunditas* (obfitość zasobów, powaga i czystość rodu). „*Nobilitas sola et atque unica virtus*”.

Jest to więc wysokość i moc ducha, ufność i pewność siebie, śmiałość nieustraszona, duma, rodząca się ze wspaniałości serca.

Czasu cesarzy rzymskich tytuł *nobilis* i *nobilissimus* przysługiwał jedynie braciom i siostrze cesarza, skoro podniesieni zostali do specyficznej godności nobilitatu. Tytuł ów brzmiał wówczas: *nobilissimus princeps*. Wreszcie *Nobilitas* czczona była wręcz, jako bóstwo i upostaciowana w osobie bożyszczka, trzymającego oszczep w prawicy.

Skoro suma, a choćby tylko część wymienionych wyżej przymiotów ludzkiego ducha skupiła się w jakiejś jednostce, to ta osobistość budziła, oczywiście, wśród słabszego ciała i duchem otoczenia uczucie czci, a nawet trwogi.

Ludzi tej miary, a także ich potomstwo, otaczała legenda i zabobon. Indyjscy brahmini, klasa posiadająca najwyższe przymioty intelektualne, oraz kshatryowie, klasa wojowników, pochodzą, według wierzeń, klechd narodowych i pieśni, z ust i ramion bóstwa. Japońscy samurajowie są potomkami legendarnych bohaterów a najwyższy z nich, mikado, jest synem samego słońca. Arystokracja w Chinach, w Egipcie, u Semitów, w Grecji i w Rzymie jest piastunką bohaterstwa, a zarazem grupą, znającą się na tajemnicach religijnych, sekretach, postrach budzących, na prawach, które otaczają narodziny, życie i śmierć. *Eupatrida* i *pater familias*, jako założyciel rodu, jest zarazem kapłanem i wodzem wojennym. Patriarcha i szejka posiada również obadwa te znamiona potęgi i władzy. W zaraniu bytu każdego społeczeństwa widać grupę, znającą się na sprawach tajemniczych, władczą, rządzącą i panującą. Człowiek silny, dzielny, nieulekły i niezwyciężony, znający się na sposobach walki, na czarach, otoczony sympatią bóstw opiekuńczych i pozostający w zмовie z duchami przodków występuje we wszystkich epopiejach wszystkich narodów. Zamiast uciekać, jak inni, ratować swe życie, gdy wróg zewnętrzny nachodzi ojczystą dziedzinę, zgadzać się na płacenie okupu i haraczu, przyjmować znaki niewolnictwa, staje na czele wojowników, naśladowujących go w sposobach walki i w męstwie, nastawia



pierś, wyteżę ramiona, wznosi obronny miecz, osłania sobą ziemię i państwo. „Wszystką Rzeczpospolitą na rękę piastuje”, jak mówi o sobie hetman Żółkiewski. Jest to panosza i władka. Taki żyje w wiecznej pamięci i legendzie wszystkich narodów, jako Leonidas, Judas Machabejczyk, Cyd Campeador, Joanna d’Arc, Bayard, Arnold Winkelried, Ryszard Lwie Serce, Saladyń, królewicz Marko, Czarniecki, Kościuszko... Potomek bohatera, władcy, dostojnego męża dziedziczy nie tylko jego przymioty, lecz i sumę czci, postrachu i uwielbienia w pospolitym ludzie. Imię i nazwisko tamtego, jakoby cząstka jego istoty, przechodzi na potomnych. Posiadaczowi czczonego imienia wiara powszechna przypisuje moc posiadania czarodziejskich praktyk, albo niezwykłej siły ducha prarodzica. Stąd pochodzą gusła, odprawiane nad osobą, nad częściami ciała, nad włosami noworodka, ażeby mu wraz z imieniem, wróżącym wielkość, nadać moc i potęgę praszczurów.

*Nobilis* w Rzymie, to przede wszystkim ten, kto może wskazać na swego protoplastę, ojca rodu, przodka. *Nobilis* mógł wykazać się pochodzeniem od ludzi, którzy spełnili sławne uczynki dla dobra rzeczpospolitej, albo nią tajemnie zarządzili za pomocą swego znawstwa rzeczy niedostępnych. *Nobilis* mógł przedstawić podobizny przodków - *patres*. *Ignobilis*, czyli *novus*, to człowiek, nie posiadający portretów przodków. Z dała wpływu rzymskiego, na drugim końcu Europy i romańskiego świata, w społeczeństwie rosyjskim, elita arystokratyczna, wywodząca się z krwi rurykowiczów, albo jagiellonidów, a więc około sześćdziesięciu rodów, nosi nazwę *znat*. W swoistym, czysto słowiańskim brzmieniu nazwa ta oddaje to samo, co łacińskie *gnosco* i *nosco* - poznanie, wiedzę. *Znat* - jest to wśród ciemnego i zabobonnego pospólstwa zbiorowisko i środowisko ludzi *znatnych*, znających się, wiedzących, świadomych, posiadających sekrety, - czyli dosłowne tłumaczenie wyrazu *nobilitas*. W zaraniu dziejów Rusi księżniczka Olga z domu Ruryka nosi nazwę „Premudraja”, gdyż za pomocą przebiegłych sztuk i podstępów pokonywała nieprzyjaciół. Jarosław Pierwszy, praszczur książąt „udzielnych” nosi miano „Mądry”. Włodzimierz Manomach pisze swe „Pouczenie dla dzieci” w epoce powszechnej ciemnoty. Za czasów Borysa Godunowa, gdy za posiadanie książki karano śmiercią, a sztukę pisania i czytania posiadał tylko „dumnyj dijak”, książę Mścisławski, sam jeden na obszarach nieobeszłych carstwa, trzymał w piwnicy bibliotekę, jako w istocie jedyny wśród bogatych i biednych „chołopów carskich” - *nobilis*.

W społeczeństwie angielskim *nobility* objęła tylko parów, lordów, dostojników, należących do *Hause of peers*, z wykluczeniem jednak ich rodzin. *Gentry* (właściwie frakcja arystokratyczna w izbie gmin) nadaje swym członkom tytuł *gentlemen*, dla odróżnienia od parów - *noblemen*. Z biegiem czasu, skoro ilość parów stała się nieograniczoną, i gdy korona posiadała prawo udzielania tego tytułu w nagrodę zasług mężom stanu, uczonym i pisarzom, ilość tych nowoczesnych ojców rodu wzrosła bardzo wydatnie. Księga podręczna, „*county-families*” wylicza trzysta tysięcy osób, należących do arystokracji angielskiej.

W języku naszym znaczenie terminu łacińskiego *nobilitas* najlepiej oddaje wyraz - wspaniałość,\*\*) później wspaniałość, - czyli upodobnienie się, dociągnięcie, „stąpienie w strzemień” jakiegoś zamierchłego, mitycznego typu „pana”, który nie figuruje wprawdzie w piśmie i zgasł nawet w legendzie, lecz na świadectwo swego dostojnego bytu w zaraniu dziejów ma cały język polski w przeciągu jego wielowiekowego trwania. Jest to rzecz charakterystyczna, że ościenna mowa niemiecka na wyrażenie tegoż terminu wspaniałość ma swą nazwę *die Herrlichkeit*, a *nobilis* - wspaniały, - późniejsze - wspaniały, - czyli wielkością piękna uderzający, majestatyczny, górny, niegminny, pański, niepospolity, po niemiecku tłumaczy się wyrazem *herrlich*.

Widzimy z tych zestawień, iż termin *nobilis* nie oznacza jedynie praw i prerogatyw, wynikających z urodzenia i dziedziczenia majątków, tytułów i zaszczytów niezasłużonych osobiście, lecz że jest terminem, oznaczającym przede wszystkim wyższość fizyczną, intelektualną i moralną. Pozycja *sine-nobilitate*, czyli snobizm, miała być antytezą tamtych wartości. Byłoby pracą nęcącą - przedstawienie dziejów owych wartości, które *nobilitas* wycisnęła na życiu Polski w czasie jej tysiącletniego trwania, tudzież uwypatnienia objawów, - jak to na rzecz Anglii uczynił W. M. Thackeray, - które snobizm w jej życiu, kulturze i obyczajach rozpostarł. Wydobyć na jaw tych dwu cech, pokrewnych a odmiennych, bo postępu i snobizmu, byłoby niewątpliwie sprawą pożyteczną, lecz jest zadaniem trudnym nad wyraz, zwłaszcza w okresie ostatnim, zesłowieckowej niewoli. Sąd o snobizmie polskim w tym okresie czasu nie byłby sprawiedliwym w żadnym razie, gdyż ogłaszający wyrok nie byłby w możliwości poznania wszystkich głębokich przyczyn i doraźnych powodów osądzanych zjawisk. Sprawy polskie w tym okresie czasu zbyt są skomplikowane, by można było, z daleka i w spokoju je obserwując, wyrokować bez błędu. Zjawisko takie; jak snobizm polski w ostatnim okresie niewoli nie było skutkiem jednego jakiegoś powodu, lecz zależało od spraw głęboko ukrytych. Nadto sama istota wartości pierwotnych, wśród nacisku zjawisk uległa tak wielkim przekształceniom, bieda istnienia tak wyteżyła i przekreśliła na nice wszystko dostojeństwo rodowe, - nastąpiło tak wielkie zniekształcenie dawnej zasadniczej iścizny, iż rozsegregowanie wartości byłoby sprawą nie do wykonania. Niegdyś Wacław z Potoka Potocki narzekał:

„Nikt do nas, my na wszystkie posyłamy światy

Po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty.

W tem kmiotków naszych poty, w tem ich toną prace

Kuchnie żółcić i winem oblewać pałace”.

Potężny czterowersz, w którym ujęte są wielowiekowe dzieje polskiego naśladownictwa, niedołęstwa, snobizmu. Gorzej osądza Polskę poeta okresu walki, gdy wprost mówi:

„Pawiem narodów byłaś i papugą, A teraz jesteś służebnicą cudzą”.

Ten wyrok, bezwzględny i ryczałtowy na wszystko, nie widzi nic prócz pawio-papugizmu na przestrzeni dziejów. Pisarz angielski dostrzega te same wady w Anglii. Co prawda, snobizm angielski nosi cechy indywidualne, angielskie. Tam się narodził i kwitnie. Nasz jest przede wszystkim cudzoziemszczyzną, naśladownictwem obcości, naleciałością przywiezioną z zagranicy. To druga jego zasadnicza cecha.

---

\*) Julius Bab. „Der Wille zum Drama”. Berlin 1919. Str. 177.

\*\*) U Reja - „myśl wspaniała człowieka poczciwego”.

## ROZDZIAŁ 2

Odsuwając sprawę przedstawiania objawów snobizmu w całokształcie życia, możemy uwydatnić w twórczości artystycznej ostatniej doby, czyli w dziedzinie najbardziej dla obserwacji dostępnej, cechy naśladownictwa i cudzoziemszczyzny, o których wyżej była mowa. Podobnie jak w rodach rzymskich istnieją na początku ojcowie - *patres*, - zarazem kapłani i wodzowie, tak samo w życiu rodziny artystycznej bytują wiecznie przytomni ojcowie-twórcy, z których natchnienia i pracy wywodzi się ród następców w tworzeniu artystycznym. Dzieło potomnych nie może być co do wartości i jakości wykonania żadną miarą niższe od dzieła przodków. Może być zupełnie inne co do formy, lecz musi sięgać miary najwyższej, już osiągniętej przez tamtych. Poezja jest emanacją ducha w jednostce nadzwyczajnie uzdolnionej, odrębnej, innej od pobratymców, niepodobnej co do intelektu i uczuć do nikogo, aczkolwiek bardzo często odzwierciedlającej intelekt i uczucia ogromnej rzeszy bliźnich, a nieraz - całej ludzkości. Poeta jest samotny, jak samotnym jest plemienny wódz, podejmujący wbrew wszystkim walkę z najeźdźcą. Uczucia jego wywodzą się z uczuć tłumu, gdyż jest człowiekiem, lecz w nim jednym skupione są uczucia wszystkiego tłumu. Do nikogo na świecie nie był podobny, - zaiste syn bogów, głosiciel piękna słońca, księżycy i zachodniego wiatru, - pochłonięty przez morze - Percy Byshe Shelley. Umiał w swojej własnej czarującej mowie, słowami, które wiecznie kwitną, wyrazić trwanie stuleci, zmagania się, walki i skargi pokonanych półbogów, - odtworzyć siłę, moc i piękno wieczyste mórz, poświst wichrów, - przywozić przed oczy nasze z doskonałością niepojętą światło księżycy, iż w jego słowie lśni z pięknnością równą piękności samego światła, lśniącego nad oceanem. Wydał mękę ujarzmionych narodów, zbrodnie najdziksze w ludzkim gatunku, ojcobójstwo i synobójstwo, a w sercu swym był młodzieńcem, jak ów Tyccjana w Luwrze „*L'homme au gant*”, - pełen potęgi, dumy, grandezzy, tajemniczości, zamarczenia się i smutku, którego nikt nie może zrozumieć. Któż inny wzruszał się tak na widok dzieł sztuki poprzedników, kto obejmował je z gorętszym entuzjazmem, z żywszą szczerością? Ujrzawszy w Bargello posąg Michała Anioła, przedstawiający pijanego Bachusa, Shelley rzucił się na twórcę z przepyszną inwektywą: „Oblicze tej postaci jest oburzającym i bardziej ponad wszelkie słowo fałszywym tłumaczeniem ducha i znaczenia Bachusa. Ma wyraz pijanicy, zwierzęco pospolitego, tępego rozpustnika. Dolna część tej figury jest jakaś skostniała, a połączenie ramion z piersiami i szyi z głową w najwyższym stopniu wyzute z harmonii. Cała postać jest pozbawiona jedności, gdyż takie oto było wyobrażenie katolika o boskości Bachusa. W postaci tej, jako w dziele sztuki, brak jest jedności, a jako w odtworzeniu boga Bachusa - brak w niej wszystkiego”. W jasnowidzeniu prawdziwie wieszczem opisał dzieje XIX stulecia w poemacie *Laon i Cythna* z rewolucjami i przebiegiem rewolucji. Do jakiejże szkoły literackiej należał? Z kim go połączyć? Nie zmieściłby się w żadnej sekcji literackiej, a wszystkie w nim mieszczą się, jako w swoim żywiole.

Do jakiejże „szkoły” należał John Keats, który wśród zimnej atmosfery angielskiej, gorąco piękno greckie na nowo wskrzesił i odzwierciedlił w swych młodocianych poematach „Endymion”, „Hyperion”, „Oda do Apollina”, - a w „Odzie do urny greckiej” w istocie wyraził wszystek zachwyt nowoczesnego świata dla zgasłej doskonałości starego. Do jakiejże kategorii pisarzy należy inny od wszystkich współczesnych mu, dawnych i przyszłych - Stendhal, - który słowem spokojnym, jak protokół sądowy, skąpym, zwięzłym, a posiadającym jedynie, - według określenia krytyka Suareza, - powab czystej bielizny, - zdołał wyjawiać wszystką pasją miłosną, samą istotę miłości? Krzyk kobiety na sądzie, gdy na jej kochanka wyrok śmierci wydają, to najwyższy ton, najwymowniejszy głos miłości. Krzyk ten nie zostanie nigdy zapomniany przez ludzi w chaosie wojny i pośpiechu pracy, niczym nie będzie zagłuszony i sam świat przeżyje.

Do jakiej kategorii należał Gustaw Flaubert, mędrzec na odludziu, cyklop zatrudniony bez wytchnienia, w pocie wysiłku kształtujący ideał najwyższej ze sztuk, skonstruowanej umiejętnie, świadomej swych wartości, pięknej prozy? Gdyby rodzaj ludzki zmieciony został z powierzchni globu i zginął, jak zginęła żywa Assyria, Egipt, kreteńskie państwo Minosa, czy państwo Azteków, to powiadomienie Gustawa Flauberta o dziejach pracowitego mężczyzny, tępego w swych zabiegach, wiernego aż do śmierci w swej pasji i o przewrotnych sztukach, podejściach, zdradach, kłamstwach, oszustwach, o sromotnych i niskich żądzach, o złości i bezsilnej rozpaczyci kobiety, oraz o losie dziecka, opuszczonego przez to stadło wśród zwierząt dwunogich, da wiadomość, - jak znak *Labris* o państwie Minosa, - co się stało z Adamem i Ewą po wiekach wieków od od wygnania z raju. Historia „*Madame Bovary*” - to dzieje Adama i Ewy na ziemskim okręgu. I jakiś inny gatunek stworzeń, który po rodzie ludzkim zagarnąłby jego siedziby, mógłby odtworzyć z tego utworu grzeszną i nieszczęśliwą ludzkość, podobnie jak z jednego gotyckiego kielicha można odtworzyć wszystek kształt, przepych i przekwit gotyku.

Do jakiejże literackiej szkoły zaliczyć Walta Whitmana, w którego potężnym słowie ukazuje się przyływ i odpływ morza, ogrom prerii pierwotnej, lśnią olbrzymie góry lodami pokryte i wyłania się potęga człowieka, rozkosz pracy, nieopisane wzruszenie, dreszcz ducha i wzbudzenie cielesne na widok toczącego ostrza wielkiego stalowego topora?

Z kimże sprząc Edgara Allana Poea, gdzie go umieścić i w jakiej zamknąć przegrodzie, gdy w opisie przygód Gordona Pyma opowiada po prawdzie dzieje samotnej jednostki, a symbol całej ludzkości w walce i samotności, wśród zdrad współludzi, szaleństwa tajemniczych chorób, na samotnej desce w bezmiarach oceanu?

Do którego ze współbraci piszących przyrównać Teodora Dostojewskiego, duchowego ojca czarnej sotni, czysto moskiewskiego mistyka, zacieklego proroka, na którego wieszczbę rzeczywistość wprędce dała odpowiedź, wywracając literę po literze, iż nie ostała się ani jedna kreska, ani jeden znak, - a zarazem tak nieomylnego wizjonera duszy jednostki ludzkiej, iż pismo jego wywinęło się z dziedziny sztuki i weszło w dziedzinę jasnowidzącego duszoznawstwa.

Ci to eupatrydzi, wymienieni wyżej, i tylu innych w każdym narodzie, których pisma są rozkoszą umysłu i pociechą serca, byli pionierami w puszczy, nowatorami, wynalazcami i odkrywcami, każdy w swojej dziedzinie, twórcami nowych szlaków wiecznego postępu sztuki. I w naszym świecie ktoś na początku „wdarł się na skałę pięknej Kalliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy”. Ktoś inny wtargnął wyżej, bo idąc po promieniach uczucia, usi-

łował dotrzeć tam, „gdzie graniczą Stwórca i natura”. Środki artystyczne tych pionierów w krainie ducha, stosowane w zakresie sztuki pisarskiej, zwanej literaturą, przeminęły w czasie i zastąpione zostały przez środki inne. Lecz dzieło ich, wszczęte w obrębie ducha, ukształtowane z mowy pospolitej pewnych okolic, z miazgi jednej gwary, przekształcone na płynną, a zawsze tę samą rzekę słów, połączeń, zwrotów, przenośni - zostało na wieki, równorzędne do mowy pospolitej całego narodu. Jak piękna chmura, powabny obłok pod niebem płynący z rzek ziemskich, z wód gleby się rodzi i w zamian potoki deszczu zeschniętej ziemi oddaje, tak samo piękny obłok poezji polskiej upuszczał nieraz ze swego wysokiego miejsca pod niebem potoki deszczu na spragnioną, płoną, lechicką ziemię. Zdarzyło mi się widzieć dowody tego zjawiska już za dni dzieciństwa. Pamiętam, jak zziąjany od gry w „ekstrę”, kiedy to całe powietrze nad drogimi Kielcami rozpostarte, było jednym tchnieniem rozkosznej pasji, - na to stworzone zostało, żeby szczęśliwe nerwy mogły wibrować, - kiedy każdy ruch ciała był skokiem w przestwór, półobrotom, wykretem, sprężystym przysiadaniem, tańcem na końcu lekkiej stopy, ledwie muskającej ziemię, - kiedy rozpalone dłonie raz wraz chwytały ten widomy znak, objaw i symbol najistotniejszego szczęścia na ziemi, - okrąglą piłkę do gry, - w chwili wyjścia z „mety”, przypadłem był do okienka szewca, który w lochu podwórzowym, w wilgotnej izbie bytował. Rozgrzana głowa oparła się na rękę, ciekawe oko zanurzyło w żywot i pracę nieznanych mi ludzi, a ucho pochwyliło dźwięki, dolatujące z tego pracowiska. Gdy we mnie i dookoła mnie wszystko było pędem, wirem, drganiem i niemal lotem, tam w dole panował bezruch, przykucie, przytwierdzenie do miejsca i niezłomny spokój pracy. Chłopcy łomotali młotkami w podeszwy, czeladnik o zwichrzonej czuprynie wygładzał cholewę, a stary majster, krając rzemień na wygładzonej desce, wypowiadał podniosłym, majestatycznym, monotonnym głosem:

„Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziąła?

W którą stronę, w którąś się krainę udała?

Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona

I tam w liczbę aniołków małych policzona?...”

Jakimi drogami, któredy wcisnęła się w to surowe życie, w byt tak dalece poświęcony sprawie zarobku i sprawie przeżycia, przetrwania pór roku za ów ciężki zarobek, iż na nic innego, prócz beczynnego spoczynku i bezmyślnej zabawy nie zostało tam czasu, owa tkanina słów głębokich, westchnień żaloby, przed wiekami w piękny porządek związanych? Czyli w te słowa wpłynęły przeżycia własne, czy je wiatr przelotny przywiał z obłoku, płynącego wysoko poprzez „wszystki nieba?”

Kiedy indziej, po upływie lat, przy budowie domostwa szkolnego w Nałęczowie pod Lublinem, poznałem się z pracownikiem na dniówkę, Mateuszem P., który był tak biedny, i obarczony rodziną, iż mieszkał w istnej ziemiance, po dach zakopanej w zwiewną glinę tamtejszej gleby. Człowiek ten umiał na pamięć „Księgi pielgrzymstwa” i z zachwytem je recytował. Cała mądrość życiowa, wytłumaczenie wszystkich zagadnień, nadzieje lepszej przyszłości, a nawet kierunki nowe społeczne, zawierały się dla Mateusza P. w „Księgach Pielgrzymstwa”. Stamtąd czerpał swą naukę, wskazówki, kryteria, rozwiązanie zawilości i życiową pociechę. Zastanawiałem się nieraz nad tym, czy w tym nabożeństwie Mateusza P. do ksiąg tułactwa polskiego niema wioskowego snobizmu, pewnej pozy i udawania. Lecz życie zaprzeczyło tym przypuszczeniom. Syn tego najbiedniejszego z wyrobników na dniówkę, za radą ojca poszedł do legionów, stał w bitwach i jest jednym z najgodniejszych rycerzy wyzwolenia ojczyzny. „Księgi Pielgrzymstwa” zrobiły swoje, wykazały swą wartość.

Nie chciałbym, na skutek przytoczenia tych ubocznych szczegółów, popaść w podejrzenie, iż popycham dzieła sztuki w jakąkolwiek, choćby najwznioślejszą służbę, narzucam im cele narodowe, lub społeczne. Sztuka pisarska, podobnie jak wszystkie jej siostrzyce, - a muzyka najwyraźniej i najbezwzględniej, - nie ma, nie może i nie powinna służyć, jako środek do jakiegokolwiek celu, okrom swego własnego. Sztuka pisarska powinna być niejako kołem zamkniętym, które swe sprawy jedynie wewnątrz swego obwodu zamyka. Lecz jako dzieło w ludzkim duchu poczęte i dla ludzi przeznaczone, z chwilą, gdy artysta ogłasza sprawę, kołem zamkniętym otoczoną, czyli żąda współdziałania innych ludzi w jego wzruszeniu i trudzie artystycznym, - a nadto - skoro dzieło sztuki, mocą i umiejętnością wielu rąk ludzkich i sposobami uspołecznienia pracy podane zostało do poznania i rozpowszechnienia wśród ich cizby, staje się objawem, wytworem i czynnikiem społecznym.

## ROZDZIAŁ 3

Temuż losowi ulega, gdyż ulegać musi, produkcja literacka, nie licząca się z żadnymi względami, narodowymi, społecznymi, wychowawczymi, a nawet z zasadami gramatyki, logiki i estetyki, jak, na przykład, „*Nuż w brzuchu*”, albo „*Pieśń o głodzie*” Brunona Jasieńskiego. Wiedziałem ubiegłej zimy, jak handlarka gazet sprzedawała czasopismo „*Nuż w brzuchu*” młodzieży robotniczej i rzemieślniczej, wychodzącej w niedzielę z fabrycznej niziny Powiśla Warszawy na słońce Nowego Świata, ażeby zachwycić coś nie tylko z zabawy, lecz i ze zdobywcy wyższej cywilizacji. Młodzieńcy ci nabywali skwapliwie za swój grosz nie łatwo zapracowany wytwór ducha młodzieży wykwintnej, intelektu Polski wskrzeszonej i karmili nim swe spragnione dusze. A więc „*Nuż w brzuchu*”, pismo ulotne grona pisarzy, jest też sprawą publiczną. Artyści skupieni około tego pisma, oraz innych organów tego samego kierunku, mają już naśladowców w szkołach odradzającej się Polski. W wyższych klasach gimnazjalnych, zarówno męskich, jak żeńskich, według skarg nauczycieli i nauczycielek, uczniowie i uczennice nie chcą pisać wypracowań stosownie do zasad ustalonej gramatyki, poczytują bowiem owe stare zasady za przesady i więzy, niegodne zachowania i przestrzegania. A więc sprawy czysto literackie mają swe odbicie w *rzeczy* tak ważnej, jak sztuka narodowa poprawnego pisania aktów rejentalnych, listów kupieckich i pozwów sądowych.

Mam świadomość, iż pisząc te słowa, ściągam na siebie podejrzenie, jakobym nastawał na wolność ruchów, usiłowań i poczynań artystów słowa, zwanych się futurystami, czy inaczej. Nic podobnego! Istotna sztuka jest wiekuistym nowatorstwem, funkcją nieustającego nigdy postępu, więc szczerzy przyjaciel sztuki i wyznawca postępu nie może być przeciwnikiem najbardziej dziwnego nowatorstwa. W danej sprawie idzie zupełnie o co innego: o rozważanie bez snobizmu, bez schlebienia komukolwiek, według najgłębszego przekonania, czy w narzucającym się objawie nowatorstwa tkwi postęp rzetelny, - *nobilitas* ducha, odskok od rzeczy starych, zjałowiałych, znanych już, jednolitych, - w świat zupełnie nieznany, nowy, w sferę zjawisk wielorakich, z jednolitości przetworzonych, - czy też mamy do czynienia z postępem niższego, drugiego rzędu, ze zwykłym, starym znajomym *sine nobilitate* snobizmem. Zjawisko w sferze arcyzmu, noszące nazwę futuryzmu, narodziło się we Włoszech. Futuryzm jest to „sposób” włoski, naturalny wykwit stanu rzeczy w tym kraju, w latach, poprzedzających wielką wojnę. Zaczęło się we Florencji. Pewna grupa artystów i pisarzy, wychowana pod cieniem drzwi Ghiberti’ego, niejako w objęciach Donatella, Veroccia, Michała Anioła i Leonarda da Vinci, znudziła się do cna nie twórczością, lecz kultem tych starych majstrów, widokiem niewolniczego kopiowania i omawiania ich dzieł, a znając owo drugie królestwo Włoch od samego dzieciństwa, pokonała je w sobie podczas furii młodocianych na własną rękę miłowań. Znudziła się również widokiem pochodów Niemek, Angielek i wszelakich innych poprzez Bargello, Or San Michele, Pitti i Uffizi. Byli to również młodzi Włosi, synowie

plómienną żądzę wydarcia wrogowi ziemi jeszcze nieodkupionej, zwanej tam *terra irredenta*. Przyszli tedy naturalną uczuć koleją do uwielbienia siły potęg nowoczesnego rozwoju w fabrykach państwa, do koncepcji nie tylko terytorialnej lecz i duchowej agresji i ekspansji. Pierwszą zasadą tej młodej falangi artystów było hasło, godne zaiste, żeby je złotymi wyryć zgłoskami: „*Il faut mepriser toutes les formes d'imitation et glorifier toutes les formes d'originalite*”<sup>1)</sup>). Twierdzili oni, iż „odwaga, zuchwalstwo, bunt będą pierwiastkami istotnymi ich poezji”. Postanowili wynieść na czoło twórczości „ruch agresywny, gorączkową bezsenność, bieg wyścigowy, karkołomny skok, policzek i pięść”. Zamierzywszy pokonać nie tylko w osobie, lecz i w pojęciu publiczności wpływ Carducci’ego, Pascoli’ego, Fogazziaia, d’Annunzia, a w estetyce i filozofii Benedetto Croce’go, odrzucili doskonałą wytworność wiersza a nawet samo zdanie, zastępując ją wierszem najzupełniej wolnym, oraz zdanie „barwą esencjonalną gołego rzeczownika”. Nowa składnia miała polegać na rozstawieniu rzeczowników według tego, jak wrażenia powstają w wyobraźni artysty z opuszczeniem przymiotników, zaimków i spójników, których pozostawienie, w ślad za mową powszechności, niweczyłoby dynamizm aktu twórczego. Słowo pozostaje, lecz jedynie w trybie bezokolicznym, gdyż tylko w tej formie może dać poczucie „ciągłości życia, tudzież umożliwić intuicji postrzegającej pochwycenie elastyczności zjawisk”. Wszelka interpunkcja została zniesiona, natomiast wprowadzone znaki arytmetyczne dodawania, odejmowania, mnożenia, dzielenia, znak równania, - a także nuty. Skoro jedynie intuicja stała się czynnikiem decydującym w procesie twórczym, musiała nastąpić pogarda dla sensu i kult myślowego nieporządku.

Wszelkie problemy psychologiczne zostały skasowane, a miały być zastąpione przez psychologię intuicyjną materii. Skoro zaś zasadniczą treścią materii jest wola, odwaga i siła, należy tedy w dążeniu do odtworzenia tych potęg, odrzucić „tradycyjną ciężką składnię, zrośniętą z ziemią, bez rąk i skrzydeł”, - jedynie na intelekcie opartą - i, pokonawszy głuchą wrogość tradycyjnego sposobu pisania, szukać kontaktu z wszechistnieniem. Za pomocą „dowolnej ortografii ekspresyjnej” reformatorzy futurystyczni mieli nadzieję wytworzenia tak dalece żywej i jasnej onomatopei, iż da im to możliwość wynurzenia w słowie istoty ciężaru, lub zapachu przedmiotów, życia wewnętrznego maszyny w ruchu, rozmowy silników, biegu i świstu pociągów, turkotu fabryk, tętentu koni, wycia wichrów, łoskotu walących się drzew. Skondensowanie metafory dla ujęcia tak zwanych „węzłów myślowych”. Do tego celu zmierziała reforma druku, polegająca na wprowadzeniu wielkich i małych, tudzież zabarwionych liter na tej samej stronie, co miało podkreślać i uwydatniać siłę i znaczenie tekstu, - oraz geometryczne, kuliste lub dowolnie łamane kształty figur z czcionek, formą swą odzwierciedlające przedmioty, zdarzenia, lub idee podsunęte do poznania w słowie.

W plastyce - futuryści wystąpili zajadle przeciwko tak zwanemu niegdyś „ideałowi piękna”, przeciwko manii stawiania pomników, jako barbarzyńskim przeżytkom. Postanowili wyrwać malarstwo i rzeźbę spod wpływów Grecji, Michała Anioła i Leonarda da Vinci, oraz gotyku. Gdy Francja odbierała ukradzioną Monę Lizę i cała Florencja wrzała z żalu i gniewu, futuryści zanotowali w swym piśmie *Lacerba* o fakcie wywiezienia, nadmieniając, iż ich samych nie obchodzi losy tego tam obrazidła. W drugim paragrafie swego manifestu marzyli o tym, ażeby „*demolir les oeuvres de Rembrandt, de Goya et de Rodin*”. Utalentowany rzeźbiarz i eseista tej grupy Ardengo Soffici - Rodina właśnie poniewierał z niebywałym zapałem i nie byle jaką plastyką. Malarze i rzeźbiarze futurystyczni ogłaszali jednak nie tylko swe manifesty, lecz stworzyli również dzieła oryginalne w pomysłach i absolutnie nowe, jak Umberta Boc-



cioni'ego „Elastyczność”, Karola Carra „Dynamizm ciała ludzkiego”, Russola „Dynamizm automobilu” Severiniego „Bal Tabarin”, Ardengo Sofficiego „Synteza miasta Prato”, oraz w rzeźbie - Boccioni'ego „Synteza dynamizmu człowieka”. Starali się oni otworzyć, rozwrzeć figurę i zamknąć w niej otoczenie. Starali się kreować dzieła, gdzie by otoczenie tworzyło część bloku plastycznego, jako świat sam w sobie, rządzący się własnymi prawami. Całość rzeźbiarska, czy całość malarska miała być w ich dziele dla siebie samej, gdyż figury i przedmioty winny żyć w sztuce poza logiką.

W literaturze, obok pięknych utworów Polazzeschi'ego, za najbardziej może charakterystyczny przykład kompozycji futurystycznej może służyć dzieło F. I. Marinetti'ego p. t. „*Zang Tumb Tumb*”, zawierające opis wrażeń tego autora z bitwy pod Adrianopolem. Oto urywek:  
2) „Południe ? flety jęki psie dni tamb-lumb trwoga Gargaresz pękać trzaskanie marsz Zgiełk tornistry karabiny podeszwy gwoździe grzywy końskie koła skrzynie żydzi smakołyki pieczywo na oleju piosenki kramiki tryskanie błysk ropa zaduch cynamon pleśń przypyływ odpływ pieprz bójka brud wichler pomarańcze w kwiecie figlarz ubóstwo kości szachy karty jaśmin orzech -|- muszkatowy -|- róża arabeska mozaika świnią kolce partaczenie kartaczownice == żwir -|- wiatr -|-żaby zgiełk tornistry karabiny armaty żelaziwo atmosfera = ołów -|- lawa -|- 300 smrodów -|- 50 zapachów bita droga materace rupiecie gnój koński świnię flikflaak gromadzić wielbłądy osły...”

F. I. Marinetti pisze w przedmowie do tego swego dzieła, iż intensywnością odpowiada ono 2500 stronic Flauberta, a odmiennym postrzeganiem świata przenika niezbadaną dotąd jeszcze przez nikogo dziedzinę sztuki. W tak stenograficznie tryumfalny sposób odniósłszy, - we własnym przeświadczeniu, - walne zwycięstwo nad wieloletnimi usiłowaniami Gustawa Flauberta. F. I. Marinetti nie cieszył się jednak uznaniem powszechnym tych swoich przewag. Zdarzyło mi się być, za czasu pobytu we Florencji, na wieczorze futurystycznym pod nazwą *Grande serata futurista* w Teatro Verdi, mieszczącym w sobie około pięciu tysięcy widzów. Olbrzymi ten teatr zapchany był od szczytu do dołu, a ów cały tłum krzyczał, wył, złorzeczył, gwizdał, wymachiwał rękami. Porykiwano ze wszech stron na syrenach samochodowych, świstano na jakichś przejmujących piszczałkach i walono kartoflami, cebulami, zgnitymi jajami i kasztanami, w grupę futurystów, która na estradzie coś usiłowała odczytywać, zagłuszona absolutnie. Słysząc było krzyk całej tej publiczności, skierowany przeciw nowatorom, a tak bliski uchu polskiemu: *suinie, suinie, suinie!* Wódz szkoły F. I. Marinetti, wynalazca zasady, iż należy na czoło twórczości wynieść „karkołomny skok, policzek i pięść” mógł się przekonać, że na pięść, jako argument, bywa też pięść argumentem. Obdarzony potężnym głosem, zdołał w pewnej chwili przekrzyknąć pięciotysięczną masę antagonistów okrzykiem modnym wówczas we Włoszech: „*Eviva Libia*”. Był to najistotniejszy okrzyk tej szkoły, okrzyk duszy futurystów włoskich. W czasie wojny światowej wzięli oni udział w walce. Pisali swe utwory, szybując na aeroplanach, i leżąc w rowach strzeleckich. Najgenialniejszy z nich, samouk Giovanni Papini, odskoczył od swej szkoły na niezmierną odległość i znalazł się u stóp Chrystusa, którego wyznawców szarpał niemiłosiernie w „*Lacerbie*”. O innych, z wyjątkiem Marinettiego, nie słysząc nic zgoła.

Kierunek, reklamowany przed wojną z tak wielkim nakładem siły, znalazł naśladowców wszędzie - we Francji, w Niemczech i w Rosji, w Hiszpanii, a nawet w egzotycznej Brazylii. We Francji wyznawcą futurystów włoskich był wysoce utalentowany poeta Kostrowicki, Polak z pochodzenia, który przybrał nazwisko Guillaume Apollinaire. Kostrowicki nie pisał

swego przybranego nazwiska małą literą, zatrzymał również ustaloną pisownię francuską, odrzucał tylko znaki pisarskie, zaciemniając przez to swój styl i jasność nie tylko zdań, lecz i obrazów. W głównym zbiorze swych utworów, p. t. *Calligrammes - poemes de la paix et de la guerre*. (Paris 1918) - zamieścił rodzaj manifestu literackiego p. t. *Liens*.

*Cordes faites de cris*  
*Sons de cloches a travers l'Europe*  
*Siecles pendus*  
*Rails qui ligotez les nations*  
*Nous ne sommes que deux ou trois hommes*  
*Libres de tous liens*  
*Donnons - nous la main*  
*Violente pluie qui peigne les fumes*  
*Cordes*  
*Cordes tisses*  
*Cables sous - marins*  
*Tours de Babel changees en ponts*  
*Araignees - Pontifes*  
*Tous les amoureux qu' un seul lien a lies*  
*D' autres liens plus tenus*  
*Blancs rayons de lumiere*  
*Cordes et Concorde*  
*J'ecris seulement pour vous exalter*  
*O sens o sens cheris*  
*Ennemis du souvenir*  
*Ennemis du desir*  
*Ennemis du regret*  
*Ennemis des larmes*  
*Ennemis de tout ce que j'aime encore.*

Słyszymy w tych okrzykach odgłosy hasel oryginalnych, wydanych za Alpami. Zaznaczyłem już, iż Guillaume Apollinaire, wychowany w wielkiej kulturze francuskiej, nie „upraszczał” pisowni i nie wyrwał rzeczowników ze zdania. Odrzucał pocziwe przecinki i zadeptywał skromne kropki, tak niezbędne dla realizacji „piękna szybkości”, gdyż z ich pominięciem przeżytek - „myśl” czytelnika kołace się tu i tam, szukając po staremu niemodnego sensu. Z satysfakcją natomiast stosował w wydaniu swych poezji reformę druku, układając wiersz „*La colombe poignardee et le let d'eau* w kształt fontanny. *La mandoline l'oeillet et je bambou* właśnie w kształt mandoliny, śliczne wspomnienie p. t. *Je noublierai jamais ce voyage nocturne ou nul de nous ne dit un mot* w postaci samochodu, a nawet swe własne imię zamykając w lustrze, ułożonym z liter: „*Dans le miroir je suis enclos vivant et vrai comme on imagine les anges et non comme sont les reflets* - rysując z liter zegarek, krawat i tym podobne akcesoria, realizacji piękna szybkości. Czy za pomocą tych zabawek osiąga owo „piękno szybkości”, a nawet jakiegokolwiek piękno? Osiągnął raczej piękno nowinki, oryginalności, niezwykłości. Bibliofil z przyjemnością ustawi tę książkę na półce, a snob uczyni z niej sztandar i szyld „nowej” sztuki. Jeżeli jednak każdy z poetów stara się ozdobić wymarzony tom winietami, okryć szateczką nęcącą, to wolno było i Guillaumowi Apollinariowi umieścić

w swym tomie ozdoby, które poczytywał za piękne, czy niezbędne. Co zaś do realizacji po-  
budek, jakie ten poeta pragnie rozniecić w swych współbraciach, wrogach wspomnienia, wro-  
gach pragnienia, wrogach żalu i wrogach łez, to sam on przede wszystkim udowodnił, wła-  
śnie na stronicach tej swojej pięknej książki, iż jest zwolennikiem tego, co na pierwszej stro-  
nicy potępia. Ani psychiatria, ani psychologia nie są w stanie oznaczyć granic tego świata,  
który nazywamy duszą. Jedyne poezja jest wieścią stamtąd, czasami nawet historią spraw,  
które się tam przydarzyły. Czyż więc można zaznaczyć łożyska rzek, co przez ów kraj tajem-  
niczy płynąć będą w czyjejs duszy, - czy można je ujmować w ciasne mury ograniczeń?  
Wzruszenia, które za sprawą poezji stamtąd wypłyną, są jak owe rzeki Himalajów, nieznanne  
i niewiadome, zrodzone przez erupcje wodne, wskutek niespodzianych trzęsień ziemi. Guil-  
laume Apollinaire był poetą, to też niektóre jego wiersze, w rowach Szampanii pisane zasłu-  
gują na dalsze wydanie, niż karty książki: - mogłyby być wyryte na gładkich murach fortu Vaux, albo  
Douaumont, - jak ten:

*„Nous sommes ton colier, France,  
Venus des Atlantides ou bien des Negrities  
Des Elderados ou bien des Cimmeries  
Riviere d’hommes forts et d’obus dont l’orient chatoie  
Diamants qui eclosent la nuit.  
O Roses! o France!  
Nous nous pamons de volupte  
A ton cou penche vers l’Est  
Nous sommes l’Arc-en-terre,  
Signe plus pur que l’Arc-en-Ciel  
Signe de nos origines profondes  
Etincelles  
O nous les tres belles couleurs”.*

Prąd futurystyczny, przewędrowawszy przez Niemcy, gdzie wydał kilka wartościowych dzieł  
w sferze dramatu (Hasenclever), dotarł do Rosji i tu dopiero rozwinął skrzydła.

*„Bielogwardiejca  
Najdrotie - i k stienkie!  
A Rafaela zabyli?  
Wremia  
Pulam  
Po stienkam muziejew tieńkat’!  
Wystroili puszki na opuszkie  
Głuchi k bielogwardiejskiej łaskie.  
A poczemu nie atakowan Puszkina?”*

woła futurysta rosyjski Władimir Majakowskij.

„Atakowanie Puszkina” było początkiem. Zaatakowano, oczywiście, zasady gramatyki, orto-  
grafii, znaki pisarskie, prawa prozodii, samo znaczenie wyrazów,- rzecz prosta. - rozum, -  
a wreszcie i samą poezję.

*„Płoszczadi naszi palitry  
knigoj wremieni  
tysiaczilstoj*

*rewolucyi dni niewospiedy.*

*Na ulicu futuristy barabanszcziki i poety!"*

Utwory Władimira Majakowskiego, jak „*Obłok w spodniach*” były tłumaczone na język polski przez Anatola Sterna i Juliana Tuwima, więc publiczność nasza ma o nich niejakie pojęcie. Lecz najistotniejsza twórczość tego poety, malująca się w „heroicznym, epicznym i satyrycznym obrazie naszej epoki” p. t. *Misterium-Buffero*, oraz poemacie p. t. *Sto pięćdziesiąt milionów* dostępna jest tylko dla ustosunkowanych. Jest to poezja rewolucji rosyjskiej, ogłaszana drukiem przez „*Sowietskoje Gosudarstwiennoj Izdatielstwo*”. Streszczenie „*Misterium-Buffero*” zajęłoby zbyt wiele miejsca. Charakterystyczniejszy od owego misterium pod wieloma względami jest poemat „*Sto pięćdziesiąt milionów*”. Chodzi tu o przedstawienie ostatecznej walki, którą stacza żywioł buntu, upostaciowany w osobie gigantycznego Iwana rosyjskiego, z całą kulturą burżuazyjną. Uosobieniem kultury jest „Wilson”, rezydujący w Chicago. Do północnej Troi nadchodzi człowiek-koń i wdzierają się w państwo Wilsona. Ten rozcina szablą Iwana, naładowanego buntem, i oto z rozciętego konia-człowieka wychodzą gubernie rosyjskie i kroczą na podbój ziemi, aż ów Wilson na popiół obrócony zostaje, gdyż „zadem swym chciał zdusić słońce”. Ulegają pogromowi religie, muzea, poeci. Przeszłość została rozwalona pospołu z całą jej kulturą. Jest to poemat narodowy, odzwierciedlający znakomicie dynamizm dokonanej w Rosji rewolucji. Początkowy, oczywiście, jej rozmach, jej podniecie i furię. Sama nawet forma utworu, rodzaj półinteligentnego gawędziarstwa, drwiące gadulstwo, natkane onomatopeicznym przdrzeźnianiem obcości, tak nam dobrze znane z czasów władztwa Rosji nad nami, świetnie oddaje nastrój rewolucyjny nie tylko samego poety, lecz i owych „guberni”, które on z poczuciem oparcia o nie, a z pasją narodową maluje.

*„Sjestnowo*

*w czikagskich barach*

*czewo i czewo nie naczudieno!*

*Czudno czelowieku w Czikago!*

*Czudno czelowieku!*

*W Czikago*

*Takoj swirepiejet grochot...”*

Drugiego okresu dziejów rewolucji rosyjskiej poemat ów nie odtwarza, gdy owe, jako siła niespożyta, malowane „gubernie”, wyszły ze swych siedlisk dalekich, ze spękanej ziemi samarskiej, - krainy głodu, - nagie, w łachmanach, w strzępach, -jako z przestworu wygnania i rozpacz, gdzie ojcowie pożerali swych synów, a matki rzucały córki w głębiny rzek, aby na głodowe męczarnie nie patrzeć. Wyszły nie na podbój, lecz na żebry niewidziane w historii rodu ludzkiego, wyciągając kości rąk po kości jałmużny. A jałmużnę szczodra kładł w wyciągnięte kikuty nie kto inny, tylko właśnie ów „Wilson”, którego wieszcz rewolucji rosyjskiej przedstawiał w taki oto sposób:

*„Żriot Wilson*

*Naraszcziwajet żir;*

*Rastut żywoty.”*

Jednakże wyrazicielem tego okresu rewolucji, gdy powszechną wiarą jej zwolenników było hasło:

„Na miejscu wiary w duszę - elektryczność i para, - zamiast cierpieć nędzę, należy złupić bogactwa wszystkich światów, - kto stary - zabić, - czaszki na popielniczki” - jest niewątpliwie

Władimir Majakowski. Jest to poeta mas, agitator, przemawiający do rozbustwienia i apetytu tłuszczy stylem grubym i sprośnym, zapewniający wciąż o fantastyczności swych pomysłów, wdzierający się na tak wysoką barykadę zniweczonych kultury, iż wreszcie przestaje zajmować to, co on tam przed tłumem wyprawia i wykrzykuje w niebogłosy. Wyrazicielami reakcji przeciwko kubofuturyzmowi sowieckiemu Majakowskiego są twórcy nowej szkoły, zwanej *imazinizmem*. Są to poeci - Wadim Szerszeniewicz, Anatol Marienhof, Aleksander Kusikow, Riu-rik Iwniew i najzdolniejszy z nich Siergiej Jesienin. Są oni również zwolennikami i piewcami rewolucji rosyjskiej, lecz wyrażają poniekąd drugi jej okres. Operują z upodobaniem bluźnierstwem dla wywołania w czytelniku maximum wewnętrznego napięcia, celowo i niejako partyjnie nurzają się we krwi i kale, jak, na przykład, Marienhof:

*„Krowju plujom zazorno  
Bogu w jurodiwyj wzor;  
Wot na krasnom czornym:  
Massowyj terror.  
Miotłami wietru budiet  
Gowiadinu czju podmiest’  
W etoj czerepow grudie  
Nasza krasnaja miest’.  
Po tysiachie gołow srazu  
S płachi k prieczistoj tajnie.  
Bożeńka, sam Ty za pazuchoj  
Wynosil Kaina  
Sam popriegiel pierinoj  
Mużickij topor, -  
Molimsia Tiebie matierszinoj  
Za rabjch godow pozor”.*

Zapewniają, jak Wadim Szerszeniewicz:

*„Ja moliuś na czerwonnuju damu igornuju,  
A ikony noszu na słom  
I pochabnuju nadpiś zabornuju  
Obraszczaju w swiaszczennyj psalom”.*

Najgenialniejszy z tej grupy poetów głosi:

*„Tielo, Christowo tielo  
Wyplewaju izo rta.  
Nie choczju wosprijat’ spasienje  
Czerez muki Jego i kriest:  
Ja inoje postig uczenje...  
Daze Bogu ja wyszcziplu borodu  
Oskalom moich zubow  
Uchwaczju jego za griwu bieluju  
I skażu jemu gołosom wjug:  
Ja inym Tiebia, Gospodi, sdielaju,  
Cztoby zriel moj słowiesnyj lug”.*

Lecz poza tymi awanturami słownymi, które są po trosze młodzieńczym straszaniem współobywateli, a głównie wynikiem światopoglądu „chłystów”, z których środowiska Jesienin pochodzi, w poezjach tej grupy wieje wiatr inny. Przemawia sioło, zwyczajny krajobraz, cześć dla pracy rolniczej, dla hodowania ziarna i przetwarzania go na chleb powszedni, przewija się wspomnienie i brzmi mowa urocza prawdziwego poety, jednego z najgenialniejszych.

„*Ja snowa zdies w siemje rodnoj,  
Moj kraj zadumczywyj i nieznyj,  
Kudrawyj sumrak za goroj  
Rukoju masziet bielosnieżnoj.  
Siediny pasmurnawo dnia  
Pływut wskłokoczennyja mimo  
I grust' wieczerniaja mienia  
Wołnujet niepreodolimo...*”

Nadto poezje Jesienina „*Towariszcz, Piewuczij zow, Otczar, Priczestwije, Oktoich, Preobrażenie, Inonia*” łącznie z poematem Aleksandra Błoka p. t. *Dwienadcat'* i poematem Andrzeja Biełego p. t. *Christos Woskres* - stanowią grupę utworów o zakroju mistycznym. Poeci ci wierzą, że Rosja jest krajem, gdzie we krwi i męczarniach rewolucji dokonuje się poród nie idei, lecz samego ciała nowego świata. Ci pisarze mają duszę rosyjską i dają jej głos.

Gdy zginęło państwo carów, rodzi się w ich duszy rosyjskiej ojczyzna wewnętrzna, kraj ducha, z którego, według ich wiary, ma wyjść i wcielić się w całym świecie idea rewolucji. Są oni piewcami wieści wiosennej o owej Rosji nowej, zowiąc ją „*grad Inonia, gdzie żywiot Bożestwo żywych*”. *Inonia* bytuje nie w dali, lecz przebywa w duszach ludzi współczesnych. Należy tedy walczyć i pracować, ażeby nie była na jednym tylko miejscu, lecz aby szerzyła się na świat cały.

Nie tak to dawne czasy, gdy inny prorok rosyjski, z innych zupełnie wychodząc założeń, te same mniej więcej wieszczby ogłaszał. - „Przeznaczeniem Rosjanina”, - pisał ów prorok <sup>3)</sup>, - „jest niezaprzeczenie wszechuropejskość i wszechludzkość. Stać się zaprawdę Rosjaninem, Rosjaninem zupełnym-to znaczy jedynie stać się bratem wszystkich ludzi, wszechczłowiekiem, jeżeli chcecie. Dla prawdziwego Rosjanina Europa i los całkowitego, olbrzymiego aryjskiego plemienia jest drogi tak samo, jak sama Rosja i los ziemi rodzinnej, ponieważ losem naszym jest właśnie wszechświatowość nie mieczem zdobyta, lecz siłą braterstwa i braterskiego dążenia naszego ku zjednoczeniu się ludzi. Stać się Rosjaninem prawdziwym, to znaczy dążyć do wprowadzenia zgody w przeciwieństwa europejskie, wskazać dla europejskiej tęsknoty ostateczne wyjście w swej duszy rosyjskiej, wszechludzkiej i jednoczącej, ogarnąć miłością braterską wszystkich naszych braci, a koniec końców wyrzec może to ostateczne Słowo harmonii powszechnej, braterskiej zgody wszechplemion według Ewangelii Chrystusa. Na zachodzie wszystkie owe parlamentaryzmy, wszystkie wyznawane tam teorie społecznego współżycia, wszystkie nagromadzone bogactwa, banki, nauki, żydzi - wszystko to runie w ciągu jednego momentu i bez śladu, - z wyjątkiem chyba żydów, gdyż ci dadzą sobie radę i im jednym ta sprawa będzie na rękę.

Wszystko to jest bliskie, stoi u drzwi. Wszystko to doprowadzi do olbrzymiej, rozstrzygającej, końcowej, politycznej wojny, w którą wszyscy będą wciągnięci, a która wybuchnie w tym jeszcze stuleciu, kto wie, może nawet w dziesięcioleciu nadchodzącym. Fale wojny rozbijają się o nasz brzeg, gdyż wtedy dopiero na jawie i w oczach wszystkich uwydatni się, do jakiej-

go stopnia nasz organizm narodowy różny jest od europejskiego. Chłop nasz nazwał się sam *krestjaninem*, to jest *chrześcijaninem*, a to nie tylko wyraz, w tym jest idea i cała przyszłość”. Przełożone na bardziej zrozumiały i wyraźny język polityki, wieszczby te brzmiały w taki sposób:

„Jesteśmy Niemcom potrzebni, nawet daleko bardziej, niż sądzimy<sup>4)</sup>. Potrzebni im jesteśmy nie dla chwilowego sojuszu politycznego, lecz na wieki. Idea Germanii zjednoczonej jest szeroka, olbrzymia i spoglądająca w głębiny wieków. Czym Niemcy mogą się z nami podzielić? Przedmiot podziału stanowi całe społeczeństwo zachodnie. Niemcy przeznaczają dla siebie zachodni świat Europy, ażeby wcielić weń swe zasady i podstawy zamiast rzymskich i romańskich, a w przyszłości stać się kierownikami tego świata, - a Rosji pozostawiają Wschód. W ten sposób dwa wielkie narody przeznaczone są dla zmiany oblicza tej ziemi. Nie są to pożądania rozumu, albo pychy, lecz sam wszechświat w ten sposób się układa”. Pomimo uderzającej różnicy między dwiema koncepcjami mistycznego posłannictwa Rosji, pierwszej, opartej na państwie cara, i drugiej, opartej na czynie rewolucji, łączy je przecież jedno: entuzjastyczne, a pochodne uwielbienie państwa rosyjskiego i jego poczynań. Zarówno Dostojewskij, jak Andrej Biełyj, Błok i Jesienin ślepo wierzą w doskonałość tego, co się dokonuje nad nimi i poza nimi, co już spełnione zostało przez „władzę”. Dostojewskij nie wie, czy też udaje, że nie wie, jak i kiedy Rosja runęła na Polskę, a po rzezi na Pradze, rękoma zbroczonymi we krwi niewinnej przykuła męczennicę do tronu swego cara. Mówi bez zająknienia, iż „losem Rosji jest wszechświatowość nie mieczem zdobyta, lecz siłą braterstwa i braterskiego dążenia ku zjednoczeniu się ludzi”. Chłopa rosyjskiego *nazywa* chrześcijaninem, tego samego chłopca, który stworzył nie tylko samą sprawę okropną, lecz nadał temu potwornemu aktowi nazwę swą w językach wszystkich narodów: - „pogrom”, - chłopca, który z mowy swej wy dobył najohydniejsze na ziemi przekleństwo, czy przysłowie, uczepione do każdego niemal zdania, do każdego otwarcia ust i wydania głosu, a które Szchedryn nazywał „*upominowieniem o matieri*”. Tę to właśnie *matierszinę* najnowsi poeci rosyjscy podjęli i, nie mając już innego godziwego celu, skierowali w stronę bóstwa.

Poeci nowoczesnej Rosji nie widzą, albo udają, że nie widzą, straszliwego przelewu krwi, dokonanego i dokonywanego przez zwolenników jednej doktryny na zwolenników innej doktryny, czy innych doktryn. Zamknąwszy oczy na straszliwość zbrodni, widzą jednak proste i jasne z niej wyjście:

„*Tak idut **dierżawnym** szagom.  
Pozadi gołodnyj pios,  
Wpieriedi s **krowawym** ftagom...  
W bielom wienczikie iz roz -  
Wpieriedi Isus Christos*”.<sup>5)</sup>

Chrystus stał się dla nich nieodzowną przeciwstawnią, niemal pewną figurą stylistyczną, ozdobą wiersza, łatwym skróttem myślowym, a nade wszystko sposobem wyklamanania się z oskarżającej prawdy zjawisk Mistyczny ich entuzjazm jest, jak u Dostojewskiego, uczuciem wtórnym, zrodzonym przez wydarzenia, a nawet przez ukształtowanie państwowe. Sergiej Jesienin woła w ekstazie: „*Poju i wzywaju.: Gospodi otieliś!*” - a tymczasem państwo, z którego czynów jego entuzjazm wypływa, jak gdyby w myśl drugiej, a istotne myśli Dostojewskiego, zawiera traktat w Rapallo.

*Rossija,  
Strana moja!  
Ty - ta samaja  
Obieczonnaja solncem žena,  
K kotoroj  
Woznosiatsia wzory...  
Wiżu jawstwienno ja:  
Rossija  
Moja -  
Bogonosica  
Pobieżdajuszczaja Zmija.”*

śpiewa w zachwycie Andrej Biłyj, mało sobie ważąc, iż „Bogonosica” organizuje olbrzymią armię i wygraża ogromem jej niepodległości sąsiadów. My, którzy przeżyliśmy tak zwany „tołstoizm” znacznie dawniej, bo w arianizmie, a znacznie szczerzej, wznioślej i pokorniej, - którzy wydaliśmy ze siebie na emigracji mistyczną wiarę w Polskę, jako Chrystusa narodów, lecz w formie bezpośredniej, pierwotnej i czystej, gdyż w bezpaństwowym sieroctwie i na wygnaniu z ojczyzny, - spoglądamy na miotanie się ducha rosyjskiego ze współczuciem i pół-uśmiechem. Więcej pokory, więcej kultury, więcej prawdziwości i szczerości, a mniej krzyku i rozgłosu przydałoby się rosyjskim poczynaniom duchowym, naprawiającym świat cały. Nie tylko bowiem poeci, lecz i myśliciele, jak Sergiusz Bułhakow, wierzą i głoszą o przeciwstawieniu się Rosji całemu zachodowi: „Rosyjska ziemia ciągle jest żywa, a Chrystus chodzi po niej, jak przedtem w łachmanach niewolnika”. Zdawałoby się, że po wydzwignięciu się Polski spod cielska Rosji, po odparciu najścia bolszewickiego i wpośród tego powszechnego uczucia, iż nigdy już ani Suworow, ani Krylenko w Wiśle konia nie napoi, gdyż każdego wroga młoda moc narodowa rozedrze u plemiennych granic i raczej trupami wszystkich mężczyzn zawali drogi do wnętrza kraju wiodące, niżby miała do jarzma się schylić ponownie, - odetchniemy i w narodowym piśmiennictwie od rosyjskiego wpływu. Zdawałoby się, że znamy już niezgorzej te wszystkie perypetie i żeśmy się nimi nasycili do znaku. Tymczasem - tak nie jest. Najmłodsza poezja polska nie może się odessać, oderwać od piersi wielkiej „matuszki”. Futuryzm, stary już i strudzony, przywędrował i do nas wreszcie z Rosji, a rodzimy snobizm podaje, jako nowość, ów najistotniejszy kacapizm:

„Miejsc! Gromada idzie, proletariacki samum!  
Czapkami drogę wymościł taneczny krok rewolucji.  
Świat postawiony pod ścianą, jak mały, blady człowieczek.  
Mrugał bezradnie oczkami, gdy kolbyśmy wzniesli do ramion.  
Płakał zmartwiony Chrystus o dusze swoich owieczek.  
Gdy salwą gruchnęły lufy i śnieg się krwią poplamił.  
Nam-li dziś skomleć nad trupem, gdy hymnem tętni nerw,  
Czaszką o ziemię grzmocić i krzyzczeć: nie przeklinaj!?  
Do wszystkich okien i drzwi już wali kolbami mauzerów  
W łunach wschodzącej zorzy wielka, świetlana Nowina”.<sup>6)</sup>

Na odwrocie pierwszej stronicy swego poematu Bruno Jasiński umieścił cytat z *Liens* G. Apollinaire’a:



*„Libres de tous liens  
Donnons-nous la main”*

lecz niewiele wspólnego ma on z poetą francuskim. Natomiast wszystko go łączy z poetami Rosji: niweczenie ustalonej pisowni, lubowanie się w opisach jakiegoś „świata” pod ścianą, gdy „hymnem tętni nerw”, - no, i ów Chrystus, tak nieodzowny w każdym utworze rosyjskim, przy rozstrzeliwaniach, morderstwach i tym podobnych rozkoszach majakowszczyzny. „Nowina”, która, jakoby, „wali już kolbami mauzerów” do wszystkich okien i drzwi - jest to snobistyczna nowinka, literacka formułka, przeniesiona z książek rosyjskich do książek polskich wraz z całym aparatem niezbędnych akcesoriów najczyściej cudzoziemskich, jest to więc literacki „kie-runek”, odczytany już, ograny, porzucony przez tameczny snobizm i zwalczany przez kierunki nowe, imażinizm, mistycyzm, oraz przez najnowsze wycie w nocy Marienhofa:

*„Ja wychożu płoszczadiami orat’:  
Pradajotsia sierdce absolutno lisznije!  
Ej, kto choczet pudami tosku pokupat’?”*

Weźmy dla przykładu sprawę ortografii. W Rosji zaprowadził zmianę, pominięcie starego jat’ które nas tyle leż w dzieciństwie kosztowało, znaku twardego, oraz inne uproszczenia, - sam rząd sowiecki. Wszystkie książki i czasopisma drukowane są według nowej pisowni. O ile tedy utwory jakiego poety wychodziły z pod prasy w samej Rosji, musiały być odziane w szatę nowej pisowni. Dlaczego utalentowany poeta Bruno Jasiński drukuje swoją książkę tutaj, u nas inaczej, niż wszyscy, według jakiejś pisowni nieznaney nikomu, wymyślonej z głowy? Wytlumaczenie jest tylko jedno: naśladownictwo gotowego wzoru. Jakiż bowiem inny czynnik artystycznej, literackiej, narodowej, czy społecznej natury mógł skłonić tego poetę do wyrządzenia tak ciężkiej krzywdy naszej narodowej kulturze, jak niweczenie ustalonego sposobu wyrażania myśli? Gdyby jego utwór był jedynie monologiem wewnętrznym, wyrazem śnienia duszy, ujętym w wyrazy, to twórcy byłoby przecie wszystko jedno, jak ten proces tajny wyrazić graficznie i najłatwiej byłoby mu wyrazić go w sposób najprostszy, do którego ręka przywykła. Gdyby jego utwór był produktem świadomego, czy nieświadomego przewiedzenia, iż winien być powszechnie czytany, winien budzić echo, być istotnie „nowiną” szczerzego i śmiałego ducha,-to i ten, wtórny motor twórczości winien by był skłonić poetę do wyboru modły rozpowszechnienia jego dzieła najbardziej dostępnej dla szerokiego koła czytelników, czyli ustalonego sposobu ujmowania myśli. Poeta jest ofiarą trzeciej pobudki, postanawia zablęsnąć w świecie literackim wytworzyć protesty i sprzeciwy, uderzyć i oburzyć pewną sferę ludzi, pisząc nawet swe nazwisko w sposób niewłaściwy, przynieść na nasz rynek literacki olśniewającą modę. Zecerzy muszą ślepiąć, składając cudaczne wyrazy, korektor w głowę zachodzi, dlaczego ma poprawiać dni dziwne na dni dziwne, pędziły na pendzły, chodnikami na hodnikami i tym podobne. Gdy się widzi, jak na dłoni szkodę pięknych usiłowań artystycznych, podjętych ku nieuświadomionej może, lecz niewątpliwej szkodzie języka polskiego, ma się takie wrażenie, jak gdyby artysta malarz, zamiast wynalezienia nowej, swej własnej kombinacji barw i nowych wartości światła i cienia, połamiał swe pędzle i tuby farb, zmieszał wszystko w jedną masę i obraz swój palcem malował. Sprawa tak zdaje się prosta, jak pisanie wyrazu rzeka jako żeka, a próżno, jako pruzno, pisanie świadome, na złość wszystkim, przez człowieka, który umie pisać inaczej, lecz robi ze siebie dziecko, lub analfabetę, - przekreśla naszą pięćsetletnią narodową pracę w dziedzinie opanowania plemiennego języka przez pismo, - usiłuje cofnąć piśmiennictwo do tego okresu między XIV a XVI stule-

ciem, kiedy się pisownia nasza ustalała, kiedy już odróżniano w piśmie u od ó i ż od rz, - poza Ortografią Stanisława Zaborowskiego w roku 1513, poza Jakuba Parkoszowica z Żórawic „De orthographia polonica libellus”.

Ortografia dowolna cofa nas do sposobów utrwalania dźwięków przez pismo, jakiego chwytało się w księgach sądowych z końca XIV i początku XV wieku, gdy skryba nie mogąc sobie dać rady z wypisaniem po polsku terminu *kara wsteczna*, pisał raz *stweczna*, *wszeczna*, kiedy indziej *wcsztna*, *wsstczna*, *wssechna*, jak ręce było snadniej i możliwiej. Najbardziej „nowoczesny poeta polski staje na tej samej wyżynie, co pisarz z XV wieku, który, chcąc wyrazić zdanie „przyszwa przyszyta szyciem igły”, pisze z łacińska, jak może i umie: *przyszpha przyszytha szyczym gybly*”, - bowiem ów „futurysta” wyraża *Śpiew maszynistuw* w sposób podany, zamiast „poprawnego” w jego rozumieniu - „*maszynistuf*”. Ze wzruszeniem patrzymy dziś na mocowanie się pisarza „Kazań husyty polskiego”, który około roku 1450, nie mogąc sobie poradzić z uwydatnieniem narzucającego mu się polskiego dźwięku nosowego *q*, wynajduje dlań już to specjalny znak przekreślonego *o*, już oznacza go kształtem podobnym do greckiej litery *omega*, to znowu łączy dwa *a* i oznacza nimi dźwięk nosowy. Stawia on obok siebie litery *a* i *n*, może dla wyrażenia różnicy między *a* i zagasłym już dziś dźwiękiem pośrednim między *q* i *ę* (brzmiącym, jak francuskie *en* w wyrazie *enfin*), co znać jeszcze u nas w wyrazie Sandomierz, w wyrazie sąpierz === współzawodnik, może w wyrazach - Wąchock, sąsiad, Wąbrzeźno, Wąwolnica, Sapolno, - a co brzmi najwyraźniej w kaszubszczyźnie, w wyrazach, jak Smętek, (pomorska nazwa diabła), kåde (kędzy), kręcec (kręcić), sostrą (siostre).

W podobnym położeniu, jak pisarze glos polskich w tekstach łacińskich średniowiecza, stwarzający nowe znaki dla dźwięków obcych łacinie, znajduje się etnograf, gdy napotyka w gwaraach, które ma odtwarzać, fenomeny brzmień, wyrazów i akcentów, odmienne i nowe, i musi je na piśmie uwydatnić. Notuje tedy, według brzmienia, tak jak go słyszy, śpiew družek w Nowej Lubowni na Spiszu:

„Puście nos ta, puście,  
Nief tu nie stoima,  
Krutkie guńki mawa,  
To tu przemarzniema”<sup>7)</sup>).

Albo z okolic Tarnowa:

„Jade jo se z morguw, a juzem się zamrecu. Ziżdżom ze Sakuwki, a tu konc zagonuw, kawowecek przed końmi leci na ducha chuep debry, guewy nimo, i no ramieniach po świecce, a sadi ino się migo”...

Na Śląsku:

„Buu jeden ślachcic w jedny wsi, a miau jednego wogrodnika, co mu nie chciau robić i dau mu pedzieci ki nie bandzie robiuu, to musi nic warzyć”<sup>8)</sup>).

Na Kaszubach:

„Tu tak beło poevjodone, że przed vjele set lat, tu bele stolemi. To bele barzo moecny leze”...<sup>9)</sup>

w Radomskiem:

„Dobrze temu dobrze,  
Kto kumu łeb odrze,  
Jesce temu lepi,  
Kto koguj oślepi...”

W podobnym położeniu, jak pisarze głos średniowiecznych jest językoznawca, gdy musi przedstawiać składowe części wyrazów, opisywać ich historię, zmiany, koleje i przekształcenia ich budowy, oraz rozwój dźwięków. Jaka jednak jest przyczyna zmiany pisowni ustalonej na cudaczną, nie nową, lecz raczej prastarą, przed-pięciusetletnią, którą wprowadza poeta, nie kuszący się wcale o przedstawienie barwy gwarowej, gdyż przemawia do nas językiem pololitym, wielkomiejskim, powszechnym, gazetowym? Sam się do tego przyznaje mówiąc:

„Czytam świeże, pachnące farbą dzienniki,  
Z bijącym sercem przeglądam rubryki wypadków  
Które mnie kłują, jak ostre pilniki”.

Umiejąc pisać poprawnie, zadaje sobie najkomiczniejszy pod słońcem trud pisania niepoprawnie, męczy się na pewno i tego nudzi tą swoją zabawną robotą, popada w sprzeczność sam ze sobą, gdyż nie ma pojęcia o tym, jak, ze swego stanowiska wychodząc, ma pisownię polską zniekształcić. Podważa główną podstawę narodowej cywilizacji, - gramatykę - która musi być jedna dla wszystkich, gdyż na niej stoi oświata, czytelnictwo ludowe, postęp ku światłu biednych mas, w analfabetyzmie pogrążonych. Podstawy poprawnego pisania muszą być niewzruszone, jak szyny kolejowe. Nie mogą być podważane i niszczone, - o ile ruch nasz w kierunku krainy postępu ma istnieć.

Poeta nasz musiał tak postąpić, ponieważ jest ofiarą snobizmu. Prawo wyładowania się snobizmu intelektualnego jest tak samo nieprzewyciężone dla pewnych jednostek, jak dla innych konieczność ulegania modzie w odzieży i sposobach towarzyskiego zachowania się wśród ludzi. Jeżeli pewna ilość osób uprze się, ażeby pisać po swojemu, każda w swój niegramatyczny, barbarzyński sposób, będziemy mieli tak zwany prąd literacki, a nawet „Styl”. Ludzie rozumni i rozsądni lękać się będą podniesienia głosu z protestem, aby nie ulec posądzeniu o przestarzałość, niemodność, konserwatyzm, - będą w milczeniu potakiwali, aby mieć święty spokój, - i w taki sposób ta najędzniejsza z form naśladownictwa stanie się przez czas pewien panią na targowisku mody. Miejmy nadzieję, że po futuryzmie przyjdzie na nas „imazynizm” z bluźnierstwami i mistycyzmem, z koniem zamiast maszyny, z kultem metafory ustokrotnionej i tym podobnymi przepisami na piękno. Wpływy te będą mogły tym łatwiej się szerzyć, skoro istnieją już u nas obozowiska literackie, tworzące, każde w swym kółku, według pewnych ustalonych przepisów. Tak przynajmniej wnosić można z gwałtowności polemik, wychwałań się wzajemnych w jednych komunikach i potępień zborów sąsiadujących. Rodzaj tych literackich wynurzeń jednego poetyckiego klanu o innym klanie, już istniejącym i działającym zbiorowo, jest tak swoisty i dosadny, zwłaszcza w dziedzinie języka, iż warto go podnieść jako wzór stylistyczny naszych czasów. Czasopismo artystyczne „*Nowa sztuka*” (N. 2), oceniając wartość sumaryczną czasopisma „*Ponowa*”, głosi: „Tylko Radosława Krajewskiego brak do tego kompletu najordynarniejszych grafomanów warszawskich. Cudaczność niedouczonek kretynów, kultura nauczycieli ludowych, pewność siebie i ordynarność dorożkarska tych paziów p. Róży Czekańskiej-Hajmanowej daje w najlepszym razie ogryzki z przedwczoraj, *które* niepodobna nazwać poezją i potwornie nudne gadulstwo (P. Bunikiewiczza), *które* niepodobna ochrzcić mianem krytyki”.

Jednostkom, z dala stojącym od tych literackich parafii, a nawet nie znającym nikogo z autorów wymienionych wyżej, trudno obronić się wrażeń, iż naprawdę sponiewierani i skrzywdzeni zostali nauczyciele ludowi, a nawet dorożkarze. Gdyby bowiem prawdą być miało, co głosi oskarżenie, - a w co uwierzyć niepodobna, - iż członkowie czasopisma „*Ponowa*” są

ordynarnymi grafomanami, to obydwie te środowiska, w tytułach swych czasopism tyle nowości zwiastujące zaśnieździej ojczyźnie, niewesoło by się w gruncie rzeczy przedstawiały. Czasopismo „Ponowa” z pewnością odpłaci pięknem za nadobne czasopismu „Nowa sztuka”. A któż obetrze łzy nauczycieli ludowych? Winni to uczynić oni sami, stawiając przede wszystkim „pałę” krytykowi z „Nowej sztuki”, potępiającemu ogryzki, „które niepodobna nazwać poezją” i nudne gadulstwo, „które niepodobna ochrzcić mianem krytyki”. Wobec takiego stosunku nowatorów z „Nowej Sztuki” do starej gramatyki, nic dziwnego, iż ponad „ogryzki z przedwczoraj” przenoszą oni ogryzki najnowsze, jak niweczenie wielkich liter, przecinków, kropek i tym podobnych utrudnień. „Pewność siebie i ordynarność dorożkarska” wielka być musi w mieście Warszawie, skoro krytyk wziął ją, jako miarę i skalę wartości swych wrogów znienawidzonych. Lecz na dobro dorożkarzy trzeba zaznaczyć dwa plusy: 1) mówią swą gwara wielkowiejską, nadzwyczajnie ciekawą, nieznaną nam, a przecież czysto polską i poprawną, w stosunku do dziejowych podwalin języka, a 2) nie wydają pisma literackiego, kontentując się biczyskiem, którego czasami zażywają w istocie, ordynarnie i z pewnością siebie, gdy im kto w kaszę dmucha i na honor następuje.

Zwolennicy najnowszej sztuki w sprawie ujmowania słowa przez pióro w atramencie maczane, oraz w sprawie metody polemizowania z przeciwnikami niedaleko odbiegli od metody Girzego Argiglobyna Baccalarza Posnanczyka z połowy szesnastego wieku, który w swym rękopiśmiennym „Wykładzie nabożnym piosnki *Salve Regina*”, posługiwał się takim właśnie stekiem wyzwisk, jako argumentem przekonywującym: -”Chłopowie, nieukowie, kęsomańdrzy, swoimi psiożertymi obyczajami, co bezecni rnieśalowie, warczącem psom Lotrowskim, tym ćwidrogłowam sufletowie kuchcikowie” - i tak dalej a dalej.

O ile mi wiadomo, próbowano dwukrotnie w ostatnich czasach reformować naszą ortografię. Pierwszą próbę podejmował historyk słowiańszczyzny Wilhelm Bogusławski, przystosowując pisownię polską do czeskiej. Było to jakieś zamierzenie politycznej natury, o pięć wieków spóźnione. Niegdyś Parkoszowicz cofnął się przed naśladowaniem niewolniczym utrwalenia słowa polskiego przez czeskie znaki graficzne w obawie posądzenia go o husytyzm. Historyk polski nie wahał się proponować tego teraz, gdy trzeba by, wskutek podobnej reformy, wprowadzić potworne zamieszanie, albo przedrukowywać na nowo całkowite połączenie piśmiennictwa.

Kazimierz Promyk, a właściwie Konrad Prószyński, zasłużony na niwie oświaty ludowej, którego imię będzie wciąż otoczone, dopóki język polski trwać będzie, gdyż w dobie najcięższych prześladowań, najsilniejszą podjął pracę dla przeciwdziałania za pomocą oświaty wynarodowieniu ludu, - w celu ułatwienia analfabetom sztuki czytania, proponował zastąpienie *cz* i *rz* jednym graficznym znakiem, jedną czcionką, mającą wyrażać jednostkowe brzmienie. Ani pomysł Wilhelma Bogusławskiego, ani pomysł drobnej reformy Kazimierza Promyka nie doznał w sferze piszących i czytających poparcia.

Czy kiedykolwiek nastąpi reforma trudności wyrażania dźwięków naszej mowy na piśmie i w druku, trudności drobnych, minimalnych w stosunku do innych języków, na przykład angielskiego albo francuskiego, - niepodobna przesądzać. Może po wchłonięciu gwar przez język piśmienniczy dzisiejszy zajdzie jakaś potrzeba uproszczenia pisowni, czy zastosowania jej do nowych potrzeb. O tym zdecydują świadomi rzeczy językoznawcy, ogół pisarski i szeroki plebiscyt ludzi oświeconych. Reforma taka musiałaby być podjęta po głębokim namyśle, aby nie zaszła potrzeba przedrukowywania w nowej szacie graficznej wszystkiego, co było wydruko-

wane w starej. Jeżeli bowiem czytelnik małego wykształcenia miałby być pozbawiony tego, co zostało wydrukowane po staremu, to byłoby to z jego krzywdą bezwzględna. Skoro zaś raz się nauczył czytać i pisać sposobem dziś przyjętym, to na cóż mu reforma? Trudności gramatyczne polskie są niewielkie i łatwe do pokonania dla ucznia o inteligencji najbardziej poziomej.

---

1) Gustave Coquirot. *Cubistes, Futuristes, Passeistes*. Paris 1914. str. 90.

2) Przekład Dr Aleksandra Kołtońskiego, przytoczony w jego artykule p. t. „O futuryzmie, jako zjawisku kulturalnym i artystycznym”. *Krytyka* 1914.

3) M. Dostojewskij - w „*Dzienniku pisarza*”. 1880 r. Mowa na cześć Puszkina.

4) M. Dostojewskij. „*Dziennik pisarza*”. 1877.

5) Aleksander Błok. *Dwienadcat*.

6) Bruno Jasiński. *Pieśń o głodzie*. Kraków 1922.

7) Jan Grzegorzewski. „*Na Spiszu*”.

8) Aleksander Brückner. „*Dzieje języka polskiego*”.

9) Stefan Ramułt. „*Słownik języka polskiego*”. Kraków, 1893, 4°.

## ROZDZIAŁ 4

Nie tylko w utworach literackich ostatniej doby brzmią okrzyki na cześć rewolucji, lecz i w życiu narodowym wynurzają się zjawiska, naśladujące fenomeny życia Rosji sowieckiej. Raz wraz czytamy w gazetach o przebiegu procesów przeciwko komunistom w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Lublinie, Radomiu... Dochodzenia policyjne ujawniają tajne organizacje rewolucyjne wśród młodzieży uniwersyteckiej. Nie mam tutaj na uwadze czynów i usiłowań, stojących na usługach wroga, lecz wrzenie ideowe, wywracające ściany państwa dopiero co wskrzeszonego. Rewolucja nieopatrznie wszczęta w obliczu zaciekłych wrogów zewnętrznych, wśród których postawiło nas nieszczęśliwe położenie geograficzne, zabiłaby naszą niepodległość, ukamienowałaby nas rękoma Moskali i Niemców, jak żydzi, zaciekli w swej nieubłaganej doktrynie i pasji, ukamienowali świętego Szczepana, wskrzeszonego i odrodzonego w duchu. Wciąż jeszcze najcięższy grzech, nie pierworodny już, lecz uczynkowy, obciąża nas wszystkich: - miliony ludzi polskich bez roli, komorników i chałupników, taniego najmity, szlacheckiego, bez możliwości wyjścia z brudnego bytu na komornym do przemysłu, czy na roboty sezonowe, - zatruwa życie odrodzonej ojczyzny groźbą rewolucji socjalnej, niebezpieczeństwem wywarcia pomsty za swą krzywdę na wzbogaconej szlachcie i wzbogaconym gburstwie. To jest słuchacz agitatorów bolszewickich, to jest ta chłonna gleba, gdzie ziarno rosyjskie nie padnie na opokę. W pierwszych dniach istnienia państwa polskiego ogłosiłem był piśmko p. t. „Początek świata pracy”, gdzie dałem wyraz swym przewidywaniom, jakby sprawa bezrolnych w Polsce mogła być rozwiązana. Dziś, gdy Sejm Rzeczypospolitej inaczej sprawę rozstrzygnął, niema racji przypominania tamtych pomysłów, aczkolwiek znalazły pełne zastosowanie, - oczywiście, nie według moich wskazówek wykonane, - w dobrach rządowych w Poznańskim, odebranych od rządu pruskiego. Należy teraz oczekiwać na realizację reformy rolnej, przyśpieszać ją głosem opinii publicznej wbrew wrzaskom i wszelakim drwinom najemników reakcji, bezmyślnych prześladowców najbiedniejszego, bezdomnego pogłowa we wskrzeszonej ojczyźnie. Polska nie dlatego powstała, żeby dygnitarz cywilny, czy wojskowy pędząc w samochodzie, obryzgiwał dziadów i żebraków, wtulonych w każdy kąt, w każde załamanie muru stolicy państwa. Polska nie dlatego powstała, żeby w jej granicach miała swe rozpostarcie burżuazyjna fabryka paskarstw, szwindli i oszustw. Polska odrodziła się ze krwi i pracy męczenników po to, żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu. Polska nie może zostać w tyle poza swymi sąsiadami, jak w wieku XVII-ym, gdyż to była i byłaby jej śmierć, - musi stać nie tylko na równi ze swymi sąsiadami, lecz ich wyprzedzać. Dziś jeszcze ciąży na nas pierworodny grzech szlacheckich. Dziś jeszcze, gdy wzbogacony niepomiernie ziemianin wyjdzie o poranku wiosennym na ganek dworu i spostrzeże, że, dajmy na to, słońce zbyt silnie przygrzewa, a w łanach pszenicy i żyta tworzą się łysiny w miejscach przypalonych, postanawia *stante pede*

podnieść cenę „pary” zboża. Gbur wzbogacony idzie w tym wypadku ręka w rękę z dziedzicem i skwapliwie go naśladuje. Gdy tylko ta koncepcja w czyn wchodzi, co prędzej piekarz podnosi cenę chleba. Robotnik fabryczny, wskutek podwyższenia ceny chleba, żąda podwyższenia swej płacy dziennej, a skoro mu nie podwyższą, musi strajkować, ażeby mieć za co chleba kupić. Skoro zaś fabrykant, czy przedsiębiorca płacę za dzień roboczy podwyższył, natychmiast skacze cena cegły z dwudziestu tysięcy na trzydzieści tysięcy za tysiacy - i wyżej. Ktokolwiek zamierzał wznosić budowle, staje i na czas nieograniczony odkłada swój zamiar. Pęka Warszawa od nadmiaru mieszkańców, wał się stare domostwa. A ziemianin poczciwy, zgarnawszy papierków bez liku i bez miary, nic nie buduje. W starym swym dworze, urąga na żydów i czytuje kiedy niekiedy gazetkę co reakcyjniejszą, co soczystszą w wymyślaniu na strajkujących parobków, pisaną przez najemnych chwalców starego porządku rzeczy. Taki stan budzi gniew w duszach gorących. Istnieje gotowy wzór w Rosji, więc go chwyta wrażliwa imaginacja młodzieńcza. I oto wykwita nowa forma snobizmu, snobizm polityczno-społeczny. Wszystko, co się tam dokonało, gdyby nawet prowadziło do chaosu, głodu, ruiny miast, ludożerstwa i zamiany pracowitego spożywcę ziarna na włóczęgę, gotowego zburzyć miasta i pożreć własne dzieci, - wydaje się być dobrem i godziwym. Jest to bowiem rewolucja. Czym jest w istocie swej rewolucja, sprawdzałem w swym życiu dwukrotnie w innej dziedzinie, mianowicie - w bibliotekach. Było nas dwu młodych bibliotekarzy, którym oddano w ręce nie największą co do liczby, lecz nadzwyczaj zasobną i bogatą co do treści bibliotekę muzeum w Rapperswilu. Była ona nadzwyczaj źle ułożona i ustawiona według tematów działami na półkach: -teologia, archeologia, geografia, historia, nauki ścisłe, literatura, poezja, powieść i t. p. Działy te spisane zostały pracowicie w księgach, ułożonych alfabetycznie, a wobec szczupłości miejsca i braku w ogóle półek, dział przystawał do działu, bez pozostawienia miejsca na przybytki. Był to więc jak gdyby wierny obraz starego świata, jakieś Chiny, podzielone na kasty, skazane na wieczystą nieruchomość. Podział zachowany był tak skrupulatnie przez poprzedników naszych, dawnych kronikarzy, iż powiastka J. I. Kraszewskiego p. t. „Historia kołka w płocie”, nosząc w swym tytule wyraz *historia*, zakwalifikowana została do działu historycznego i tam postawiona na półce. Gdy przybywała nowa książka z zakresu, dajmy na to geografii, gdzie ją było postawić, gdy obok ostatniej książki geograficznej stała w bezpośrednim sąsiedztwie inna, dajmy na to, z dziedziny chemii? Mój ówczesny zwierzchnik, Zygmunt Wasilewski, (obecnie redaktor „Gazety Warszawskiej”), który był przed objęciem posady bibliotekarza w Rapperswilu przeprowadził gruntowne i poważne studia bibliotekarstwa w Berlinie, przyszedł do przekonania, które ja, jego pomocnik, a poplecznik, jak zawsze, rewolucji, gdzie ją tylko wdrożyć było można, - poparłem z całej siły, iż należy zwalić ten sparciały ustrój biblioteczny i stworzyć zupełnie nowy, naukowy, wszędzie na świecie przyjęty, niejako komunistyczny. Zdecydowaliśmy, że należy ustawić wszystkie książki formatami tomów na półkach: folianty na dole, ćwiartki wyżej, ósemki jeszcze wyżej, - spisać całe bractwo na kartkach katalogu alfabetycznego i dopiero w tym katalogu kartkowym dowolne wprowadzać podziały, czyli tworzyć katalog realny.

Zburzyliśmy tedy własnymi rękoma starą Bastylię, wywalając wszystkie jej kasty z półek na ziemię. Wspaniały to był widok, gdy „stary porządek się walił”, a tak potworna kupa książek legła na placu. Lecz gdy przyszło „nowy zaprowadzić ład”, przekonaliśmy się, iż jako twórcy nowego porządku rzeczy, przeceniliśmy swe siły. Nie wiedzieliśmy tego, że siły ludzkie są ograniczone, zwłaszcza jeśli są zawarte we dwu całej parady organizmach, a dzieło rewolu-

cji, o ile ma być dziełem postępu, nie chce nic wiedzieć o jakimkolwiek ograniczeniu siły, która je tworzy. Jeżeli sprawa rewolucji ma być wykonaną w istocie, to znaczy - skoro ma usunąć układ stary i na jego miejsce wdrożyć nowy, bez porównania znakomitszy, - wymaga natychmiastowej realizacji. Życie nie stoi na miejscu. I w naszej bibliotece życie nie stało na miejscu, czytelnicy żądali książek, a my nie byliśmy w stanie przez długi czas żądaniom zadośćuczynić. Nie mogliśmy we dwu podolać zburzonej bestii. Samo ustawienie książek według formatów zajęło wiele czasu, - a dopieroż nowy katalog! Według starych spisów można było książkę od razu odnaleźć, - w naszym nowym, znakomitym, naukowym układzie - nie bardzo, - chyba posiłkując się pamięcią. Ja sam pisałem *fiszki* katalogu alfabetycznego w ciągu czterech lat, - muszę sobie oddać pochwałę - z niemałą pracą, a przecież część tylko wykonałem. Nie rewolucję trzeba było wszczynać w starej bibliotece rapperswilskiej, lecz wymyślić mądrą reformę, która by ułomną robotę poprzedników ujęła doskonałym sposobem, ażeby się dał skutecznie pożyteczny postęp w tej rzeczy. Takiej to właśnie metody chwycił się genialny bibliotekarz, mistrz w tej sprawie, oraz świetny znawca kultury polskiej, Józef Przyborowski, w innej bibliotece, gdzie przez lat sześć pracowałem, jako sekretarz i urzędnik biblioteczny, mianowicie w przebogatej bibliotece Ordynacji Zamojskiej w Warszawie. I tam zastosowany został przez poprzedników, dawniejszych bibliotekarzy, nieszczęsny podział na półkach. Biblioteka Ordynacji Zamojskiej ustawiona jest w swych doskonałych, zamkniętych i oszklonych szafach alfabetycznie. Każdy autor idzie do szafy pod odpowiednią pierwszą literę swego nazwiska. Wywołuje to ten sam efekt końcowy, co w Rapperswilu. Szafa, dajmy na to, pod literą *R* zapełniona już została przez autorów, których nazwiska od tej litery się zaczynają, albo przez dzieła bezimienne, których pierwszą literę rzeczownika w tytule litera *R* stanowi. Przybywa nowy autor - Rembowski czy Radliński, - cóż z nim począć? Gdzie postawić jego dzieło? Czy zakładać nową salę dla alfabetu autorów? Czy zniszczyć cały ów nieopatrzny, niecelowy na przyszłość, można by rzec, - krótkowzroczny i lekomyślny układ?

Profesor Józef Przyborowski przemyślał swe zagadnienie i znalazł wyjście. Do alfabetu swych szaf, które nie zawierały litery *X*, gdyż, - poza kilkoma wyjątkami, - obecnie ani jedno nazwisko polskie od tej litery się nie zaczynało, dołączył właśnie literę *X* i pod tę literę stawiał wszystkie przybytki nowe według formatów książek, bez żadnego podziału na kwestie i nie licząc się z alfabetem. Komunistyczny ów porządek ustawiania książek wyłonił się, wypłynął z dawnego układu, stał się niepostrzeżalnym uzupełnieniem starego „ład”. Cała biblioteka upodobniła się do żywej rzeki, płynącej w swoją dalekość, zreformowana została bez naruszenia podwalin, bez zniszczenia dawnego podziału na litery, który dla szybkości znalezienia książki w trakcie wykonywania samej reformy, był pożyteczny, niezbędny, opatrzny i celowy. Józef Przyborowski, ów niezrównany bibliotekarz, istny dobry duch wśród nawału książek i rękopisów, sztychów i monet, nie przestał kierować pracą swych następców w księgozbiornie zamojskim nawet wówczas, gdy po olbrzymiej pracy swej dawno spoczął w grobie. Każda książka, która do biblioteki wpłynęła i przez ręce jego przeszła, - a nie było takiej, która by przez jego ręce nie przeszła, - nosiła na swym tytule znaczek ledwie dostrzeżalny, kierujący ją tam, gdzie było jej miejsce. Ten świetny językoznawca kontynuował pewne dawniejsze błędy pisowni, zaprowadzone przez jego poprzedników w układzie katalogu. Gdyby był poprawił te błędy, karta katalogowa poszłaby w miejsce niewłaściwe i wypadłaby z systematu. Dopiero przypadek mógłby ją być wykryć i na miejsce powrócić.



Są tedy okoliczności, kiedy rewolucja jest niewskazana, mówiąc z niemiecka, wykluczona. Jak w tej bezcennej bibliotece, tak samo w bezcennym żywocie rodu ludzkiego muszą być tolerowane przez genialnych sprawców i kierowników pewne błędy ustalone drzewiej, pewne haki i pętlice złego, które się stały koniecznością. Doktor Bovary chciał rewolucyjnym sposobem wyprostować nogę kulawca - i zabił go swym leczeniem.

Gdy już bolszewizm na dobre zakwaterował się w Rosji, wyszła w przekładzie polskim książka Uljanowa-Lenina o rewolucji i państwie. W jednym z rozdziałów tej pracy znakomity autor dowodzi konieczności zniszczenia przez rewolucję przede wszystkim biurokracji. Stawia to wymaganie na pierwszym miejscu, jako konieczność nieodzowną powodzenia rewolucji i skuteczności dzieła naprawy. Utrzymuje, iż nowa biurokracja, to znaczy pewna ilość indywiduów, spełniających rolę dawnej biurokracji, z łatwością da się zrekrutować z samychże robotników, gdyż te zadania, jakie pełnią biurokraci, daleko są łatwiejsze od zadań i prac, spełnianych przez robotników. W przekładzie na język polski owa książka i ten w niej postulat zjawily się wówczas akurat na naszym rynku, gdy tenże znakomity geometra, wycinający swe trójkąty i kwadraty w żywych masach ludzi, jako główny działacz nowego w Rosji ustroju społecznego i rządu, na gwałt powoływał i osadzał na urzędach starą biurokrację carską, dopiero co wypędzoną na cztery wiatry, gdyż bez tego rozsadnika wszelkiego złego życie państwowe stawało się samą anarchią, a machina państwowa rozłaziła się w rękach rewolucjonisty i w proch rozsypywała. Takie to figle nie tylko w bibliotekach, lecz i w samym życiu rzeczywistość wyprawia zarozumiałym teoriom. Kto zasiewa rewolucję i wznosi okrzyk na jej cześć, kto szerzy jej ideę wśród ludzi nieuświadomionych, musi pragmatycznie wiedzieć, co z jego inicjatywy wyniknie, musi wiedzieć, jak i kiedy nastąpi zamiana starej formy przez nową. To zaś jest, niestety, niemożliwe. Cały świat przekonał się o tej prawdzie na tysiącach przykładów, zwłaszcza podczas wojny światowej, że nikt nie przewidzi życia i jego tajnych potęg, gdyż nikt nie może znać przyczyn huraganu niskich żądz, które wybuchają w rodzie ludzkim. Pisząc te słowa, uświadamiam sobie niebezpieczeństwo ich wygłaszania. Konserwatyzm polski, zaskorupiała reakcja, czyhająca na poparcie praw swego żerowania, gotowa by oklaskiwać te uwagi w jakich „Kartkach ulotnych”, (czysto warszawskiej odmianie *Fliegende Blätter*), gotowa by je z zadowoleniem podkreślać szumnymi piórami heroldów i grantów obskurantyzmu. Lecz prawdę swą należy mówić głośno, nie schlebając ani - żał się Boże! - gwelfom i gibelinom polskim, ani rzeczom, ani wypadkom, ani stosunkom, ani ideom. Rewolucyjne uczucie polskie, którego dowodów ród nasz złożył tysiące tysięcy w czasach niewoli, musi teraz wejść w milion prac, zamknąć się w krocich wysiłków, wdrożyć się i wcielić w nieustanne tworzenie. Dom polski musi się osiedzieć, wesprzeć na wieki na swych starych podmurowaniach i przyciesiach! Któż jest tak okrutny i szalony, ażeby chciał do tych świętych ścian zbliżyć się z drągiem i zamiarem ich zdruzgotania! Nie posadzam nikogo o wysługiwanie się wrogom. Są dusze gorące, którym obmierzył widok biedy, deptanej przez polskie burżujstwo, tak samo dziś, jak za czasów panowania wroga. Ale istnieje również snobizm rewolucyjny. Są dusze, którym pachną piwnice moskiewskie, nalane krwią, dusze tętniące za możliwością pastwienia się, katowania, władania. Iluż to Dzierżyńskich wzdycha wokół nas za możliwością posiadania nieopisanej władzy!

Któżby był tak niesprawiedliwy i złośliwy, ażeby twierdzić, iż reformatorzy moskiewscy pragnęli w duszach swych zniszczenia i wygłodzenia rosyjskiego ludu. Ale oto na końcu ich marzeń o uszczęśliwieniu ludzi ubogich tego kraju zjawila się jędza ludożerstwa. Z rachunku

ich wypadło dobro i piękno, a *rzeczywistość* przyniosła śmierć głodową dziesięciu milionów ludzi, czyli całego jakowegoś narodu. Pragnęli wygubić najpodlejszą na ziemi carską tyranie, a zwalali się we krwi po samo serce i nie wiedzą, gdzie jest koniec ich własnej tyranii.

Polsce zawsze śmierział topór i pniak Iwana Groźnego. Tak samo dziś śmierzają jej moskiewskie krwawe piwnice i moskiewskie poezje, sławiące mordowanie. Gdy zajdzie potrzeba stworzenia rewolucji, to Polska stworzy swoją, lecz nie pójdzie śladem moskiewskiej. Pewnie, że żywi nieszczęśliwi ludzie nie są książkami w bibliotece, które mogą do nieskończoności czekać, aż je kto z miejsca na miejsce przestawi, lecz w Polsce niema masowego głodu, niema ludożerstwa, straszliwych chorób, zmiatających całe połacie siedlisk ludzkich i niema potwornego terroru rządów.

W przeciągu jednego roku szybkość postępu polskiego wykonuje bieg nadzwyczajny. Ktokolwiek jechał koleją nadwiślańską w roku 1919 i 1920 i przejedzie tą samą drogą dziś, musi doznać radosnego zdumienia. Okazuje się, że kolejnictwo polskie w przeciągu krótkiego okresu czasu zdołało osiągnąć jedno z pierwszych miejsc na świecie. Na terenach tak niszczonych w czasie wojny przez wszelakich najeźdźców, dążą już pociągi z precyzją i dokładnością, która zdumiewa cudzoziemca. Dwa lata temu podróżni stłoczeni i sprasowani w przedziałach, korytarzach, wiszący na stopniach i dachach, zatarasowujący sobą wyjście i wejście, odpychali się łokciami i wśród obelg wzajemnych przebijali do okien, ażeby przez nie wylazić na zewnątrz i wyciągać swe rzeczy, wobec niemożności dobiecia się do drzwi. Lokomotywy, zniszczone w czasie wojny, ledwie z największym trudem i niezmiernym opóźnieniem terminu przybycia wlokły wozy o zniszczonych osiach i powybijanych oknach do gruzów, resztek i ruin stacyjek, do baraków z desek naprędce skleconych. Podróż w tych warunkach była torturą, bitwą i kłótnią nieustanną, powodem chorób i kalectw. Dziś pociąg przychodzi na miejsce przeznaczenia precyzyjnie, co do minuty, są dla wszystkich miejsca siedzące, obsługa pociągu jest nienaganna, a nawet (ze słowiańska) uprzejma. Po drodze widzi się odbudowane dworce kolejowe. Nie wszystko, oczywiście, na tej kolei, czy na innych w kraju, doskonale jest i już bez zarzutu. Lecz postęp jest tak widoczny i ogromny, iż uprawnia do najdalej posuniętego optymizmu. Poddaje się z łatwością intelektowi kierującemu martwy materiał i intelekt pracownika. Jest to materiał doskonały, pracowity i posłuszny. Dawał mu dotąd rozkazy wróg, a w systemacie pracy nikt go nie kształcił i nie urabiał. Jedno i drugie jest w biegu. Niesłuszne tedy są martwe wyrzekania, naśladowanie starych wyrzekań, dziś już bezprawne a często nawet bezmyślne, snobizm wyrzekaniowy, tak powszechny i modny.

W dziale oświaty Polska czyni kroki ogromne. Gdy za panowania moskiewskiego w b. Kongresówce było dwa tysiące szkół (z wykładem rosyjskim) już dziś Polska zjednoczona ma z górą 50 tysięcy nauczycieli szkół powszechnych, a zdąża do wprowadzenia nauczania powszechnego, co wymagać będzie stu tysięcy nauczycieli. Za czasów rosyjskich na terenie b. Kongresówki było osiem seminariów nauczycielskich, dziś jest czterdzieści cztery państwowe i dwanaście prywatnych, a na terenie całej Rzeczypospolitej 152 seminaria. Rozpoczęła się już budowa wielu szkół powszechnych w Warszawie, Łodzi, Sosnowcu, Pabianicach, Zgierzu, Lublinie, Kole, Kraśniku i t. d., oraz wiejskich szkół w najrozmaitszych gminach. Poza gimnazjami Polska liczy 700 szkół zawodowych. Ze snu wiekowego budzą się najpiękniejsze dzieła ducha polskiego, jak Krzemieniec, a tam, gdzie miał panować wiekuisty gwałt i przemoc obca, w Wilnie, w Poznaniu, działają nowe uniwersytety.

Otrzymaliśmy w spadku po najeźdźcach 50% analfabetów. Jakież to trzeba podjąć wysiłki, ażeby młody organizm państwowy, wśród tylu niebezpieczeństw i przeciwności, mógł pokonać tego najgorszego z wrogów! Gdy ruszy się wreszcie z miejsca możliwość budowania, gdy pójdzie wreszcie pełną parą przemysł, gdy setki kolei przetną martwe dziedziny, gdy Poznańskie, któremu zaborca niemiecki narzucał swoje wyroby wielkoprzemysłowe, stworzy swój własny wielki przemysł, w takich centrach, jak Bydgoszcz, Poznań, - gdy ocknie się zagłębie krakowskie, nietknięte prawie zupełnie, gdy siła wodna tatrzańska i karpacka poruszy tysiące fabryk w tej dzielnicy, a cała Polska na przemysłową Belgię się zamieni, co jej przeznaczeniem, - wyjdzie ze swego straszliwego bagna sprawa żydowska.

Proletariat żydowski, - ów niby to kupiec, a w gruncie rzeczy nędzarz, - gnijący w małych, beznadziejnie brudnych miasteczkach, zatruwający siebie i te miasta, wyruszy stamtąd do fabryk i zmiesza się z tłumem robotników. Synowie chłopów, ukończywszy studia, staną się twórcami kultury nieszlacheckiej, nowej, nieznanej. Polska nie ma swojej doktryny, to też nie ucina głów przeciwnikom zbawczej, jakoby, doktryny. Jest ona w położeniu swego bibliotekarza, Józefa Przyborowskiego, który się biedzi nad sposobami znalezienia wyjścia ze starych nedorzecznosci. I Polska, jak on, szuka swojej litery *X*, która by była jej własnym sposobem, jej środkiem wyjścia w drogę bezkrwawego postępu, miłość człowieka mającego za hasło. Do znalezienia swojego własnego *X* pomaga jej kilka ostrzeżeń z przeszłości, kilka wyrazów świętych, które z otchłani cierpień niewoli wynieśli na światło *nobiles* ducha polskiego, eupatrydzi, ojcowie.

- „Im bardziej polepszyacie i powiększyacie duszę waszą, tym bardziej polepszyacie prawa wasze i powiększyacie granice „.

I najważniejszy ze świętych wyrazów:

- „ Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy”.

Niewidzialnymi drogami, otworami tajemniczych porów wstępuje tęgie zdrowie w ciało ojczyzny. Słońce i powietrze je karmi, wiatr je podpira, a niepojęta siła życia podwaja i potraja w każdej minucie siły. Rzeczywistość postępu polskiego tworzy się sama wszędzie, na całej szerokości ojczyzny. Tworzą ją ludzie prości, niegłośni, można by powiedzieć, pospolici, gdyby nie to, że owocność i pożyteczność ich pracy wynosi ich na czoło: nauczyciel, inżynier, majster, technik, żołnierz, policjant... Stwarza ją nieustępliwa, a zawsze ta sama praca uczonych, którzy z czterech końców świata zeszli się oto i w ciężkiej biedzie, zaiste proletariackiej, po swojemu budują. Rzesze mechaników, urzędników i robotników, w najtrudniejszych warunkach, gdy wszystko sprzysięga się przeciwko tworzeniu przedmiotów i wartości nowych, stwarzają je w sposób widoczny. Buduje się paliszcze i tworzy morska ostoja w Gdyni, pobiegła kolej na Hel i na Śląsk, wkrótce wyjdą nasze własne lokomotywy z fabryk chrzanowskich, kłębią się dymy nad Łodzią i Warszawą. Któż kiedy zdoła wypowiedzieć poświęcenie Ślązaków, nie tylko powstańców, ale zwykłych kolejarzy, którzy swą pracę musieli wykonywać w walce z wrogiem! Gdy my wszyscy spokojnie w naszych domach zasypiamy, polski policjant wychodzi na walkę nocną, na śmiertelny bój i wyścig z bandytą, ze straszliwym pomiotem wojny, dzikim skolimowskim zbójem. My, którzy żywymi oczyma patrzyliśmy na ruszczenie i niemczenie dzieci polskich w szkole ludowej, którzyśmy sami przeszli ohydny szkołę rosyjską, oglądamy żywymi oczyma narodową szkołę wędrowni młodzieży po kraju, pielgrzymki jej do morza, do tych starych miast, polskich z prawieku, które wróg przez tyle lat dziedziczył, - o czym, jako o ideale nieziszczalnym, marzyliśmy za dni młodzień-

czych. Na drogach ich staje przeszłość tysiącletnia, jakby wyłoniła się spod potopu wód, zawarta w odwiecznych katedrach, kościołach, zamkach. Rozkładają się przed nimi szlaki dalekie, prowadzące do dziedzin znajomych, jakby ze snu: ziemia chełmińska i katedra w Chełmnie, z jej dziką i straszliwą legendą, w której wszystko jest podstępem, zdradą, napadami po nocy i krwawą rzezią, - zwałiska krzyżackiej warowni między dwoma jeziorami Sztumu, Grudziądz i biskupi Kwidzyn, Gniew i Toruń, po wtóre, jak za Kazimierza Jagiellończyka, wydarty ze szponów wroga, - Śląsk w przedziwnym zachowaniu piastowskiej mowy podobny do zamkowej kaplicy w Lublinie, mowy, której cudność wyłania się spod niemieczyzny, jak tamtej malowidło spod wapna, - Malbork, w którego wnętrzu, dziedzińcach, grobach, krużgankach, salach i tajnych schodach czyha takie samo dziś, jak przed pięciuset laty zaklęte sprzysiężenie na Polskę. Malbork, którego kilkuset obywateli polskich wśród zalewu niemieckiego bohaterstwo głosowało podczas plebiscytu za należeniem do Polski, - a w trakcie pisania tej pracy miejsce zjazdu wszechniemieckiego z udziałem korporacji, młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej dla obchodzenia uroczystości rocznicy rozbioru Polski. Na marienburskiej wieży dzwoni nieumilkły dzwon naszej zagłady. Walka na śmierć odmienna jest w formie, ale w treści swej ta sama. Czatownie na nas Henryka von Plotzke, dybanie na naszą zgubę Ulrycha von Jungingen jest bliskie i dzisiejsze. Te widma i dziś na nas godzą. „Gruba Berta”, ustawiona w Szczytnie w ciągu paru pierwszych godzin pierwszego dnia po wypowiedzeniu nam wojny może zburzyć Warszawę, gdyż ta odległość wynosi sześćdziesiąt kilometrów. Ziemia mazurska jest nasza z krociami ludu, który mówi polską mową taką samą, jak w Płocku i na Kurpiach. To też hasłem każdej duszy, idącej szlakami Polski, czującej, młodej, świadomej, winno być hasło:

- Patrz w Szczytno!

Za czasów niewoli każda budowla, każdy złom muru z lat potęgi Polski był jedynie zabytkiem i przeżytkiem, kształtem martwym i już niemym przez swą od nas dalekość, gdy na powierzchni ziemi wyrastały wciąż przed oczyma cerkwie, zielone dachy gmachów w stylu „czysto rosyjskim”, albo pruskie koszarowe ogromy z berlińskimi wieżami i blankami. Stare polskie budowania były tak dalece nieżywe, niemal obce wszystkiemu, co się działo, iż raczej w nieporadności swej bolały i raziły, niż pokrzepiały widokiem swojej ruiny, czy bytem zagasłym w przeszłości, tak niepomierne dalekiej. Dziś, gdy naleciałość zostawiona na naszej ziemi przez wrogów, ulega zmieceniu, lub zagarnięta jest przez władzę, wzięta w służbę, - tamte dawnowieczne zarysy, kształty, formy wynurzyły się ze swej pomroki, zajaśniały, posiadły swoją moc dawną i zbliżyły się do nas na minimalną odległość. Patrzymy na romańskie kościoły, na mury Kazimierza Wielkiego, jak na początek tego, co jest dzisiaj, i co jutro objawiać się będzie w całej potędze. Każdy ułamek muru, wieża, brama, pomnik, nawet rurowisko, ma swe miejsce i wymowę, stało się bowiem ogniwem żywego łańcucha. Od zjawiska do zjawiska idziemy w głąb dziejów, w dal, dokąd pociąga nas ciekawość nienasycona, do ciemni, zasłanej mgłą pierwotnych *mitów*, podań i wierzeń. Jesteśmy wszyscy, jak Zoryan Dołęga-Chodakowski, przed którym świat niezmierny się otwierał, kraina czarów, obiecana ziemia dla artystycznej twórczości.

Współczesna twórczość polska, jak to mówią, nie pali się do tych światów. Jest to jej prawo. Nikt nie ma prawa narzucać artyście ani metody, ani formy, ani tym mniej tematu, nawet sympatii. Ale istnieje również naturalne prawo przemawiania o tym, iż są jeszcze inne tematy i inne rodzaje, metody, sposoby twórczości artystycznej poza istniejącymi i modnymi, - że mogą

istnieć inne czynniki i inne fakty, mogące otworzyć inne sympatie poza decydującymi obecnie o możliwości artystycznego działania. Któż bowiem może wiedzieć, czy od wpatrzenia się z pasją i wzruszeniem w dzieje i życie wyjarzmionej ziemi, w życie ludu, w jego obyczaj tak wieloraki na tym szerokim zagonie, nie wykwitnie w duszy artysty rodzaj nowy, sposób nieznany na świecie i może nareszcie nasza własna polska sztuka, nie przyniesiona zza granicy, nie czerpana z innej narodowej twórczości. Okazało się przecie, iż w Rosji, tak decydującej o naszych „kierunkach” taka właśnie nowa sztuka wyczarowana została z życia, mowy i wierzeń ludu przez Jesienina i innych. Może ten argument będzie miał jakie znaczenie.

W czasie wojny wszyscy niemal poeci polscy wojowali, wzywali do boju, wsiadali „na koń” i chwyтали „za broń”. Po skończeniu wojny Polska stała się niemodna w poezji, a wszyscy poeci są na nią niełaskawi. Przed kilkoma laty snobizm twórczy nawet zajęcie Warszawy przez Prusaków nakazywał rymami opiewać. „Warszawa wolna!” - wołał poeta. Dziś-przyłączenie naprawdę - Śląska - przeszło w poezji polskiej bez najmniejszego echa. Inny nam w dniu dzisiejszym snobizm miłościwie panuje. Lecz czy tematy, narzucone przezeń, czyli, według panujących obecnie opinii, należące jedynie do dziedziny sztuki, na które patrzymy i które traktowane są w dziełach artystów, wyczerpują w zupełności życie duchowe, sumę wzruszenia współczesnego człowieka, jego pasji, namiętności, idei, ogólną, zbiorową, czynną jaźń ludzką? Czy poza tą sumą, która należy do dziedziny sztuki niema spraw, tak dalece wstrząsających nas wszystkich, a wstrząsających niektórych z nas aż do złożenia życia w ofierze za ich ukształtowanie według woli i wewnętrznego duchowego rozkazu? Czy sztuka polska zaznaczyła w jakimkolwiek odłamie swoim, rylcem, barwą, dźwiękiem, albo choćby gwizdaniem melodii, ten niebywały fakt, iż ziemia chełmińska wróciła do Polski? Na tym skrawku nadwiślańskiej ziemi urodziła się jędra przemocy, wyćwiczyły się wszystkie walki, które kulę ziemską ogarnęły i wszystkie ludy pchnęły do boju. Na tym skrawku nadwiślańskiej ziemi Niemiec istotnie, w biały dzień „pluł nam w twarz”. Nie mówię o sztuce politycznej, patriotycznej, uprawiającej politykę i szerzącej patriotyzm. Nie mówię również o sztuce opisywania narodowych wypadków. Dawno, bo jeszcze w roku 1833 znakomicie tę sprawę rozwiązał Juliusz Słowacki w przedmowie do „Lambra”, mówiąc: „myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodowej, lub duszy świata”. Dusza narodu i dusza świata leży w tych płonących piaskach i niemych lasach, gdzie się przewija jeszcze niezdeptany ślad bucefała tyranii, która ludy całe ogniem i mieczem wytepiła. Śni tam bodziec estetyczny, leży nietknięty wstrząsający impuls, na każdym zakręcie drogi tkwi zaczajona wieść. Ujęte w olbrzymie epos, w kolosalny obraz walk „*Lites ac res gestae inter Polonos Ordine-mque Cruciferorum*”, w kronikę Dusburga, w dzieła prześwietne naszych historyków Dra Kętrzyńskiego, ks. Stanisława Kujota i innych - dzieje te przejmują do szpiku kości. Niestety, dla artysty polskiego są niemodne.

A jeżeli te dziedziny, pajęczyną starości osnute, nie nęcą naszego artysty, to czy zajęło jego uwagę dzieło najżywsze z żywych - Śląsk? Zajmował uwagę całej kuli ziemskiej, doprowadził do stanu wrzenia zimne umysły dyplomatów, wielkorządców, panów świata, stał się kością niezgody, o którą furia wojny mogła się rozpętać, lecz artysty polskiego nie wzruszył. To siedlisko nowoczesności, istny obraz futurystyczny, ta retorta kolosalna, gdzie się ma wygotować wielkie życie potężnej Polski, gdzie ma się w żelazie maszyn narodzić jej wola i wiekuista niezniszczalność jej bytu, nie została zauważona przez artystę polskiego. Gdy ten

strzęp piastowskiej dziedziny wytargany został zębami i pazurami śląskich powstańców, odarty przez sumienie świata z mocy ostatniego z rozbiorników Polski, angielskiego ministra, gdy dokonał się ów niezapomniany skok narodu najbardziej skrzywdzonego, w sedno potęgi, - to dzieło boskie nie obudziło w artyzmie polskim ani jednego westchnienia, równorzędnego mu co do wielkości i siły. Najnowsze prądy artystyczne we Włoszech, gdzie się narodziły, we Francji, w Rosji wchłonęły w siebie życie polityczne tamtych krajów, a suma żywych wstrząsów i przeżyć nadała dziełom futurystów (i innych kierunków) na każdym miejscu inne, swoiste, oryginalne zabarwienie. Tamte kierunki są nowymi w istocie kartami literatury włoskiej, francuskiej, rosyjskiej. U nas, niestety, są to „ogryzki” cudze, bezbarwne, nieczytelne, dowody rzeczowe snobizmu. W rzeczach sztuki - „nikt do nas, - my na wszystkie posyłamy światy”...

## ROZDZIAŁ 5

Popęd naśladowczy jest najbardziej charakterystyczną cechą człowieka na niskim stopniu jego rozwoju. Im kultura jest niższa, tym naśladownictwo bardziej rozwinięte. Wysoka cywilizacja stwarza kreację oryginalną. Na drugim końcu drabiny życiowej, w sferze geniuszu następuje przewyciężenie wpływów i naśladownictwo ustaje. Dziecko jest naśladowcą bezwzględnym. Wspólność w niemocy, ubóstwo inicjatywy i samodzielności, łączność w słabości i niedoli znakomicie odzwierciedlają języki słowiańskie co do dwu stanów, - pierwotnego niewolnictwa i dziecięcości: nazwy *chłop* i *chłopiec*, *rab* i *rebionok* z tego samego wypływają źródła <sup>1)</sup>).

W górach świętokrzyskich, w okolicy wsi Jeleniowa istnieje naturalne w ziemi zagłębienie, rodzaj rozległej półkolistej areny, gdzie swego czasu stale przebywały półkoczownicze rodziny cyganów ze swymi miechami i kowadłami. Wykuwali w tym miejscu koziki z żelaznym ostrzem, osadzonym w trzonku z jałowcowego pręta, zaopatrzonym w rowek na ostrze nożyka, oraz w nacięcia zabarwione na czerwono i zielono. Koziki te, które na rzemyku, zawieszonym u pasa, nosił każdy mężczyzna tamtych okolic, wykonane przez cyganów, nosiły nazwę „cyganków”. Zdaje się, iż w kształcie zacięć, rowków, w barwie ozdób cyganka mamy najpierwotniejszy chyba „prymityw” zdobienia rzeczy ludzką ręką wykonanej. A jednak i te najpierwotniejsze ozdoby - „cerwiniuskie, kieby krew, zieleniuskie, kieby trowa”, - najprostszego z przyrządów były produktem jakiegoś wzoru, - a dla mieszkańca tamtych okolic cyganek był przedmiotem nie tylko pożytecznym, lecz i pięknym, ozdobą, zbytkiem, przybyszem z obcego świata do jednostajnej i smutnej pustki. Twórca ozdób na trzonku cyganka nie wykonywał ich według własnego widzimisie, lecz powtarzał pewien typ uznany za doskonały i znajdujący zatwierdzenie w powszechnym upodobaniu.

Tak samo wzory malowania ciała wzdłuż żeber, na twarzach i goleniach przez Australijczyków, gdy mają wykonać taniec *corrobori*, - najpierwotniejsza ze sztuk zdobniczych, - nie są wymyślone przez wyspiarzy w każdym poszczególnym wypadku dowolnie, lecz w głównej mierze są naśladownictwem czegoś, co było przedtem, a musi być niezmiennie, gdyż ma swą zasadę, swe dalekie przyczyny. Czynność najbardziej egotyczna, tak niemal indywidualna, jak załatwianie wszelkich innych potrzeb cielesnych, modne malowanie się wielkoświatowej strojności, zabarwianie na różowo warg, wybielanie twarzy i szyi, ażeby je uczynić bardziej białymi, niż może być cera człowieka naszej rasy, albo, na odwrót, zabarwianie twarzy, szyi i ramion pudrem o kolorze tłuczonej cegły, ażeby nadać skórze pozór opalenia i ogorzałości bardziej jaskrawej, niż ją może nadać samo słońce i wiatr górski, nie są przecie indywidualną twórczością danej osoby, lecz również naśladowaniem niewolniczym pewnego kryterium piękności. W akcie tym tkwi pewien hieratyzm - aż do odwołania go przez pewną tajną instancję, Można by powiedzieć, iż to jakaś zewnętrzna ręka kieruje ręką, wykonującą kokiet-

ryjne, zupełnie indywidualne na pozór smugi i plamy. Najpierwotniejsze ornamenty na przedmiotach i broni Buszmenów i Eskimosów są naśladownictwem szczegółów, czerpanych ze świata zwierząt i nie mają wcale cechy figur swobodnie pomyślanych. Na narzędziach i maczugach widać wyryte zarysy kangurów, jaszczurów, węży i ryb. Na przyrządach kościanych Eskimosów - renifery, foki i wieloryby. „Wyspiarze adamańscy, którzy omazują się mieszaniną tłuszczu i ziemi kolorowej, mają ku temu praktyczną rację, gdyż powłoka z farby ochrania ich skórę od upału i komarów”<sup>2)</sup>). Naśladownictwo czyni z tej potrzeby ozdobę, a wreszcie sztukę. Tak samo ma się rzecz z tatuowaniem skóry za pomocą nakłuć i zranień. „Często znaki na skórze służą do innych celów, niż do ozdoby, jak na przykład w Afryce, gdzie długa blizna na udzie mężczyzny może oznaczać, że dowiódł męstwa w bitwie”. Dopiero pochodnym celem tatuowania skóry jest piękność. Życie zewnętrzne i uwidocznione przez poprzedników ślady walki człowieka z przyrodą panują nad pomysłem zdobniczym najpierwotniejszego z artystów, kierują ręką, która ozdobę wykonuje i zmusza ją do wykonania w sposób wskazany. Rysunki na tarczach wojowników amerykańskich są częstokroć znakami, zaczerpniętymi ze świata zewnętrznego, podobiznami zwierząt, czy węży, lecz przekształconymi na figury totemiczne, opiekuńcze symbole plemienia, czy rodu. Nie chodzi tam, jak w figurach, widniejących na naszych herbach, o naturalistyczną wierność. Rysunek zwierzęcia, czy jaszczura zamienia się na symboliczny znak i znowu, jako taki ściśle jest kopiowany.

Drugim z kolei wzorem, uwidoczniającym się w zdobnictwie ludów pierwotnych jest ornament z dziedziny splatania i wiązania włókien. Przejście od ozdób na orężu i naczyniu, odtwarzających zwierzęta i człowieka, czyli naturalnych wrogów wojownika, myśliwca i łowcy, - do ozdób roślinnych, kwiatowych i splatanych na wzór włókna, oznacza niezmierną, olbrzymią zmianę w trybie życia: przejścia do uprawy roli<sup>3)</sup>. Indusi, Chińczycy, Egipcjanie stwarzają ozdoby roślinne, jak pierwsi byli twórcami kultury osiadłej. Ornament roślinny nie zjawia się tedy sam przez się z prostego wyboru lub natchnienia artysty, lecz jest wynikiem olbrzymiej społecznej przemiany. Australijczycy i Buszmeni, zdradzający nadzwyczajne zamiłowanie do plastyki, jako myśliwcy odtwarzają na łupku, czy na innej powierzchni płaskiego wnętrza pieczar tylko figury zwierzęce i ludzkie. Jest to uderzające zjawisko, iż Egipcjanie w swej nieznajomości perspektywy linii i przestrzeni, w taki sam sposób usiłowali przedstawić szereg osób, jak dalecy od nich w czasie i przestrzeni rysownicy buszmeńscy, to jest umieszczając jedną figurę nad drugą. Rzeźby na rogu renifera z czasów przedhistorycznych, oraz zadziwiające swą doskonałością rzeźby z kości, wykonywane przez Eskimosów, odtwarzają tylko świat zwierząt, albo ryb morskich. Niesłychana wprost pewność, wprawność, zręczność ręki, w ciągłej walce osiągnięta, oraz nieomylność oka, nabyta wskutek ciągłej obserwacji ruchów wroga-zwierzęcia, poparta jest nieustającym wysiłkiem w czasie przygotowania narzędzi walki. Pierwotne rzemiosło myśliwskie ćwiczy w ciągu długiego czasu zdolność plastyczną, podnieca i wytwarza upodobanie do rysunku, zapala szczególną satysfakcję pieszczenia oka widokiem pokonanego zwierzęcia, jego kształtem, ruchem, wreszcie samą jego czystą formą, która z czasem staje się skrótem, schematem, symbolem i nabiera znaczenia myśli przeniesionej za pomocą obrazka w czasie i przestrzeni, - czyli pisma.

I poezja pierwotna posiada w najdawniejszych swoich objawach cechy, jeżeli można tak się wyrazić, użytkowe. „Myśliwiec północno-amerykański posiada pieśni, które wyprowadzają go na trop niedźwiedzia, lub zapewniają mu zwycięstwo nad nieprzyjacielem”<sup>4)</sup>. W poezji pierwotnej najbardziej poziome, materialne uciechy, uczucia egoistyczno - fizyczne zajmują



bardzo wiele miejsca. Tematy drwiące, wyszydające, okrutne, niemalą również grają w niej rolę. Forma pieśni posiada u plemion pierwotnych daleko większe znaczenie, niż ich treść. Słowa wraz z ich treścią są tylko dodatkiem, niejako pretekstem, dla wyśpiewania melodii. Rysem najbardziej charakterystycznym dla pieśni barbarzyńskich jest powtarzanie się sylab, nie posiadających żadnego znaczenia. Na każdym naszym pastwisku można obserwować potwierdzenie tej zasady. Pastuszek, czy pastuszka wyśpiewuje całe światy swej duszy, owijając melodyjką nieistniejące słowa:

Oj,-da moja-da dyna, oj, da-da-da, da-da-da!... Dziecko, cierpiące wśród ciemństwa ciężkiej choroby, śpiewa samemu sobie piosenkę ulgi i pocieszenia, wkładając w swą własną melodię własne swe słowa, nieistniejące w języku. Dziecko szczęśliwe, kwitnące wśród szumu drzew i zapachu kwiatów, śpiewa pieśń radosną, złożoną z najcudacznějších wyrazów, których nikt z „tamtych”, czyli dorosłych, nie może zrozumieć. Drugie, współuczestnik zabawy, powtarza dźwięk po dźwięku. Najzamienniejszą cechą formy poezji pierwotnej jest harmonia naśladowcza, czyli onomatopeja nieświadoma. Znacznie późniejszym zjawiskiem jest rytm i rym pieśni.

Z tego świata chłopów-chłopców i rabów - rebionków sztuka szła w swą nieskończoną, „długą” drogę. Przybierała najrozmaitsze kształty w ręku Azteków, Japończyków, Chińczyków, Indusów, Egipcjan, Greków, Rzymian, Maurów, i narodów Europy w średniowieczu. Kostniała w głuchym naśladownictwie w kształty hieratyczne perskie, egipskie, bizantyńskie, romańskie i wrywała się na nowo w kształty gotyckie, barokowe i inne. Przebywała olbrzymi zakres rozwoju od malowideł Australijczyków, wykonanych na jasnych gładkich jaskini czarną farbą z węgla drzewnego, ochrą brunatną i żółtą, a powleczonych nierozpuszczalną żywiczną gumą, do wizerunków Mony Lizy Leonarda da Vinci i księcia Norfolk Tycjana, - i od postaci niewieścich, rytych na zwierciadłach etruskich do postaci Medyceuszów w ich kaplicy grobowej. Od tych swoich wierzchołków jakież to światy przebyła, zdążając do nowego stadium swojego, do kaplicy, gdzie śnią trzy wielkie cienie świętego Cezanne’a, świętego Van Gogh’a i świętego Gauguin’a”!<sup>5)</sup>

Poezja - od pieśni wyśpiewanej wśród dzikiego tańca przez Botokudów, od legend o Beowulfie, bohaterze, poprzedzającym zjawienie się rycerstwa na północy, który z obnażonym mieczem żeglował po morzu wśród dzikich bałwanów, burz lodowatych i zimy wściekle szalejącej”,<sup>6)</sup> - od opisów rzezi i mąk, żądzy niebezpieczeństw, niszycielskiej wściekłości i swawoli krwiożerczych instynktów, których pełne są starożytne sagi północne, - przebywa olbrzymią przestrzeń, aż do epepei Percy Shelley’a *The revolt of Islam*, - która stanowi wizję XIX stulecia, stwierdzoną przez rzeczywistość i wizję pochodzą ludzkości na drogach postępu, - oraz do dramatów Roberta Browninga o najwyższej potędze słowa, gdzie akcja zawarta w samym dialogu uwydatnia taką furję uczuć, iż zastępuje działalność osób i ruch na scenie, a nawet świadomie skazuje na zagładę akcję dramatyczną, tak, jakoby, nieodzowną.

W świecie polskim - od zaginionych pieśni historycznych, związanych z dziejami Kazimierza Odnowiciela, z Ludgardą, zamordowaną żoną Przemysława, i innymi osobami, o czym wspominają Długosz, Bielski, Strykowski, - od pieśni ludowych myśliwskich, rolniczych, obrządkowych i obyczajowych, jak owa o Krzysztofie Szafrancu z Pieskowej Skąły, co rozbojami się trudził, a którą to pieśń chłopci mieli śpiewać za czasów Bielskiego<sup>7)</sup> - do gigantycznych rapsodów „Króla Ducha” i scen „Lilli Wenedy”, gdzie dzieje zamierzchłe, dni obecne i przyszłość splatają się w przedziwną jedność widzenia całości naszego rodu. W zakresie zażywania rymu,

od najdawniejszych wierszopisów przed Rejem, którzy, naśladowując wzory obce, kusili się o pokonywanie przeszkód nie do zdobycia, osiągnięte zostały najwyższe szczyty doskonałości w utworach, zarówno mistrzów romantyzmu, jak ich spadkobierców nowoczesnych. Harmonia naśladowcza, zaczerpnięta ze świata zewnętrznego, nie znikła, lecz tu i tam, w ekstazie, w jasnowidzeniu zasłyszana, daje najszczytniejsze fenomeny sztuki. Poeta umie odmalować, gdy należy, walkę z niedźwiedziem, lecz daleko odbiegł od poprzedników swych myśliwców, napaśników i morderców. Nie tylko wypuszcza na wolność sokoła, lecz porwany razem z nim w niebiosa, otrzymuje naturę sokoła, gdyż zdołał wyrazić to w słowie:

...”Skoro pociągnie oczyma

Po niezmiernych obszarach błękitnej swojej ojczyzny,

Wolnym odetchnie powietrzem, *szelest swych skrzydeł usłyszysz...*”

Kiedy indziej, - wydarty z ziemi rodzinnej, odepchnięty na zawsze od domu wiejskiego na Litwie, który kochał, stęskniony w dalekiej ziemi i w dalekim mieście za ulubioną przyrodą, stwarza sobie podświadomie burzę wiosenną i z radością słucha, jak w przepychu słów strzela z jego woli piorun i leci grom ponad litewskimi siołami:

„I anioł burzy, na kształt olbrzymiego słońca,

Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzęsnał piorunem”.

Nie jest to bynajmniej owoc świadomego dobierania dźwięków, jak naśladowanie galopu końskiego u Wirgiliusza - „*Quadrupedante putrem sonitu quatit ungula campum*”, - albo naśladowanie świadome powiewów zachodniego wiatru przez Shelley’a:

„*O wild West Wind, thou breath of Autumn’s being...*”

Gdybyśmy nie mieli nawet po temu wyznania samego twórcy, najprawdopodobniejszego z poetów:

„Ja rymów nie dobieram, ja wierszy nie składam,

Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam...”

to znajdujemy dowód w samym obrazie, iż jest on owocem podświadomego jasnowidztwa. Obraz burzy, wchłonięty jest przez wizjonera w jej całości, w jej grozie, pięknie, wraz z trwogą, którą burza niesie z przestrzeni i nocy, wraz z przedziwną rozkoszą, którą budzi, i pospołu ze wszystkimi dźwiękami, które się w niej rozlegają. Onomatopeja piorunu i gromu, najwznioślejsza może, jaka jest w poezji wszechświata, stworzona została nieumyślnie, bezwiednie, sama przez się, w natchnieniu.

Inny jasnowidz, Cyprian Norwid, zdołał wyrazić barwami, blaskami i dźwiękami sylab, naśladowujących płas wspaniałego rumaka, nie tylko głuchość plemiennego żalu na wieść o śmierci Bema, bohatera Ostrołęki, bożyszczka Węgier, żołnierza, szukającego swej sławy i dnia zwycięstwa, - lecz w skrócie niewysłowionej potęgi i piękności, oddać słowem nieszczęście całego narodu, hańbę niewoli, klęskę pobitych i niezłomną żądzę wszystkiej wolności, zamkniętą w duszach:

„Czemu, cieniu, odjeżdżasz, ręce załamawszy na pancierz

Przy pochodniach, co skrami grają około twych kolan?

Miecz wawrzynem zielony i gromnic płakaniem dziś polan

Rwie się sokół i koń twój podrywa stopy, jak tancerz”.

Konieczność naśladowania sposobów wypowiedzenia się, uzewnętrznienia, apercpcji poszczególnych wyobrażeń jaźni, czyli świadomości samego siebie, sposobów już używanych

i zużytych przez poprzedników,- konieczność naśladowania metod prac, które ze swej strony mają na sobie setne i tysiączne ślady ćwiczenia, pozostawione przez razy krytyki, - samo dzieciznienie ogromnej sumy obrazów, doskonale stworzonych wzorów świetnych i spowszedniałych, prawd artystycznych, uznanych za kanony nieomyślne, niewzruszone,- mniemań i upodobań, -wreszcie konieczność przewyciężenia olbrzymiej ilości pomysłów już zrealizowanych, o ile się ma wykonać rzecz zgoła nową, - obciąża ramiona i wstrzymuje rękę dzisiejszego twórcy. Istnieją wyraźne teorie: kopiuj mistrzów, dopóki sam nie staniesz się mistrzem. Henri Matisse pracowicie kopiował w muzeum Luwru i wykonywał niezrównane rysunki, nim stał się sobą, a Pablo Picasso kopiował Puvis de Chayannes'a, nim ze sztuki murzyńskiej wysnuł swój kubizm.

Naturalnym staje się wreszcie odruch artysty, pragnienie odepchnięcia bogactw, które na jego plecy wieki minione włożyły, strącenia ze siebie tych skarbów i wykonania własnego skoku w twórczość. Naturalnym staje się pragnienie, żeby zamknąć oczy na wszystkich mistrzów, nie widzieć Leonarda da Vinci, zamknąć oczy na Tycjana i, jak futuryści w drugim paragrafie swego manifestu, zdecydować o zniszczeniu dzieł Rembrandta, Goyi i Rodina.

Lecz oto - istotna oryginalność twórczości futurystycznej wnet staje się kanonem, wzorem, metodą, jedyną prawdą artystyczną i w lot zostaje pochwycona przez rzesze wyznawców. Zamiast wzniosłego i dumnego hasła pogardy dla naśladownictwa, wykwita samo naśladownictwo, wprawdzie nie starych mistrzów, na śmierć przeznaczonych, lecz nowych, właśnie nowatorów.

Futuryści zaznaczają sami z pogardą, iż dokoła ich usiłowań „nagromadziło się mnóstwo naśladowców i plagiatorów bez talentu”. W najrozmaitszych stronach świata, w krajach najodleglejszych od źródła nowego kierunku zjawiają się, jak na komendę, ludzie obdarzeni takim samym, jak tamci widzeniem rzeczy, taką samą, jak tamci, opanowani pasją wyładowania wrażeń, osiągniętych ze świata, czy z głębi jaźni, - czego dawniej nie doświadczali.

Szczerłość artystyczna, osaczona nudą tej nowej formy snobizmu, pchnęła poetów z tego zaklepanego koła w inną zgoła stronę. Zapragnęli, pozbywszy się dziedzictwa wszelkich autoritetów i przewyciężywszy wszelakie wpływy, tworzyć swe dzieła tak bezpośrednio, jak tworzy dziecko, lub człowiek pierwotny, zwany „dzikiem”. Odczuwać siebie i świat zewnętrzny ze szczerością dziecka i wyrażać tak po prostu i bez umówionego kłamstwa, jak wyraża dziecko.

Nie reprodukować umówionych, niejako, normalnych uczuć, mających swój kurs na rynku, nie wznawiać przeciętnych powtórzeń, nie podnosić ani jednej metody, ani jednego sposobu poprzedników. Znaleźć wyraz swój własny i swoją własną formę.

„Ja nie czytam Strindberga, ani Norwida,  
Nie przyznaję się do żadnego spadku”-

mówi poeta Bruno Jasiński.

Czy jednak można się zdobyć na to, ażeby, będąc dojrzałym człowiekiem, wyzuć się ze swej dojrzałości, zawierającej już w sobie znaczną sumę osiągniętych, podświadomych, zwapniałych niejako przeżyć i doświadczeń, - czy można osiąść wrażliwość dziecięcą, czyli tę sumę szczęścia, jaka jest dostępna jedynie dla nieświadomego i niedoświadczonego dziecka?

Poeta jest to odmiana człowieka, w której do starości żyje dziecko, - lecz sam on dzieckiem nie jest. Suma wspomnień przysłania mu każdy kwiat, motyla, małą drzewną żabkę, wiewiór-

kę i ptaka, które dla oczu dziecka są nagie, nie przesłonięte niczym, nowe i jego własne, bracia i siostry dziecięcej duszy. Co zaś do murzynów i wszelkich „dzikich”, tudzież egzotycznych, to z tymi sprawa jeszcze gorzej się przedstawia i trudniejszy ma przebieg.

W olbrzymim muzeum etnologicznym w Rzymie - „Museo Kircheriano” - można się w istocie zanurzyć w świat „dzikich”, można go badać, przyswajać sobie, wchłaniać, - ale czy można go pojąć i odczuć? Będą to studia, badania antropologiczne, etnologiczne, czy etnograficzne, wreszcie wysnuwanie pewnych nowych walorów czysto formalnych z form, użytych przez tamtejszych pracowników. Świata uczuć i wzruszeń, które tamten świat przedmiotów, czy dzieł wydały, człowiek innej strefy i kultury przyswoić sobie nie zdołał. W muzeum etnologicznym w Berlinie znajdują się drzwi, ozdobione rzeźbą przez artystę murzyńskiego z plemienia Haussa<sup>8)</sup>. Postaci, wyrzeźbione przez snycerza, sprawiają wrażenie komiczne i każdy z widzów przypuszcza, iż komiczne wrażenie artysta pragnął wywołać. Lecz czy tak jest w istocie? Któż wie, czy jego postaci nie były rzeźbione w celu obudzenia uczuć religijnych, podniosłych, albo tragicznych. Zbyt wielka przestrzeń dzieli świat wpływów, jakim podlega murzyn, od świata wrażeń Europejczyka, ażeby mogło nastąpić obcowanie zupełne i podnieta artystyczna kategorii dostojnej. Taniec murzyński zapanował w salonach świata burżuazyjnego. Pod względem formy samej w sobie sztuka murzynów służy za punkt wyjścia dla artystów europejskich, poszukujących nowych konstrukcji formalnych. Dla masy filutów i snobów służy ona, jako środek popisu nowostką, błyszczenia nowym figlem. Na jednej z poprzednich stron tego pisma przytoczone były inwektywy Percy Shelleya, skierowane przeciwko Michałowi Aniołowi za to, iż, zaczerpnąwszy motyw swego dzieła ze świata religii Greków, ośmielił się, jako katolik, przedstawić boga Bachusa w postaci pijanicy i zwierzęco pospolitego rozpustnika. Wielki poeta uważał posąg pijanego Bachusa Michała Anioła za oburzające i bardziej ponad wszelkie słowo fałszywe tłumaczenie ducha i znaczenia bóstwa greckiego. Należy się obawiać, iż chwytnie niefrasobliwą garścią samej fortuny zewnętrznej religijnych rzeźb murzynów, czerpanie z tego nowego skarbcza egzotycznej sztuki dla załatwienia pustki i niemocy wyjałowionej inwencji europejskiej, oburzy jakiegoś nowego Shelleya, również szczerego, prawdomównego i bezwzględniego w sądzie i podobne wywołała diatryby. O wiele łatwiej od pokonywania tak niezmiernych odległości geograficznych, kulturalnych i religijnych w sprawie zapładniania jednych organizacji twórczych przez inne, - dałaby się ta sprawa przeprowadzić, gdyby skrócić odległość i zmniejszyć jakość i ilość różnic. Chłopi polscy z ich życiem i gwarą są światem równie prymitywnym, jak murzyni, a pod względem sztuki plastycznej, - na ucho mówiąc, - daleko prymitywniejszym. A jednak ich całkowita jaźń dostępniejsza jest przecie dla miejskiego przychodnia i gościa, niż jaźń murzynów. Gdy do mazowieckiej równiny i do mazurów zbliżył się geniusz Teofila Lenartowicza, to zetknięcie wydało arcydzieła, jedne z największych w dziejach ludzkiego arcyzmu. To zdanie może być poczytywane za przesadę, gdyż zbyt bliska odległość czytelnictwa od pewnych utworów, obrzydliwość naśladownictw, odczytanie się i osłuchanie niweczy pierwsze wrażenie i paczy jasność sądu. Doskonale wnaśladowanie się w T. Lenartowicza, na przykład Maryi Konopnickiej, sprawiło, iż ten poeta nie jest w modzie, nie jest wzdłuż i na poprzek obnoszony przez snobów, gdyż pełne już mamy uszy tego „rodzaju”. Jeśli wziąć najpospolitszy z utworów T. Lenartowicza:

„Przez zagony, przez pole  
Idzie sobie pacholę”...

to mamy tutaj do czynienia właśnie z utworem natury „dadaistycznej”. Jest to przykład owe-  
go odrzucenia wszelkich wpływów, przykładów i „spadku”, którego uroczyście wypierają się  
poeci nowocześni. T. Lenartowicz nie należy do żadnej „szkoły” w literaturze polskiej. Tkwił,  
oczywiście, w pewnej grupie rówieśników po-romantycznych, ale nie należał do niej wcale.  
Jedynym czynnikiem, który nań widocznie oddziałł - było Mazowsze i lud mazowiecki.  
Równina, rzeka Wisła, drzewa nadwodne, szary widnokrąg, przyziemni ludzie, - wiosna, lato,  
jesień, zima... Oto wszystko.

„Przez zagony, przez pole”...

W istocie - najprzód pod nogą są „zagony”, a dalej, w przestrzeni przed oczyma, dalekie,  
puste „pole”. Idzie „pacholeć”, -szara w łachmanach stwora, nie wiadomo nawet jakiej płci,  
chłopczyńskiej, czy dziewczynskiej. „Wicher-ulewa”, a gdy się wszystko skryło w osiedlach,  
„to” idzie i śpiewa. „Wyszedł z gaju gajowy”... Taki sam, jak „to”, szary człowiek, leśny łąze-  
ga, do pniaka podobny, tyle tylko, że ma spłowiwały, niegdyś zielony, lampas na zrudziałej  
czapce, podobnie, jak szary odzimek bukowy ma nad sobą pod jesień płowiejące gałązki.  
Ten to, - jak gdyby zdumiony las przemówił, - „ozwie się w ty słowy”... To nie są miejskie,  
pańskie „te słowa”, ani brzmiące w Święto-krzyskim kazaniu o świętej Katarzynie, zachowa-  
ne na Litwie, mickiewiczowskie „ta słowa”, lecz tutejsze „ty słowy”, jak się właśnie mówi  
ponadwisłiu, wśród wieskich ludzi. Rozmowa jest prawdziwa, jak ułał. Tylko takie przecie  
pytanie mógł rzucić zdumiony człowiek:

„Taka bieda na dworze, a ty śpiewasz, niebożę”? Słowo „bieda” jest tutejsze, niezastąpione,  
malujące wszystko okrucieństwo, bezlitość, zaciekłość przyrody w jednym jedynym dźwię-  
ku, -a słowo „niebożę” jest litościwym tchnieniem na te istoty, które są na ziemi niczyje, ani  
ludzkie, ani ziemskie, ani nawet nie boże. Ale w słowie pacholęcia odpowiadają gajowemu  
wieki i wieki minione, próchnica, zalegająca wewnętrzne podglebie „smętarzów”, na których  
już się lasy wysokie wyniosły, brzozy sięgają długimi gałęzmi do bujnej murawy, jesiennymi  
kwiatkami przetkanej, - odpowiadają mu wszystkie dzieje ubożąt, skrzatów chodzących,  
z praprawieków mieszkańców tej ziemi piaszczystej, jałowej, gdzie człowiek w walce, w pra-  
cy, w trosce, - brat bratu, siostra siostrze, - katem się staje.

„Oj, długom ja płakała, gdy mnie siostra wyгнаła, gdy ja, biedna sierota, drżąca stałam u płota”.  
Lecz oto radosne rozwiązanie, jedynie istniejące w tym życiu, nie znającym odmiany:-

„Aż raz w nocy niedzielnej,  
Przy dzwonnicy kościelnej,  
Mróz wszelakie czucie ściał  
I pan Jezus duszę wziął”.

Zupełnie tak mówią chłopci. Siekące akcenty, w węzeł wspomnieniowy związane, skupione  
w jeden obraz, jak gdyby świstem kosy. Kilkoma kreseczkami, ni to nieomylnym rylcem Ja-  
kuba Callota narysowany jest ten niezapomniany krajobraz: zagony, pole, gaj i te dwie posta-  
ci. Jedyne na widnokręgu przedmiot, rzucający się w oczy, który w tych polach widać, - to  
dzwonnica kościelna, - a nad wszystkim zatoczone wysokie niebo, - jedyna radość, - gdzie  
już nic z tych straszliwych konieczności - jadła, przyodziewku, legowiska, - o które ludzie  
w walce dzikiej na śmierć się zabijają, a siostra siostrę „wygania” - „nie trzeba”... Wszystkie  
strzeliste ekstazy świętej Teresy, wszystka niezłomna potęga wiary świętego Alexego i wszyst-  
ka radosna ufność świętego Franciszka, co więcej, wszystka treść wszystkich religii zawarta

jest w tym najcudniejszym polskim westchnieniu: - „idę sobie do nieba”. Ta przezysta artystycznie, wytworna i mądrze sformułowana sprawa, ta uriańska perła poezji polskiej, wyrwana jest z surowizny, podjęta z piachu dróg międzyleśnych, wydobyta z samej istoty bytu, z mowy tutejszego ludu, o krok od Warszawy. Każde dziecko umie ten poemat na pamięć, - o, hańbo literatury! - dziady pod kościołem śpiewają go ludkowi na odpustach, król musiałby się nad nim głęboko zadumać, jaśnie pan łyzy gorzkie ronić... Jest to bowiem siła, rola i zadanie prawdziwej i wielkiej poezji, iż ludzi, których na ziemi wszystko rozdziela, różni i od siebie odtrąca, samym widokiem okropności i skutków różnic, na nowo łączy w jedno, i samo tylko ludzkie serce w nich odsłania.

Teofil Lenartowicz jest poetą Mazowsza, jak Juliusz Słowacki poetą Ukrainy, Mickiewicz Litwy, Kraszewski Wołynia, Sienkiewicz Podlasia, Adolf Dygasiński Stopnickiego Ponidzia, Tetmajer Podhala, Reymont Ziemi Łowickiej, Kasprówicz Kujaw. Nam, którzy przecie rośniemy w dumę i nadymamy się, niczym Malvolio w „Wieczorze Trzech Króli”, gdy nas kto nazwie „Francuzami Północy”, wcale nawet nie chodzi o oryginalność. Chodzi o to, żeby być do kogoś „na zachodzie” zupełnie podobnymi. Oryginalnością u nas nazywa się to, gdy ktoś po kryjomu przemyci na targ warszawski, czy krakowski jakowąś nowostkę z zachodu, czy tam ze wschodu, wytworzy dookoła tego towaru rumor, czyli „prąd”, to jest ogonek naśladowców, kopistów i plagiatorów. Skoro zaś zjawia się tutaj na miejscu utwór prawdziwie oryginalny, samoswój, nowy i kapitalny, - to przechodzi w krainę niepamięci bez wrażenia. Niedawno zjawiał się na naszym literackim „rynku” taki utwór. Jest to „Historia jednego podwórza” Zygmunta Bartkiewicza. Rzecz zupełnie własna tego pisarza, pisana językiem i stylem jedynym, nie posiadającym nigdzie wzoru, ani poprzednika, specjalnie stworzonym dla wydania ze siebie tego dzieła. Język ten wypłynął z duszy autora, lecz jest mową dworów mazowieckich i stanowi ich, że tak powiem, gwarę. Nie będzie to wcale przesadą, gdy powiem, że utwór ów jest epopeją pewnej formy życia zanikającej, schnącej w oczach, ginącej. Dla tych zaś, których szczęśliwe dzieciństwo upłynęło na wsi, pod dachem starego dworu, wśród starej służby, w rozmowach i głębokich przyjaźniach z różnymi Frankami, czy Wawrzakami, w ponocnych harcach tajemnych na ukochanym źrebku, - ta książka jest wyrazem szczęścia dzieciństwa i gorzkiego za nim żalu. Utwór ten przeszedł bez wrażenia, ledwie zauważony, a twórca poklepany, że tak powiem, po ramieniu. Autor stoi gdzieś z boku, czy w kącie, nie należy do żadnej literackiej parafii...

Podobny los spotkał kilka utworów młodego pisarza Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to świetny prozaik i pisarz najzupełniej oryginalny. Nie umiem inaczej określić wrażenia pewnych opisów, rzucanych tu i tam w utworach tego poety, jak przyrównując je do błękitu oddalenia. Ten to błękit nadaje barwę całej ziemi ukraińskiej, gdzie się przydarzają najpospolitsze historie młodości, opowiadane ze szczerością wyznań Jana Jakuba Rousseau, z niewymowną prostotą poufnych zwierzeń do ucha ukochanej kobiety. Dwa szczerozłote przymioty, zapowiadające świetnego pisarza, - najzupełniejsza oryginalność pomysłów i najbezwzględniejsza szczerość wynurzeń, - ściągnęły na Jarosława Iwaszkiewicza nie tylko napaści ordynarnych dziennikarskich felietonistów, zwanych krytykami w stołecznym mieście Warszawie, ale również rozmaite szarpaniny ze strony panów cenzorów Polski wskrzeszonej i zjednoczonej, tym śmieszniejsze i godne wyróżnienia, że zarządzane przez *ci-devant* literatów i *ci-devant* pornografów.

Gdy mowa o prawdziwej oryginalności w artyzmie polskim, nie może być pominięty pracownik, który niedawno stanął w szeregu, a już z niego ustąpił, - Włodzimierz Konieczny. Za-

zwyczaj cała niezwykłość, fenomenalność duszy pisarza w piśmie jedynie się uzewnętrznia. Strumienie poezji przepływają przez poetę, lecz sam on nie jest poezją. Daleko rzadszym zjawiskiem jest człowiek, któryby sam był niejako utworem poetyckim. Gdy dziś spoglądać na życie Włodzimierza Koniecznego, to się może wydawać, iż on tajnym widzeniem swoim miał wiadomość, iż życie jego jest bardzo krótkie, a tego pokładów swej duszy nie może na lata rozłożyć, skarbu swego rozmiąć na drobne i mieszać świętości z brudem. W nim ciągle żyło święte dziecko. Zachwyt jego był wciąż pierwotny i taki sam w uniesieniu. Gdy z panem Stanisławem Witkiewiczem (*ojcem*), dwaj przyjaciele o takiej różnicy wieku, spoglądali sobie w oczy, uśmiechali się radośnie do czegoś, co sami tylko oni dwaj dobrze wiedzieli. Gdy pewnego razu jechaliśmy we dwu do Włoch, a Włódzio właściwie pierwszy raz w życiu nie do Włoch, lecz „do Pestum”, w Wenecji wysiadł w głąb noc i podczas burzy biegł ku brzegowi, wskoczył w łódź i zginał mi z oczu, dążąc na statek, zmierzający do Fiume, żeby „na chwileczkę zobaczyć pana Stanisława w Lowranie”. Nie było w tym wzajemnym umiłowaniu się dwu dusz wytwornych żadnej zgola zależności, ani wpływu, gdyż Konieczny był nowatorem, szukał swej drogi, a najsilniejsza pasja artystyczna, jaką widziałem, rządziła jego duszą. Zmagał się z marmurem, wykuwając we Florencji kamień nadgroby Zygmunta Krasieńskiego, kształtował swe pomysły w La Ruche w Paryżu, w takiej samotności i biedzie, iż, gdy zapadł na tyfus i gmina miasta Paryża zabrała go do szpitala epidemicznego, nie mógł się nawychwalać rozkoszy i państwa bytu, jakiego w tym to szpitalu, jakoby księżę udzielny, doznawał. Wyszedłszy zaś ze szpitala i siedząc któregoś dnia w Luwrze przed posągiem Samotrackiej Nike, skomponował wiersz ogłoszony w „Krytyce”.

Nie należał jeszcze wówczas, o ile wiem do organizacji strzeleckich. Śmiano się wówczas pokątnie z owego wiersza; - jakimże to sposobem Nike mogła ucałować go w usta, nie posiadając głowy? Lecz, widać, dla niego jednego czarująca Nike Samotracka posiadała, na ramiona przywdziała istotną swą głowę i jego jedynego pocałowała w usta. Ten tylko wiersz napisał, a całe w nim życie. Jedyna spowiedź, a tak powszechna, iż wszystko wyraziła. Gdy nadeszła wojna, Włodzimierz Konieczny poszedł do legionu. Był w kilkunastu bitwach. Chwalił wojnę, nazywając ją dalszym ciągiem swego arcyzmu. Mówiono, iż był nieulekłym żołnierzem i wybitnym oficerem. Gdy go widziałem ostatni raz, ze śmiechem twierdził, że nie imają się go kule i omijają go bagnety. Lecz w ostatniej z rzędu bitwie na Wołyniu, kędyś w rowach strzeleckich, mężnie broniąc swego stanowiska, zakłuty został bagnetami przez moskiewskich żołdatów i wraz z utratą owego posterunku wrzucony do wspólnego kędyś dołu, gdyż niewiadomo wcale, gdzie jest w wołyńskiej ziemi jego mogiła. Tam - kędyś - Samotracka Nike ucałowała go w usta.

Wydaje mi się, iż tej pięknej postaci polskiego arcyzmu, temu człowiekowi całkowitemu w swej cnocie, najmężniejszemu z mężnych żołnierzy Polski walczącej należy się cośkolwiek od Polski wolnej i potężnej. Drzewo jej chwały, wypijając korzeniami swymi tyle przelanej krwi, wessało i tę najszlachetniejszą ze szlachetnych. Gdyby to było w mojej mocy, nazwałbym bez wahania imieniem Włodzimierza Koniecznego jakiś szaniec przedmostowy, który nie może być oddany, jakiś przyczółek, czy fort, o który, jak o posiadanie sztandaru, na śmierć walczyć trzeba, jakiś pułk waleczny i po rzymsku cnotliwy.

---

1) K. Kadlec.

2) Edward B. Tylor. „Antropologia”. Warszawa 1901. 4<sup>o</sup>. Str. 240 i 241.

3) Ernest Grosse. „Początki sztuki”. Warszawa 1904.

- 4) Edward B. Tylor. „Antropologia”. Str. 203.
- 5) Gustave Coquirot. „Cubistes, Futuristes, Passeistes”. Paris. Str. 2.
- 6) Hipolit Taine. „Historia literatury angielskiej”.
- 7) Jan Łoś. „Początki piśmiennictwa polskiego”. Str. 459.
- 8) Ernest Grosse. „Początki sztuki”. Warszawa. Str. 23.



## ROZDZIAŁ 6

Jeżeli w jakiej sferze artystycznej Polski współczesnej snobizm święci tryumf najwyższy, - to w teatrze, oraz w tej atmosferze, która teatr otacza. Wszystko w tej krainie jest snobistycznym *tabu*. Można bez przesady powiedzieć, iż dziedzina teatru jest samym czystym snobizmem w stanie zgęszczonym, i to zarówno twórczość sceniczna, sceniczna realizacja twórczości, a nade wszystko krytyka. Kto chce do tego świata wtargnąć, musi przestać być sobą samym, stać się naśladowcą, przedrzeźniaczem kanonów, kopistą, trzymać się kodeksu i przepisów, dodatków do przepisów i zwyczajów urojonych, których przekroczyć nie wolno. Stan taki panuje nade wszystko w Warszawie, która od niepamiętnych czasów, od samego przedwiośnia romantyzmu, jest miejscem pobytu i działania i słynie z kutyh na cztery nogi „krytyków i recenzentów”. Gdy się jest w którymkolwiek teatrze podczas „premiery”, można nawet mieć szczęście oglądania twarzą w twarz i własnymi oczyma tych rozdawców łaski lub niełaski dla dramato- i komediopisarzy, - owych korepetytorów w zakresie piękna i smaku, oraz walorów scenicznych dzieł, wystawianych na scenie, którzy pouczają, pracowicie - a według ich terminologii „wychowują”, niedowarzoną, niekulturalną i w ogóle ciemną publiczność. Publiczność, pomimo tak już długiej pracy krytyków i recenzentów warszawskich, trwa wciąż jeszcze w stanie czynnego, lub biernego oporu; najczęściej nie słucha wskazań, chodzi do teatru na sztuki potępiane i nie chce chodzić na wychwalane. Co prawda, na obronę publiczności trzeba przytoczyć tę okoliczność, iż ogół musiałby się chyba podzielić na dwa stronnictwa, czerpiące światło teatralne z tej, albo innej gazety, gdyż częstokroć się zdarza, iż światłość teatralny z jednego organu gani zajadle to właśnie, co drugi wychwala i podnosi. Ten wymyśla srodze na autora, - niech nim, dajmy na to, będzie Bernard Shaw, a chwali za to wystawienie sztuki i grę aktorów, a tamten niezliczoną ilością przemyłych przymiotników obsypuje, jak pudrem z woreczka, właśnie autora, a miażdży i piętnuje wystawienie sztuki i grę aktorów. Jedni z tych niezrównanych wodzirejów estetycznych piszą ciepłe, pełne szczerego i serdecznego entuzjazmu, pełne niekłamanej sympatii studia o sobie, poprawiają natomiast pracowicie błędy inscenizacji Szekspira, korygują treść i ustanawiają ostateczną redakcję dramatu pod tytułem „Hamlet”, oraz udowadniają czarno na białym Wyspiańskiemu, jak dalece, będąc skądinąd poprawnym polskim patriotą, nie znał się na istotnej sceniczności, tudzież na walorach ściśle teatralnych. Inni kanon estetyczny wywodzą z antysemityzmu, pilnie i bezsennie czuwając, czy autorem sztuki wystawianej w teatrze nie jest przypadkiem żyd, albo ktoś taki, kto im jest o żydostwo mocno podejrzany. Wszystkie jednak te indywidualne przymioty „biegłych”, jak ich pieszczotliwie nazywał komediopisarz Józef Bliźniński, - utopione są w jednym żywiole, w sumie tak zwanych „praw teatru”, których znajomość ci wyjątkowi eksperci teatralnego interesu w pełni posiadają. Poza kilkoma jednostkami ze świata poezji i literatury, które sprawę teatralną dlatego obejmują, iż jest ona jedną ze

sfer poezji i literatury, plejada krytyków składa się z owych przypadkowo kreowanych przez właścicieli gazet fachowców teatralnych, felietonistów i dziennikarzy, którzy właściwie są poza nawiasem literatury, gdyby im odjąć przygodne prawo pisania o teatrze. Prawa teatru polskiego, które biegli demonstrowają tłumowi, wyrosły, oczywiście, nie tutaj lecz „na zachodzie”. Tam istnieją i kwitną owe prawa twórczości teatralnej, do których tutejszy pegaz musi się dopasować, dostroić, dociągnąć i wejść w chomąto, o ile chce być pasowanym na pegaza w dobrym stylu. Opanowani przez przywidzenie praw teatralnych krytycy, a za krytykami dyrektorowie teatrów, za dyrektorami reżyserowie, kierownicy i wszystek w ogóle świat w teatrze miarodajny, mówi o jakimś teatralnym *tabu*, którego przekroczyć nikt nie może pod karą najcięższych zniewag i wyzwisk. Okazało się jednak, iż poezja łamie z łatwością owe mniemane szranki, w których jedynie twórczość polska ma stawać i pędzić do mety. Już dramaty Wyspiańskiego udowodniły, iż kanony, stawione przez „biegłych”, są złudzeniem powszechnym. Opowiadają, iż najbiedniejszy z biegłych, Tadeusz Pawlikowski, latami trzymał w biurku „Warszawiankę” Wyspiańskiego, nie decydując się na jej wystawienie, jako utworu niescenicznego, a więc teatralnie nieartystycznego, nie nadającego się do gry na scenie, gdzie tylko utwory, nadające się na scenę, czyli scenicznie artystyczne, mogą być wystawiane. Lecz sprawa ze Stanisławem Wyspiańskim, jego przyjście na scenę, całkowity i niebywały tryumf i sukces, nie naprawił stanu rzeczy, lecz go nawet pogorszył. Przybył bowiem nowy kanon i nowa kategoria snobizmu. Nie tylko autorzy zaczęli niewolniczo naśladować mistrza, powstała falanga dramaturgów, piszących nie tyle po polsku, ile po wyspiańsku, zjawiała się swoista moda wyspiańska, ale nadto wyrosło nowe *tabu*, według którego niepisanych zasad tutaj znowu, na wyżynie Wyspiańskiego, znajduje się cel drogi, ostatni szczyt, cypel i koniec wszelkiej twórczości w zakresie tragedii i dramatu. O wystawieniu na scenie utworów Słowackiego i Wyspiańskiego w świetle dyrektorów, inscenizatorów, reżyserów i krytyków mówi się z przymkniętymi, albo przewróconymi oczyma, jako o hermeneutyce, tajnej wiedzy, której arkana posiadają niektórzy wtajemniczeni, ale która właściwie nigdy i nigdzie zrealizowana być nie może w sposób im wiadomy, a to wobec ciemnoty publiczności, kołtuństwa czynników miarodajnych i okropności warunków dzisiejszego teatru. Ilekroć zaś wystawiony zostanie jakiś utwór tych mistrzów, nastaje larum biegłych, krzyki i pomstowania na winowajców, a koniec końców skrupia się na warszawskiej publiczności, która w ordynarny sposób, jak osioł najpotężniej smagany i szarpany, nie chce po prostu chodzić na sztuki mistrzów słowa polskiego.

Tymczasem należy przyznać, iż kilkakrotnie wystawiano dzieła zarówno Słowackiego, jak Wyspiańskiego możliwie dobrze w naszych warunkach, na przykład, „Lillę Wenedę” i „Beatrix Cenci” w Krakowie, oraz w sposób świetny „Wesele” w Krakowie i w Łodzi za dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza. Nie wszystkie utwory Słowackiego można wystawiać. Przypominam sobie „Beatrix Cenci”, wystawioną za dyrekcji Ludwika Solskiego. Wiem, na jakie wystawiam się zarzuty, gdy oświadczę, iż tego cudu słowa, arcypoematu, arcywiersza - niepodobna wytrzymać w teatrze. Gdy się na scenie zrealizuje, - co jest jej obowiązkiem i zadaniem, - owe długie jęki torturowanych, nie porywające widza i słuchacza niczym, obojętne mu najzupełniej, których on przy czytaniu poematu nie słyszy, - dialogi, w których ztraca się piękno wiersza, a uwydatnia się długość i wszystka na Szekspirowskim wrzecionie osnuta nić sztuki, ukazuje się na scenie rzecz po prostu trudna do zniesienia. Z najpiękniejszego pod słońcem przedziwa fantazji, wynika realnie sztuka ponura, przeciążona jałową i martwą

okropnością. Wydaje mi się, iż krzywdę wyrządza Juliuszowi Słowackiemu teatr, wystawiający jego dzieła, takie, jak „Beatrix Cenci”, oparte jedynie na walorach słowa i wiersza. Tymczasem jednym z kanonów teatralnego snobizmu jest przeświadczenie, iż wszystko można wystawić. Niedaleki jest czas, kiedy „Ojciec nasz” Augusta Cieszkowskiego wkroczy na scenę, ciągnąc za sobą jeremiady krytyków na nieudolność wystawienia, nieuctwo i obojętność tłumu widzów, a wyświecające w długich i mądrze ściągniętych wywodach znajomość rzeczy ich właśnie, taksatorów i ekspertów, którzy jedynie wiedzą, jak taka rzecz „powinna być” wystawiona. Zdarzyło mi się kilkakrotnie widzieć na scenach wielkomijskich w Polsce utwory wielkiej poezji, wystawione w sposób godny najwyższej pochwały. Takim było, na przykład, wystawienie „Hamleta” w Teatrze Polskim, pod względem dekoracyjnym niezrównane, aczkolwiek niemal chybione pod względem gry aktorów. Wytworzył się już zespół dekoratorów, których można by nazwać mistrzami kulisy, Jak Karol Frycz, Antoni Drabik i niezwykle pomysłowy technik kulisy Zbigniew Pronaszko. Istnieją godne najwyższego poklasku prace aktorskie w „Reducie”, aczkolwiek zwichnięte w swym biegu przez uleganie snobizmowi futurystycznemu. Gdy zachodzi „okoliczność” wystawienia sztuki najzupełniej oryginalnej młodego autora, jak to miało miejsce z utworem dramatycznym Stanisława Ignacego Witkiewicza pod tytułem „Pragmatyści”, dzieją się istne curiosa. Sztuka dostępuje łaski wystawienia, ale po godzinie jedenastej w nocy, jako pewnego rodzaju dziwoląg, który się pokazuje, ale się za to nie bierze odpowiedzialności. Do wystawienia utworu, który wymaga nowych dekoracji i nowego zgoła układu sceny, zużywa się stare płótna, ustawiając je ku zupełnemu zgorszeniu i przerażeniu widza, w trójkąt i paprzac je srodze na futurystycznie. Utwory Stanisława Ignacego Witkiewicza, z dziwnie oschłego, twardego i jałowego pnia duszy wystrzelające, są jednak w twórczości dramatycznej naszej oryginalnymi zjawiskami i zasługują na to, żeby je traktować nie tak po macoszemu, jak dotąd. Gdy chodzi o wystawienie dzieł znanych, dyrekcje nie oszczędzają kosztów i dekoratorzy łamią sobie głowy. Młoda i oryginalna twórczość musi czekać „aż się przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży”. Przybycie do Warszawy znakomitego znawcy literatury francuskiej i teatru francuskiego dra Tadeusza Żeleńskiego (Boya) daje wszelkie gwarancje, iż nasze zapoznanie się z dramatem francuskim i komedią francuską będzie uzupełnione świetnymi widowiskami. Kto wie, może nawet ostatnia przeszkoda do zupełnego zbliżenia się ku kulturze i teatrowi zachodu, - język polski, - zostanie usunięta i posiadziemy teatr francuski w Warszawie, jak za czasów księcia Pepi na początku XIX stulecia?.

Nie o teatr wielkomijski dla publiczności stosunkowo nielicznej, złożonej z rozmaitych, niejednorodnych narodowo żywiołów, idzie w tym miejscu, lecz o tak zwany teatr ludowy. Ponieważ tą sprawą zajmowałem się pilnie w ciągu znacznego przeciągu czasu i zdobyłem w tej dziedzinie niejaki doświadczenie, chciałbym tutaj poczynić pewne uwagi. Grono rzemieślników, ludzi najprostszych, ledwie umiejących czytać grało „Dziadów” część trzecią (w Nałęczowie pod Lublinem), co prawda po półrocznym ćwiczeniu ich przez doskonałego kierownika, artystę rzeźbiarza G., - w szopie na polu, przeznaczonej w normalnym porządku rzeczy na skład kartofli, grało w sposób niezrównany, wywierający głębokie wrażenie na widzów tej miary, co Bolesław Prus, Ignacy Matuszewski, dr Mieczysław Biernacki. Co prawda inne to były czasy. Kozactwo, krążące po okolicy mogło lada chwila napaść na ową szopę „na Pałubach” i nahajami pisać po plecach widzów nowy akt sztuki, a żandarmi, kryjący się w sąsiednich parowach i obserwujący przebieg wydarzeń, tworzyli niejako zewnętrzną scenę tragedii

odgrywanej wewnątrz szopy. Uprzytomnianie wiejskim słuchaczom tych scen arcydzieła poety w ciemnej jamie o nagim, gliną zlepiącym murze, bez dekoracji, przy blasku lampki naftowej ma we wspomnieniu urok podwójny, tym głębszy, gdy się zważy, że znikła już potęga żandarmów i kozaków, tak wówczas niezłomna i nieposkromiona, a został i zwyciężył sens biednego chłopskiego i rzemieślniczego teatru. Grano również „Wesele” Wyspiańskiego, oświetlając dzieło odczytami i wykładami. Już wówczas jednak przyszedłem był do przekonania, iż sam nurzam się w snobizmie, propagując wystawienie takich utworów. Jest to postępowanie takie, jakby ktoś uczniowi z klasy pierwszej wkładał w głowę kurs klasy ósmej. Po prawdzie - niema co grać w tego rodzaju teatrach. „Dziady”, „Wesele”... Jeżeli tedy niema co grać, niema żadnych organów pomocniczych, jak trupy teatralne wędrownie - dla ludu, - niema publiczności, gdyż dopiero znaleźć i urobić ją trzeba, to po co wszczynać tę całą sprawę teatru ludowego? Grać w miastach sztuki kasowe, pisane według przepisów i reguł jak najlepszych, wystawiać je w sposób należyty - i spokoj. Zadość się stanie kulturze. „Ludowi nie sztuki trzeba, lecz chleba”, - jak z dawna zdecydowano. A skoro zje otrzymany chleb, - niech śpi, albo idzie na rozrywkę do karczmy. Od tego przecie jest „ludem”. Tymczasem niezmierna dziedzina twórczości leży wśród tegoż właśnie ludu. Kto to wie, może tam również leży „sposób” nieznan nam jeszcze na teatr narodowy, nasz własny. Inteligencja tylko schylić się ma, żeby ów sposób zobaczyć, podnieść, wyświetlić i podać ludowi, jako świetny i najzupełniej odpowiadający celowi teatr, przede wszystkim, ludowy. Mowa tu o ogromie legend, podań, klechd, historii, bajek, gadek, opowieści, przywiązanych do ruin, wzgórz, uroczysk, miejsc szczególnych, mających w każdej okolicy swe dzieje własne, żyjące zawsze w ustach ludu. Każda w Polsce ruina ma swą baśń, zniekształconą w sennym przepomnieniu. Ileż ich jest o królowej Bonie, o Królu Kazimierzu i Esterce, o otruciu królowej Barbary! Ruin jest sporo. Wyliczę na przestrzeni samego tylko byłego Królestwa następujące:

Bodzentyń, Bobolice, Bolesławice, Będzin Bobrowniki, Bąkowa Góra, Chęciny, Ciechanów, Czarnolas, Czersk, Czerwińsk, Czechówka, Dąbrowica, Drzewica, Gardzienice, Gostynin, Horodło, Iłża, Janowiec, Jabłonna, Kazimierz Dolny, Koło, Krupe, Kryłów, Liw, Lublin, Łęczycza, Mokrsko, Ojców, Ossolin, Olsztyn, Opinogóra, Opatów, Opoczno, Płowce, Pułtusk, Pieskowa Skała, Pińczów, Rawa, Rabsztyn, Sandomierz, Smoleń, Sochaczew, Szydłów, Stołpiec, Sielec, Solec, Ujazd, Uniejów, Wiślica, Zamość... Jeżeli do tego niekompletnego i niedokładnego spisu miejscowości, w których obszarze dziwne szczyby murów pradawnych wyrwają się z płaskiej poziomości, pomiędzy chat, stodół i chlewów, uderzając wyobraźnię prostego człowieka, jak naszą niewymownie uderzały w dzieciństwie, dodać spis ruin, zamków, odwiecznych kościołów i śladów minionej przeszłości w innych dzielnicach, to otrzymamy ogromną sumę punktów na naszej historycznej mapie, gdzie niewątpliwie kwitnie legenda. Część tych legend zamkowych na terenie byłego Królestwa spisał był Adolf Dygasiński, - inne znaleźć można w rocznikach „Wisły”<sup>1)</sup> - Ale poza sferą legend zamkowych, specjalnie naszych, istnieje przecie cały świat podań z czasów nowszych, z wojny ostatniej a wreszcie ogromna ilość bajek i klechd, opływających całą ziemię i żyjących w naszym przestoczeniu wioskowym, jak na przykład, bajki z tysiąca i jednej nocy. Sam w dzieciństwie słyszałem baśń o pierścieniu Polikratesa, niezrównanie przekształconą, gdyż rzecz dzieje się w Kielcach, mieszkaniu króla. Prawie każda bajka kaszubska, czy to przytoczona przez Stefana Ramuła na końcu jego „Słownika”, czy którakolwiek z ogłoszonych w „Gryfie” organie młodo-kaszubskim, jest dramatem, który można grać na scenie. A dopieroż stare zamki

i twierdze krzyżackie, których podziemne jaskinie zbroczone są litewską i słowiańską krwią, mury wzniesione rękoma słowiańskich jeńców, - ileż te zawierają w sobie poezji! Katedra w Chełmie, jakby na rozkaz czarnoksiężnika przeniesiona z Salerno pod nasze północne niebo, Sartawice, Chojnice i tyle innych miejsc - toż to krynice podań! Oprócz legend ogólnoludzkich, znanych na całej ziemi i u nas, oprócz podań historycznych, istnieją jeszcze baśnie czysto polskie na tle religijnym, rolniczym i pasterskim, baśnie leśne o zbójcach, a w ziemi krakowskiej, śląskiej i kieleckiej dawne ze średniowiecza, górnicze. Jedną z takich o chłopie Hilarym Mali ze wsi Czarnowa pod Kielcami zapisał ksiądz Władysław Siarkowski.

Oczywiście, iż z tego mnóstwa legend i podań do inscenizacji te tylko mogą być wybrane, które posiadają warunki po temu, — mniej więcej jedność miejsca, osób i czasu, - oraz odpowiednie zalety, - piękno wewnętrzne i moralne, poezję akcji, no, i łatwe są do zrealizowania.

Zdarzyło mi się być swego czasu we Fiesole w tamecznym starorzymskim teatrze, arenie na otwartym powietrzu, gdy wystawiano „Bachantki” Eurypidesa. To niezapomniane teatrum, jest dla mnie punktem wyjścia, gdy się stawia zagadnienie teatru ludowego w Polsce „Bachantki” Eurypidesa, które ułożeniem scen, ruchem radosnym, lub posepnym, chórów, tak głębokie sprawiają wrażenie, to nic innego, tylko legenda, spisana i udratyzowana przez wielkiego tragika i ujęta w ramy starogreckiej sceny. Tak samo u nas można w porze letniej bez budynku teatralnego w polu, pod górą, gdzie miejsce tworzyć będzie naturalną arenę, na tle jednej z ruin zamkowych, grać nasze baśnie i podania, Jak w starogreckim teatrze możliwość ujęcia w jedno skomplikowanej treści polega na umiejętnym rozkładzie miejsc dla chóru, dla przewodniczek chóru, samej sceny domu królewskiego na scenie, tak samo w inscenizacji którejkolwiek z legend, miejsca powinny być podzielone, choćby zwyczajnym płotem chrześcijańskim, czy cierniowym, wobec czego akcja skomplikowana przez rozbieżności czasu i miejsca, może być jednocześnie uwidoczniiona i zmieścić się w tym samym widowisku. Zamek na nowo ożyje, gdy w czasie przedstawienia będą z jego pieczar wychodzić postaci legendy, a inne postaci będą się wynurzać nie z za kulis, lecz z zarośli i z opłotków przygodnych, które do każdej sztuki będą mogły mieć kształt inny. W tych to opłotkach mogą się przewijać przed oczami widza plastyczne kształty legendy, jej treść, rozmaita w czasie i przestrzeni, podczas gdy na głównej scenie będzie uwidoczniiona najistotniejsza iścizna dramatu, czy komedii. Komedii również, gdyż legendy zawierają wszelkie dramatyczne rodzaje. Rzecz oczywista, iż wyborem sztuki musi kierować doradca literacki fachowy, a samą grą amatorów - zawodowy aktor, który zarazem Wskaże, jak robić tanio kostiumy i przygotowywać wszelkie akcesoria niezbędne najtańszym sposobem. Aktor również da wszelkie wskazówki zawodowe i wyszkoli zespół młodzieży, która zechce odgrywać swe własne dzieło. W ten sposób z naszych wiejskich zaułków może wypłynąć sztuka najzupełniej nowa, nasza własna nie tylko co do treści, ale i co do nowej zgoła formy. Widziałem niegdyś nie takie, lecz podobne przedstawienie w Szwajcarii, w Rapperswilu. Miejscowy lekarz napisał sztukę z czasów przyłączenia się miłośnicy „Stadt und Republik Rapperswil” do szwajcarskiego związku wolnych kantonów i walki zacieklej z rycerzami Habsburgami, siedzącymi w zamczysku rapperswilskim, które było gniazdem rodowym późniejszych cesarzy Austrii z przyległościami. Sztukę tę grała cała niemal ludność miasteczka na zwyczajnym podwyższeniu z desek w rynku miejskim, a widzami byli goście ze wsi okolicznych kantonu St. Gallen. Gdy związkowcy w strojach historycznych, w przyłbicach, z rogami krowimi na głowach, z łukami i dzidami zstępowali z gór, trąbiąc na rogach, uniesienie ogarniało widzów. Cała ludność episyjska

i wyrabiająca sery opanowana została przez demona sztuki i przeniesiona w odległe wieki. Ziszczała się w oczach jedność czasu, ginęło niegdyś i dziś. Na czwartym, czy piątym przedstawieniu niedzielnym już literalnie miejsc nie było, gdyż przyjeżdżały pociągi za pociągami, wiozące gości z sąsiednich kantonów. Ciężkie Szwajcary nie są entuzjastami sztuki i nie przewyższają naszych chłopów, rzemieślników i robotników w pasji teatralnej.

Zespół inteligencji literackiej, któryby się tą sprawą zajął, musiałby dokonać wyboru sztuk i oświetlić klechdy odczytami, wyjaśniającymi treść, pochodzenie i znaczenie baśni. Pomyśły te nie są czczą i jałową, niepragmatyczną projektomanią, tak obecnie pospolitą, lecz wychodzą właściwie ze sfery najbardziej miarodajnej, bo aktorskiej. W piśmie p. t. „Teatr Ludowy” (z r. 1922) w artykułach pp. W. Budzyńskiego i Witolda Wandurskiego poruszona została ze strony technicznej kwestia „inscenizacji podań ludowych” i przygotowana poniekąd do wystawienia baśń o „Madejowym łożu”. Jest to już pierwszy krok w kierunku realizacji tej wielkiej sprawy, która może mieć nieobliczalnie doniosłe następstwa w dziele wdrożenia w prosty naród polski sprawy rzeczywistego artyzmu, gdy będzie mógł ujrzeć na jawie zbiorowo zbiorowe widziadła, co się snują od wieków dookoła węglów jego schronisk prostaczych.

---

1) Wisła t. I. „Dramat gminny polski” przez Karola Matyasa.

## ROZDZIAŁ 7

Literatura polska nie wyrosła z podglebia żywota ludu wieśniaczego i robotniczego, to też nie jest zwierciadłem tego swoistego życia, czyli nie znalazła dla siebie formy gdzie indziej nieznaney. Jest ona literaturą warstw zwierzchnich, szlacheckiej i mieszczańskiej. Jeżeli zajmuje się ludem, to zajmuje się, jako barwą. Jako tematem poniekąd egzotycznym, jako materia o wartości społecznej, lub tworzy akt miłosierdzia, współczucia, łaski. Dla olbrzymiej, nieprzemierzonej masy chłopstwa polskiego, gdyby nawet czytać umiało i zapragnęło oświaty w duchu narodowym, literatura, tworzona niegdyś w kole szlacheckim, w czasie niewoli, a nawet dziś dla nielicznej warstwy ziemian, i mieszczan, dla osobników wysoko szlacheckich i subtelnych, albo dla „pokrzepienia serc”, rozumiejących i czujących, co to niewola, a co bujna, szlachecka przeszłość, - nie tylko jest dziś nieczytelna, ale i później będzie obojętna i tylko do pewnego stopnia własna, ulubiona, droga. Podnosiłem to już w pisemku p. t. „Projekt Akademii Literatury Polskiej”, opierając się na doświadczeniu, zebranych osobiście w czytelnich ludowych „Towarzystwa Szkoły Ludowej” i innych, iż w czytelnich tych świecą luki wprost przerażające: nie ma co dać do czytania ludowi. Tymczasem ten lud za kilka, czy kilkanaście lat, po przeprowadzeniu reformy rolnej i wskrzeszeniu powszechnego, przymusowego i wyższego nauczania, zażąda przecież książki własnej, - co więcej - własnej literatury, gdyż on to będzie narodem. Romantycy, poezja emigracji, nasze jęki niewoli - nie wystarczą. Pisemko o konieczności utworzenia Akademii Literatury Polskiej, która zajęłaby się całym zespołem spraw z literaturą związanych, układane było w końcu wojny, w chaosie spraw olbrzymiego przewrotu, a jednak dziś jest dwakroć aktualniejsze, gdy niepodległość zaczyna zapuszczać pług parowy w nowizny i ugory starego życia.

Pismo literatury polskiej jest odbiciem języka szlachty i mieszczaństwa, językiem wielkomiej-  
skim, językiem małym, skąpym w stosunku do ogromu mowy ludowej, - zachwaszczonym  
niebawale cudzoziemszczyzną, - językiem, który wyrósł z jednej, wielkopolskiej gwary, dla  
olbrzymiej masy nieoświeconego ludu, mówiącego swoimi gwarami, trudnym do wyrozumie-  
nia, niemal śmiesznym, który za plecami naszymi wyśmiewa, nazywając go mową „cedzoną  
przez zęby”. Lud w niepomiernej swej masie mówi inaczej, niż pisze jego piśmiennictwo.  
Zjawisko to powtarza się, oczywiście, i gdzie indziej, w społeczeństwach na miejscu swym  
zasiedziały, wyrastających z pni ludowych, lecz u nas, przy 50% analfabetów jest szcze-  
gólnie jaskrawym. A czy sami twórcy literatury polskiej zdają sobie sprawę z tego, jakim  
piszą językiem? Piszą, rzecz prosta, po polsku, - rzucają swe książki w jakiś tłum, mówiący  
po polsku, i na tym koniec. Tymczasem, jeśli oddalić się od stolicy o kilka kilometrów, odejść  
od miast i skupień fabrycznych i przysłuchać się mowie ludowej, to się snadnie spostrze-  
ga, iż mowa ta brzmi inaczej, niż nasza, odmiennie, częstokroć nie bardzo zrozumiale. Mało zro-  
zumiale nie tylko w ustach Kaszuby, Mazura Pruskiego, na Spiszu, na Śląsku i w Tatrach, ale

odmiennie i niepodobnie w kieleckim, na Mazowszu, w lubelskim i płockim. Są to gwary. Jest to tak zwane „mazurzenie”. Ale jeśli rozejrzeć się w „Mapie dialektów polskich”, ułożonej przez Prof. Dr Kazimierza Nitscha<sup>1)</sup>, to się spostrzeżę, iż owo „mazurzenie” zajmuje całą bez mała Polskę, bowiem całe Mazowsze, głęboko sięga w Śląsk, obejmuje piotrkowskie, kieleckie, krakowskie, zapuszcza się w Orawę, Tatry, Spisz i zatrzymuje się dopiero na granicy Wisłoka. Przekracza lubelskie, Podlasie, białostockie i suwalskie, a na północy i zachodzie biegnie na Lec, Szczytno, Sierpc, Kutno, Turek, Kalisz. Nie „mazurzy” Wielkopolska z Kujawami, Pałukami, Krajną, Kocie-wiem, Mazurami Pruskimi, zachodni Śląsk i ziemie, gdzie ludność rdzennie polska spotyka się z ludnością czeską, lub ruską. Ogromna tedy większość narodu musi się uczyć wymawiania języka pisanego i drukowanego, a ucząc się, chyba, kalczy swą wymowę, „szadzi”. „Szłońce gorońce piece w szamo coło”. O parę kilometrów od stolicy Warszawy wieśniak mazowiecki nie wymawia *q* i *ę*, modli się pod „Matku Bosku” i ma w swej gwarze mnóstwo wyrazów dziwnych, które uśmiech wyższości wywołują na wargi mieszczanina purysty, a dowcipnych stołecznych felietonistów podniecają do pisania świetnych wykpiszowskich kawałów, właśnie niby to w gwarze, zwłaszcza w czasach przedwyborczych. Należy tu zaraz zaznaczyć, iż wymowa chłopów podwarszawskich nie jest „błędną”, a wymowa miejska i literacka „poprawną” w istocie swej, tylko pierwsza jest zaniedbana, a druga uprzywilejowana. Gdyby stolica Polski powstała była w prawieku w Warszawie, lub w Płocku, to dziś pisalibyśmy „prawidłowo” - „śmnieg” zamiast dzisiejszego „śnieg”, „psiwo” zamiast „piwo”, „zino” zamiast „wino” i tak dalej. Przypominam sobie z lat dawniejszych recenzję dziennikarską o jednym z utworów Adolfa Dygasińskiego, jeszcze żyjącego wówczas, gdzie felietonista stołeczny zarzucał temu pisarzowi, iż język jego, - język Dygasińskiego, - jest „zaniedbany”. Tymczasem to właśnie język literacki recenzenta, - którego nazwisko wypadło mi z pamięci, był zaniedbany, bynajmniej nie przez jakiś indywidualny defekt pisarski, lecz przez skąpość wyrazów, nazw rzeczy, barw zjawisk, przez oschłość, skostniałość, tożsamość z oschłością i skostniałością jego kolegów po piórze. Nieprzebrane zaś bogactwo języka i sposobów wyrażania się Adolfa Dygasińskiego, - który miał w uchu jedną z najczystszych gwar, na południowych stokach i rozłogach gór świętokrzyskich, - okolic Wiślicy, Rytwian, Staszową, Zborowa, Kurozwęk, Oleśnicy, Stopnicy, - dziedziny Oleśnickich i Zborowskich, a prapopieliska Wiślan, - który rozumiał i czuł, jak nikt inny istotę tamecznego życia, byt tamecznych ludzi, zwierząt, ptaków, roślin i kwiatów, lasów i pól, - streściło się w dziełach jedynych w swoim rodzaju, nienaśladowanych przezeń i nie dających się naśladować, znikąd nie wziętych, *jacy* własnych tego pisarza, jak własną była jego dusza, jego rozum, pamięć, wyobraźnia, współczucie i wynikająca stąd forma jego dzieła. Gdy pod koniec czteroletniego pobytu w Szwajcarii, „cnić” mi się zaczęło chwilami wśród nudnych Szwajcarów, otwierałem na chybił trafił jakiegoś „Beldonka”, czy „Gody życia” - i kraj daleki miałem przed oczyma, szum jego mowy i gwar jego życia miałem w uchu, a żywe bytowanie plemienne w samej jego istocie miałem w duszy. Nie wiem, jakiej literackiej metodzie hołdował Dygasiński, nie wiem, czy był realistą, naturalistą, werystą, zolistą, czy w ogóle należał do jakiej szkoły, grupy, czy sekty pisarskiej, wiem tylko, że był niezwykłym pisarzem, że pismo swe zbliżył do mowy ludu pewnej okolicy na bardzo małą odległość, a jednak jest zrozumiały dla wszystkich, od najwyższych do najniższych w społeczeństwie. Każdy dziad Florek i chłopiec Beldonek, jeźeliby czytać umieli i dostali ową książeczkę, - mieliby z tego pisma szczerą pociechę.



Podobnie, z pełnym artystycznym sukcesem postępował Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Władysław Orkan, Stanisław Witkiewicz, Feliks Gwiżdż i inni co do języka podhalańskiego, Władysław St. Reymont co do języka Książaków, poniekąd Jan Kasprówicz co do swych oczyszczonych Kujaw. Ci poeci dowiedli utworami swoimi, iż można przełamać obręcz języka wielkomięjskiego, a nawet, że można pisać w jakiegokolwiek, wybranej gwarze. W mowie Kaszubów, po utworach Hieronima Derdowskiego, który mieszał wyrazy kaszubskie z polskimi i nie zachowywał akcentu, nowsi poeci, jak Woś Budzysz<sup>2)</sup>, wprowadzając akcent ruchomy i uwydatniając w swych utworach rozmaite gwary kaszubskie, wytwarzają nadzwyczaj ciekawe zjawisko literackie.

Nie chodzi tu jednak o pisma, podawane w jakiegokolwiek gwarze. Chodzi właśnie o to, ażeby język literacki polski, historyczny, pański, wielkomięjski uczynić językiem wyrastającym ze wszystkich gwar polskich, podobnie, jak literacki język Wosia Budzysza wyrasta ze wszystkich gwar kaszubskich, albo jak język Adolfa Dygasińskiego wyrasta z ust ludu pewnej okolicy, nie przestając być mową wszystkich Polaków. Dzisiejszy język literacki polski jest to, że tak powiem, uszlachcona jedna z gwar niemazurzących, gwara wielkopolska. Był on, zapewne, w zaraniu lat językiem księcia panującego, chytrego Mieszka, czy genialnego Bolesława, gdy siedzieli w Gnieźnie, starej stolicy. Był językiem rycerzy, dworzan, władców, otoczenia książęcego, świty, wodzów, drużyny, - językiem obozowym, wojennym, niejako przenośnym, gdy wielki wojennik szedł w walce nieustannej od morza po Tatry, spadał w niskie Morawy, pustoszył Czechy, najeżdżał Niemce i Rusiny. Gdy zaś za Bolesława Śmiałego Kraków stał się stolicą króla i jego pomocników najbliższych, najwyższych co do stopnia i najmożniejszych z podwładnych, język ówczesnej arystokracji przeniósł się pospołu z otoczeniem panującego i stał się w nowej stolicy językiem dworu, panów, dworaków, wyższego duchowieństwa, - pomimo, iż lud prosty w tej stronie nieco inaczej, a po swojemu mówił. Najdawniejszym świadectwem tego języka jest bulla z roku 1136, którą arcybiskup gnieźnieński dla potwierdzenia swych posiadłości u papieża wyjednał. Bulla ta obejmuje jedynie wykaz kilkudziesięciu miejscowości i kilkuset ludzi, a jednak, - według opinii prof. dr Aleksandra Brücknera, znakomitego znawcy dziejów języka polskiego, - ten dokument dowodzi, iż „mimo wszelkich cech starożytnych, jakich dochował, polszczyzna na początku XII wieku z dzisiejszą w głównych, stanowczych rysach zupełnie się zgadzała, - a nadto, iż „późniejsze różnice narzeczowe już wtedy zaczynały występować”. Jest to więc najdawniejszy ślad owej mowy gnieźnieńskiej. Drugim z kolei dawności śladem tegoż języka są kazania gnieźnieńskie z końca XIV-go wieku. Domniemany ich autor (według ks. Fijałka) Piotr z Chomiąza pod Gąsową, byłby Wielkopolaninem z pochodzenia, więc mowa jego musiałaby być śladem tamtejszej gwary. Oto urywek: „Dziatki miłe! Nasz Chryst miły jest on swe święte apostoły temu-to nauczał był, kakoćby na tem to świecie między chrystyany bydlić mieli, a przetoć On rzekł jest był k nim, rzekąc tako: bądźcie tako mądrzy, jakoż są wążowie mądrzy. Iż ci napirzwe wąż tę to mądrość ma, iże gdyż ji chcą zabić, tedyć więc on swą głowę kryje i szonuje a o całość on nics nie dba... Wtoreć przyrodzenie jest to wążewo, iże gdyż się on chce odmłodzić, tedyż więc je gorzkie korzenie a potem więc on wlezie w durę ciasną a tako więc on tam to z siebie starą skórę szejmie”...

Wyprawy na Niemców i Ruś, na Czechy i Pomorzan nasycaly ów język dawny tematami niemieckimi, i ruskimi, czeszczyzną i wyrazami słowiańskiego zachodu. Już od dziesiątego wieku zaczął się wpływ niemieczyzny. Nieodzowność walki, podstępów, zasadzek i przewag na

wojnie wobec nieprzyjaciela, wyżej stojącego w tej sprawie pod względem technicznym, zmuszała do poznawania jego sposobów i narzędzi wojennych, a więc przyswajania sobie nazw i terminów. Obcowanie książąt i panów z monarchami i wyższymi dygnitarzami Niemiec, Czech i Rusi, - postoje drużyny wojennej, nieraz tak długotrwałe, jak Bolesława Śmiałego w Kijowie, - spokrewnianie się przez małżeństwa z Niemcami, Rusinami i Czechami, - pobyt Niemek, Rusinek i Czeszek na dworach wielkich książąt krakowskich wprowadziły do języka sporo wyrazów postronnych. Prof. dr Aleksander Brückner oświadcza, iż między XI a XIII wiekiem dokonał się ostateczny proces tworzenia się polszczyzny, czyli przejście - *tie, die, rie* w *cie, dzie, rze*. Z tych to czasów, przed Psalterzem Floriańskim, notuje on słowa zaginione o brzmieniu słowiańskim: wrzemię (czas, ruskie *wremia*, - czędo czy cędo (dziecię), ruskie *czado*, - szurza (szwagier) - junosza (młodzieniec), - pęporzeza (akuszerka), - czyn (broń), - rucho (szata), - ruszyca, (welon), - szyp (strzała), - skąd zapewne dzisiejszy wyraz szypułka, czyli pęd roślinny w źdźbłę zboża, - wiodro (pogoda), - wełna (fala), - trzem (sień, ostium), rosyjskie a nawet węgierskie, od Słowian przejęte *terem*, - skomroch (kuglarz), - wiła (błazen), - samborza (sala), - zrzasać się (przerazić się) oszołomiony, czyli ten, kto pierwszy raz ciężki *szołom* przywdział na głowę. Z innego źródła prof. dr Jan Łoś przytacza następujące zaginione słowiańskie wyrazy: mzda (odpłata) - wysprz (do góry), - uścić (lśnić się), - wrępnny (piękny), - pęga (bicz), - pop (ksiądz), - pogłytać (połknąć).

Czy te wyrazy istniały w samej mowie polskiej, czy też do niej wtrącone zostały z obczyzny wschodniej? W dzisiejszym języku ludowym, który tyle starego zasobu przechował, słychać z nich niektóre. W zapadłych kątach, jak góry świętokrzyskie, zaświeci forma pradawna: obok nazwy „cietrzew” mówią tam również „trzetrzew” („tetrao”, „teterew”), co przechowało się nawet w nazwisku rodowym Trzetrzewiński. Do ludu siedzącego na roli, pierwotnym odwracanej radłem, nie dochodziły wyrazy obce wojenne, przez jeźdźców książęcych wraz z łupem znoszone do zamków wysokich i dworzyszcz obronnych. Lud mówił po swojemu, po dawnemu, językiem od niepamiętnego czasu tym samym, zwłaszcza w okolicach małopolskich, siedleckich, łęczyckich i tych mazowieckich, które najdalej leżały od zazębienia się o plemiona sąsiednie. Jaki to był ów język, właśnie ludowy, rdzenny? Tęsknota nasza za poznaniem *go* na nieprzebyte natrafia zapory z powodu braku źródeł i wobec tego, iż nie mamy zebranych gwar mowy dzisiejszej. Jeżeli prawdą jest, iż święty Wszerad, Swerad, czy Świrad (Zoerardus, Guerardus, Żórawek) który żył w drugiej połowie dziesiątego wieku (zmarł w r. 1020), pochodzący z Polski<sup>6</sup>) - ze swej pustelni na górze Zabrze pod Nitrą na Słowacji i z drugiej kryjówki u ujścia Dunajca, we wsi Tropiu pod Czchovem zapuszczał się w polskie puszcze, docierał aż do Żmigroda, dzisiejszego Opatowa, - a nawet w tym miejscu i w tym czasie jakaś świątynia powstaje, której podwaliny są fundamentem dzisiejszej<sup>7</sup>), - toć musiał porozumiewać się z ludem miejscowym zrozumiałym językiem, zwłaszcza, że sam z ludu ów-czesnego Wiślańskiego wykwitł, „jako róża z pomiędzy cierni”. W tych stronach już od końca dziewiątego wieku wpływ chrześcijaństwa, idący z Moraw, od uczniów Metodiusza, dawał się odczuwać. Kilkunastu księży, czy mnichów z początku słowiańskiego obrządku, później łacińskiego, zapuszczało się w te knieje, nauczało lud, wznosiło to tu, to tam kaplice, pustelnie i kościółki. Lecz czasy ubiegłe zawiesiły zasłonę tajemnicy zarówno nad tą i sprawą, jak nad mową, którą się posługiwali. Musimy poprzestać na zapewnieniu znawcy, prof. Aleksandra Brücknera, iż przed wiekiem dwunastym dokonały się w języku polskim wszelkie ogólne przemiany: utracony został iloczas, czyli rozróżnianie samogłosek długich i krótkich, oraz

ginał stopniowo akcent, który dziś brzmi jeszcze najwyraźniej w północnej kaszubszczyźnie. Z wieku trzynastego posiadamy zabytek mowy, który dziwnym sposobem ocalał w pożarach, rabunkach, kradzieżach i niszczeniu, dokonywanym przez barbarzyńców, - w oprawie księgi, pochodzącej z klasztoru Świętego Krzyża na Łyścu, górze u pogranicza ziemi kieleckiej i opatowskiej. Księga owa, nabyta czy „smyknięta” z klasztoru świętokrzyskiego do biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, wywieziona została wraz z całym bibliotecznym skarbem w roku 1831 do Petersburga. Tamto znalazł ją prof. Aleksander Brückner. Zabytek pochodzi z drugiej połowy XIII-go wieku<sup>8)</sup> „Czechizmów wcale w nim niema, a formy językowe tutaj zachowane, są znacznie starsze od tych, które charakteryzują język „Psałterza Floriańskiego”. Jest to oryginalny utwór polski, a nie tłumaczenie z obcego języka”. Oto jak brzmiała ówczesna mowa polska:

„W świętem pisani czterakim ludziem pobudzają je, mówi Bóg wszechmogący: wstań, pokazuję, iż są grzesznicy czteracy. Bo mówi to słowo Bóg, albo siedzącym, albo śpiącym, albo leżącym, albo umarłym. Siedzący są, już się k dobremu obleniają; leżący są, już się w grzesie kochają; śpiący są, już w grzesach za-zapieklają; umarli są, już w miłości bożej rozpaczają. Cso nam przez tego niemocnego na łoży leżącego znamiona? Zawierne nics innego kromie człowieka grzesznego we złych skutcech prześpiwającego, jenże nie pamiętają dobra wieku jego objązał się tomu, csoż jest wrzemiennego leniw jest ku wstaniu czynić każdego skutku dobrego. Widzicie Boga miła zbawienie i idźcie w wielkie Syna bożego przyjaźni”.

Strzępek polskiej mowy, ujawniającej się w Kazaniach świętokrzyskich mowy czysto słowiańskiej, jest tym cenniejszy, iż w tym samym właśnie okresie czasu, w wieku XIII-ym, nadciągnął na Polskę pierwszy zalew miast i miasteczek przez Niemców, a co za tym poszło, - nasycenie przedmiejskiej i małomiejskiej mowy prostactwa, właśnie mowy „warstw niższych”, mnóstwem wyrazów niemieckich, technicznych, których suma wyniosła kilka tysięcy. Istniało niewątpliwie przed owym napływem niemieckim, na przykład, budownictwo polskie, gdyż dowody jego istnienia widnieją w naszym własnym języku. Istnieje tedy polsko-słowiańska -przycieś, albo podwalina, piwnica, dół, sklep, schody, dźwigary, płazy, podłoga, węgły, ocap, dźwirza, zasuwa,<sup>9)</sup> próg, sień, trzem, świetlica, pokój, komora, piec, ognisko, popielnik, powała, polepa, sosrąb, krokwie, albo kozły, jętki albo pęta, (łącznie krokwie, - z niemiecka banty, bonty -), płatwy, dranice, gonty, gontale, gwoździe, zawiasy, strzecha, gąsiory, dymnik, kalenica<sup>10)</sup> ościenie<sup>11)</sup>, drągi oparte o ściany i oblepione gliną dla obrony, lub ogacenia od mrozu, podcienie, (zapewne dawniej podścienie), - i t. d. Natomiast w kamienicy miejskiej słowiańską, zdaje się, jest tylko zewnętrzna nazwa tego *gmachu*. Składowe części wzięte są z języka niemieckiego: komin, lufty, strych, cegła, balkon, ganek, krużganek, ruszty, dach, dachówka, szwele, mur, szyby, lufcik, ramy, rynny, stragarze, belki, tynk, trepy, kroksztyny, kłamki, rygle, banty, rury, farda, haczyki, bruk, rynsztoki, sala, kuchnia, spiżarnia, loch, legary, futryny, brentale, tornagle, druty, śruby, plac, rynek, ratusz, cekauz, zamtuz i t. d.

Napływowa ludność niemiecka, wytworzywszy w miastach i miasteczkach naszych przemyśły i rzemiosła, narzuciła staremu, rdzennemu językowi polskiemu mnóstwo nazw nowych przedmiotów, produktów i czynności. Z czasem język polski wchłonął i urobił według swego prawa i upodobania te wytwory cywilizacji, a i sami przybysze ulegli gruntownemu spolszczeniu, zarówno w miastach, jak miasteczkach. Dziś w małopolskich mieścinach ludność, ongi niemiecka, nie odróżnia się niczym od okolicznych chłopów, tak samo mazurzy i nie wymawia nosówek, - „jedzu, chodzu, piju”, - jak kmiecie rodowici. Jedyne pogardliwa na-

zwa „gulonów”, lub „mękali”, jaką chłopi obrzucają tych drobnomieszczan wskazuje na dawne okrutne „mękalskie” „majdeburskie” prawo, które do ostatnich niemal lat istnienia Rzplitej w wieku XVIII-ym miało w wielu z tych mięscin siłę wykonania. Akta jednego z tych miasteczek, Oleśnicy pod Stopnicą, ogłoszonym był swego czasu w *Wiśle*. Okrucieństwo procedury, przy użyciu tortur, oraz wyroków uwidocznione jest w tych „wyrokach” przy samym już końcu panowania Stanisława Augusta.

Po niemieckim, który wtoczył do naszego języka kilka tysięcy wyrazów, nasycając nimi próżnię w mowie cechów, rzemiosł, zakładów, związków, przemysłów - drugi z kolei napływ obcy, - czeski, - objawił się również w trzynastym wieku. Wcześniej o stulecie zasobni od nas w utwory pisma i kultury, Czesi narzucili się Polsce, jako nauczyciele i wyrocnie w sprawach słownej elegancji. Na przeciągu dwu wieków język polski posługuje się czeszczyzną zwłaszcza w dziale kościelnym, w przekładach Pisma Świętego, w pieśniach nabożnych i kancjonałach. Około roku 1280 w Sączu powstaje Psalterz, pisany dla Kingi, która, w dzieciństwie swym z Węgier do Polski przewieziona, modliła się po polsku. Psalterz ten najmniej posiada wpływu czeskiego. Późniejszy od Psalterza Kingi Psalterz Floriański z początku XIV wieku <sup>12)</sup> - (rękopis znajduje się w bibliotece klasztoru kanoników lateraneńskich w St. Florian w Austrii Wyższej pod Linzem), - „nosi na sobie cechy wpływu czeskiego, więc prawdopodobnie z tekstu czeskiego pierwotnie został przełożony „<sup>13)</sup>). Psalterz Puławski, wydany z rękopisu książąt Czartoryskich (w opracowaniu Stanisława Słońskiego), oraz tak zwane Modlitwy Waclawa, stanowiące inną redakcję tego samego przekładu psalterza powstały w Krakowie w drugiej połowie XV wieku. Pisownia tych zabytków odznacza się dokładnym oznaczaniem zmiękczeń, a nade wszystko starannym odróżnianiem *a* i *ę*. Z biegiem czasu rośnie zależność od czeszczyzny. Powstają zabytki o języku mieszanym. Biblia Królowej Zofii, trzeciej żony Władysława Jagiełły, tłumaczona jest nie z łaciny, lecz z języka czeskiego, skąd pochodzi, że tekst polski zdradza wciąż swe czeskie pochodzenie. Tłumacze katechizmów i postyl luterskich wprost utrzymują, iż polszczyzny nie starczy dla wyświecenia terminów i osiągnięcia celów teologicznych, a więc formułami i terminami czeskimi należy się posługiwać. Małecki, współzawodnik Jana Seklucjana w dziele tłumaczenia Pisma Świętego na język polski, a właściwie współzawodnik Stanisława Murzynowskiego, - w replice, którą ks. Ignacy Warmiński znalazł w Archiwum Państwowym w Królewcu, tak charakteryzuje ówczesny

(około roku 1551) stan języka polskiego:

„Dlaczego ty sam używasz czechizmów, których ani nasz lud, ani nawet księża polscy nie rozumieją, jako to: ponieważ (na początku zdania), uprzejmie, zrzetelnie, frasunek, rachunek i t. d.? Zresztą jakimże cudem Polak może się obejść bez języka czeskiego? Przecie sam wiesz dobrze, że nikt nigdy nie zdoła przełożyć wiernie i dokładnie Ksiąg Świętych na język polski bez pomocy języka czeskiego i Ksiąg Świętych po czesku wydanych; toć język polski jest wielce zepsuty, do tego stopnia, że nikt dobrze i należycie władać nim nie może, kto nie zna języka czeskiego; mógłbym ci przytoczyć wiele wyrazów łacińskich, których ani jeden Polak nie przełoży wiernie i dokładnie na swój język, jeśli jest języka czeskiego nieświadom, jako to: *pius, impius, beatus, benedictus, gloria, laus, laudamus, benedicamus, adoramus, glorificamus*”.<sup>14)</sup>

W zaginionym kancjonałe Przeworszczyka z roku 1435 istnieją już teksty czeskie z wtrąconymi słowami polskimi. W pieśniach nabożnych, przekładach Pisma Świętego i w całym

dziale kościelnym widnieje język czeski na przestrzeni dwustu lat, jako wyraz kultury wyższej. W pismach świeckich mniej widać tego wpływu, lecz Mikołaj Rej nie był wolny od używania wyrazów czeskich, jak *honiec*, *bohaty*, *zhoła*, *hardy*, *pohaniec*, *hańba*, *hnet*, *pražen* zamiast *próžen*, *upełny* zamiast *zupełny* i t. d.

Na dworze królewskim i w sferach dworskich „szczebietliwy”, jak go nazywa Łukasz Górnicki, język czeski był mową pańską, miękką, pieszczotliwą, subtelną, spełniał rolę, jaką dziś w ustach arystokracji spełnia język francuski, albo angielski. Łukasz Górnicki wyśmiewał Polaków, co ledwie za granicę Śląska przejechali, już mowę czechizmami pstrzyli. To też w wieku XVI, jak stwierdza prof. A. Brückner, „zrywa się jednolitość języka polskiego; język ludzi piśmiennych od mowy ludowej, grubej, chłopskiej, a przepaść dzieląca język i narzecza pogłębia się coraz bardziej. Wytwarza się różnica między językiem szlacheckim a miejskim i gburskim, - możemy śmiało o szlacheckim mówić, gdyż przez trzy wieki jeden stan wyłącznie panował, zakrywając sobą inne. Różnice zaczynały się wcześniej, lecz teraz występują w całej jaskrawości”.

Pisarze unikają wyrazów przestarzałych i gminnych, lecz nie wahają się wciągnąć do polszczyzny wyrazów obcych ze wszystkich stron świata, na co narzeka Rej w „Zwierciadle”, mówiąc: „Prawiechny język swój tak byli zatłoczyli a zniszczyli, żechmy mu czasem sami właśnie nie rozumieli”. Język Mikołaja Reja ma jeszcze na sobie ślady mowy ludowej. Wysłowienie się poetyckie Jana Kochanowskiego, odrzucającego wyrazy cudzoziemskie, gwarowe, rozwlekłość, trywialność i prostactwo Rejowe, hiperbolę ludową i symplistyczną przenośnię stworzyło wzór mowy klasycznej, wyższej, górnej, pańskiej. Sekretarz Króla Jegomości skodyfikował niejako język polsko-krakowski. Język ten płynie z biegiem Wisły, zalewając mazowieckie i pomorskie krainy, - jako wart środkowy w rzece gwar samoistnych. Wylewa się, - już, jako mowa ludowa, - na Kociewie, na Mazurach Pruskich, na Podlasiu, na Litwie, na Rusi Czerwonej i na południowym Śląsku.

Lecz w tymże czasie, wraz ze wzrostem oświaty inny nieprzyjaciel zagrażał począł językowi polskiemu. To łacina. Humanistyka była poplecniczka monopolu łaciny. Szlachta i bogatsze mieszczaństwo, garnąc się do oświaty, wyjeżdża za granicę i wraca, świetnie władając łaciną. Ponad pokoleniami brzmi zachęta królewska: „*Disce, puer, latine*”. Poeci osiągnęli w łacinie wysoki stopień doskonałości: Janicki, Krzycki, Dantyszek, Kochanowski, Sarbiewski. Tłum szlachecki łątał mowę pospolitą wyślizganymi komunałami łacińskimi, oraz spolszczył niezliczoną ilość wyrazów. Łacina zubożyła język narodowy, skazując go na bezczynność, bierność i zdrewniałe trwanie. Tu snobizm polski włóczenia się wydeptanymi szlaki, wyjeżdżonym łacińskim łożyskiem rozpanoszył się niebywale. Począwszy od wyrazów szkolnych - kałamarz, atrament, temperować pióro, bibuła, arkusz, okulary, - kościelnych - parafia, dziekan, biskup, pleban, ołtarz, msza, nieszpory, - poprzez nieprzebrane mnóstwo wszelakich afektów, despektów, suplik i rewerencji, akomodowania się, responsów, amorów, impetów, ans, submisji i wszelkich, jakie tylko w świecie polskim być mogły, interesów, - a kończąc na poddawaniu się w piśmie najlepszych autorów szykowi wyrazów i składni łacińskiej: - „Widzicie Hozyusza kardynała presidentem być koncylii” - Wpływ łaciny niewidzialnymi, zaiste ciemnymi łożyskami spłynął nawet do ciemnego ludu. Zawędrowały tam rozmaite *jankory* i *despety*, *tredie* (intermedia), *frukta* (włoszczyzna ogrodowa), *fondus* (fundusz), *zdefecieć* (zbiecnieć), *medykować* (medytować), a nawet i sam sławetny *accusativus cum infinitivo*. Gdy zakopiański konik, ciągnąc ku Kuźnicom furkę, wskutek nagłego wypadu samochodu z zakrętu

ulicy, przestraszył się, skoczył na bok i wóz w rów obalił, a pasażerka rości pretensje do woźnicy, ten powiada z godnością:

- A wy byście się to, pani, nie zlekli, kiebyście tak z nieobacka postrzegali same portki bez chłopa po drodze chodzić?

Pokolenia za pokoleniami uczyły się w szkole, którą można by nazwać łacińską.

„Naszych dziadów chłostali Jezuici starzy,  
Naszych ojców ćwiczyli ojcowie Pijarzy,  
A nam się bazylikańska różga przypomina,  
Albo dominikańska twarda dyscyplina”,

mówi z rozrzewnieniem Władysław Syrokomla. Łacina wyrugowała przynajmniej czeszczyznę. Obok niej wywierały swe wpływy języki romańskie, - wioski od czasów Bony, niosący ze sobą kulturę wyrafinowaną, pałacową, ogrodową, stołu, ubiorów, konnej jazdy, w szermierce, w muzyce, wreszcie w poezji, - następnie francuski od czasów królowej „Marysienki”. Panowanie króla Stefana narzuciło językowi, wraz z kontuszowym strojem szlachty, wyrazy węgierskie - czaprak, orszak, puhar, antałek, ferezya, delia, forga, hajduk i t. p. Walki na pograniczu wschodnim napędziły wyrazów wołoskich, jak czucha, góralskie cucha, dołoman, albo dołman i inne, - tureckich, tatarskich i ruskich.

Przed ukazaniem się w druku „Ogródka dusznego”, tłumaczonego z łaciny (*Hortulus animae*) przez utalentowanego pisarza Biernata z Lublina w r. 1512, - pierwszej książki polskiej<sup>15</sup>), - skromna ilość liter alfabetu łacińskiego nie mogła ogarnąć obfitości dźwięków mowy polskiej, więc w ciągu wieków poprzedzających ów pierwszy druczek radzono sobie najrozmaiciej, wyrażając głoski nieistniejące w łacinie przez głoski mniej więcej przypominające brzmienie polskie, albo splatając i przestawiając litery. Nieustrudzone prace naszych badaczy prof. Malinowskiego, Nehringa, Brücknera, Łosia, Łopacińskiego, Ułasyna, Kaliny, Słońskiego i innych zdołały odtworzyć i odsłonić przed naszymi oczyma, spod sztucznej płątaniwy i nieudolności pisarzy i skrybów, stary a istotny tekst pieśni „Bogurodzica”, oraz tak, jak ona, czysty język słowiańsko-polski, niewymownie bliski naszemu uchu i sercu. Wielekroć w tych dawnych czasach usiłowano ująć pismo polskie w jakieś przepisy gramatyczne. Były to gramatyki łacińskie Parkoszowica i Stanisława Zaborowskiego. Ostatni, wyraźnie zaznacza i to w *dwu* miejscach<sup>16</sup>), że się wymawia Cęstochowa, Caśław, to jest przez *c*, a nie *cz*, co razem z Parkoszowym „cyzem” wskazuje, że tak zwane „mazurzenie” w języku literackim wtedy (r. 1514) rozpowszechnione było bardziej, niż w czasach późniejszych”, Widać z tego świadectwa, że mowa ludowa otoczenia usiłowała przebić się i wedrzeć do piśmiennictwa, a nawet nadać mu swą przewagę. Niemaló tutaj musiało zaważyć pochodzenie samych gramatykarzy z ludu, czy ze sfer bliskich ludu i jego mowy. Mistrzowie i bakałarze krakowscy Balcer Opeć, Biernat z Lublina, Jan z Szamotuł Paterek, Jan z Koszyczek, Hieronim z Wielunia, Hieronim Spiczyński i inni, którzy pospołu z drukarzami pierwsze książki polskie na świat puszczali, tworząc też pierwsze zasady ortografii, bliscy być musieli mowy ludowej. Lecz, wbrew temu stanowi rzeczy, innymi drogami potoczyły się dzieje języka. Przyszła czeska terminologia dogmatyczna, nawaliła się całym swoim ogromem miejska, rzemieślnicza i techniczna nomenklatura niemiecka, powtórnie przyszła moda literacka czeska w kancjonach i psalterzach, tłumaczonych dla osób możnych, - zapanowała z kretesem łacina, z jej olbrzymim, nieprzebranym zasobem i bogactwem naukowym, kulturalnym i literackim, - wtar-

gnęły wpływy włoskie, opanowując polski pałac i salon, a wśród mocowań się ze wschodem weszły do języka rozmaite „basalyki”.

Oprócz wymienionych wyżej, Parkoszowica i ks. Stanisława Zaborowskiego, opracowywali gramatykę polską, „*in gratiam exterorum*” przeważnie, nauczyciele języka - Mikołaj Volkmar w Gdańsku (4594 r.), spolszczony francuz Piotr Stojęński w Krakowie (1568), Kazimierz Malicki (1699), Jan Karol de Jasienica Wojna, (1690), Szylarski (1770) i inni.

Dopiero jednak ks. Onufry Kopczyński, aczkolwiek miał na oku język łaciński i wedle trudności w nim napotykanym dzielił przedmiot języka na trzy klasy, - aczkolwiek nie zwracał uwagi na język „w starych książkach” zawarty, czyli na język „starodawnych Polaków”, a żywił lekceważenie, graniczące z pogardą dla języka ludowego i dla dialektów, oraz pomijał zupełnie języki słowiańskie, - ujął w zasady mowę polską. Nie mogąc wdawać się w ocenę pracy ks. Onufrego Kopczyńskiego, muszę przecież zaznaczyć, że on to utworzył nazwy polskie dla części mowy i terminy, którymi do dziś dnia posługujemy się wszyscy jak - imiesłów, przymimek, przysłówki, spójnik, wykrzyknik, cudzysłów, dwukropek, iloczyn, nawias, odcinek, odsyłacz, przecinek, przenośnia, samogłoska, spółgłoska<sup>17</sup>). Nadto, - co stanowi jego nadzwyczajną zasługę, wprowadził, a raczej stwierdził, - może na pół świadomie, gdyż sam tej zasady niezbyt ściśle się trzymał, - rozróżnienie rodzajów męskiego i nijakiego w narzędniku liczby pojedynczej przymiotników i zaimków, - dobrym chłopcem, dobrem dzieckiem. Rozróżnienie to, istniejące w gwarach tak dobitnie, iż nawet na rodzaj męski przenosi zmiękczenie nijakie - „Rosła kalina z liściem szerokim”, - „a co ja też mam za kłopot z tym chłopcem!” - „byłem na polowaniu z panem Jasięńskim”, - w poezji musi być zachowane ze względu na prawa i dobro rymu, a w prozie ze względu na możliwość łatwego i przejrzystego konstruowania zdań określających.

Słownik, a zwłaszcza zbiór przysłów Grzegorza Knapskiego, wynik olbrzymiej wiedzy i niezmierniej pracowitości, dzieła nadzwyczajnej wartości, które dziś i zawsze mogą być przedmiotem lektury nieustannej, zawsze świeżej i pełnej uroku - gramatyka ks. Onufrego Kopczyńskiego i Słownik języka polskiego, ułożony przez Samuela Bogumiła Lindego, zawierający ujęcie mowy szlacheckiej, ogarniętej przez druk od początku XVI do końca XVIII stulecia, - są to trzy wielkie stopnie, prowadzące do poznania się w swym jestestwie, jako w materiale i tworzywie pisarskim.

Gdy armaty Prusaków były w umocnienia Kościuszki, wzniesione wokół Warszawy, Niemiec czy Szwed, przy pytaniu do polskości (a gotowy ją również sprzedać za dobrą monetę), Samuel Bogumił Linde, układał pracownice i niewzruszenie kartki Słownika polskiego. Z tym zasobem odłam języka warstw, które Polskę stanowiły na zewnątrz, zawartego w Słowniku Lindego, ojczyzna nasza schodziła do kostnicy swego niewolniczego bytu. Prześladowania, zakazy, cenzura, wygnanie ze szkół i urzędów, - wreszcie wypędzenie najlepszych obywateli i najświetniejszych pisarzy na obczyznę i w Sybir, miało być odtąd losem mowy szlacheckiej. Przy końcu osiemnastego stulecia, przeważnie pod wpływem piśmiennictwa francuskiego, zajaśniała literatura polska pod piórem poetów i prozaików epoki stanisławowskiej. Poezja wybujała na emigracji, nieznanie, nowe światło wykrzesła z mowy wyniesionej z kraju. Jedno i drugie zjawisko dalekie było od żywej masy i żywej mowy ludu. Jakże trafnie, jak genialnie, jasno, skończenie, z jak matematyczną dokładnością wyraził stanowisko emigracyjne Juliusz Słowacki w bezcennej perle, wydobytej z morza bytu i niedoli poszarpanego i porozdzielanego narodu:

„Anioły stoją na rodzinnych polach,  
I chcąc powitać, lecą w nasze strony, -  
Ludzie, schyleni w nędzach i niedolach,  
Cierniowymi się kłaniają korony,  
Idą i szyki witają podrózne,  
I o miecz proszą tak, jak o jałmużnę”...

Gorsze dla języka polskiego nadeszły czasy, gdy po upadku powstania sześćdziesiątego trzeciego roku, musiał stać się wyrazem pogrążenia łańcuchów w ciężkich robotach sybirskich, gdy wyrażał szept spisku i zimny ostrożny rachunek pracy organicznej. Wygnany z urzędu i szkoły w dwu dzielnicach, skazany na zeszczenie i zepsucie przez obce wpływy, zawisł w powietrzu, jako mowa warstw wykształconych ponad chłopstwem, którego sympatię nieprzyjaciół zdobył darowizną gruntów, ponad masą robotniczą, którą międzynarodowa współwalka proletariatu całej ziemi odcinała od narodu i wciągała do swego rewolucyjnego obozu. Dybał na to wróg, ażeby go wygnać wreszcie i z kościoła. Zaprzaniec polskości, wyrodny potomek, służący moskwicyzmowi, wielkorządca carski Josif Władymirowicz Hurko, tym podlejszy, że idący z rodu, z którego drugiej gałęzi wyszedł Tadeusz Kościuszko, - żądał swego czasu od arcybiskupa Wicentego Popiela, żeby się zgodził na wykonanie przez naród przysięgi wierności w kościołach polskich w języku rosyjskim. Gdy zaś arcybiskup opierał się stanowczo, satrapa carski nazwał język polski - „językiem kucharek”. Chybił w istocie sprawy, chybił w usiłowaniu zniewagi, a nade wszystko w złą dla siebie godzinę rzucił to słowo. Jeden syn tego zdrajcy został bandytą, a uwięzionemu z racji włamania w Paryżu, drugi syn, brat bratu, zawiózł do więzienia z Warszawy prosek trucizny. Trzeci syn, komisarz włościański, rusyfikador i działacz moskiewski, po upadku jego przybranej ojczyzny carskiej, tuła się poza jej granicami, zaznajac, co to być wzgardzonym, wszędzie nędznym, włóczęgą, co to być bez opieki i pomocy, co to być bez ojczyzny.

Znakomity pisarz, mistyk (a może nieco i mistyfikador) rosyjski, Dymitr Mereżkowskij, w którego świętych pismach, znanych powszechnie i dokładnie przed wojennymi i socjalnymi przewrotami, niewiele, po prawdzie, znalazłby kto sympatii, - ba! odrobiny współczucia, - dla Polski, uciemienzonej przez państwo carów tak niewątpliwie i oczywiście, - który w obcowaniu towarzyskim z poetami i literatami polskimi, nie chciał ongi zgodzić się na taki sposób dyskusji, ażeby słuchać, jak rozmówca wyklada rzecz swą po polsku, a odpowiadać po rosyjsku, gdyż twierdził, że język polski to jest po prostu „*iskowierkannaja russkaja rzecz*”, - teraz, uszedłszy ze swego prawosławnego ogromu, państwa i ziemi, zapewniał o drzeniu radosnym serca na widok szarych mundurów żołnierzyków polskich, stojących na straży polskiej granicy...

Co więcej - wdrapał się w Paryżu na wysokie piéterko przy ulicy Guenegaud N. 7, do siedziby niegdyś innego tułacza i rzeczywistego mistyka, Adama Mickiewicza, twórcy ksiąg nieśmiertelnych po wszystkie wieki Pielgrzymstwa Polskiego. Nie wiedział, zapewne, idąc po tamtych schodach, iż w tej jego wędrówce, w tym tak dziwnym wydarzeniu, lśni zaiste mistyczny uśmiech niepojętej sprawiedliwości.

1) Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Seria III. Tom. I. Kraków 1910. „Próba ugrupowania gwar polskich”. Str. 336-365.

2) Woś Budzysz. „Nowotne Spiewe”. Poznań 1910.

3) Prof. dr Aleksander Brückner. „Dzieje języka”.



- 4) Z „Rozmyślania o Żywocie Pana Jezusa”. Rękopis z początku XVI wieku w Przemyślu.
- 5) Prof. Jan Łoś „Początki piśmiennictwa polskiego”.
- 6) Prof. Karol Potkański - „Kraków przed Piastami”. Str. 98 i 99.
- 7) Prof. Tadeusz Wojciechowski „Szkice z jedenastego wieku”
- 8) Prof. Jan Łoś. „Początki piśmiennictwa polskiego”. Str. 175.
- 9) klucz, izba, a więc i przyzba==wyrazy gockie.
- 10) Ks. Władysław Siarkowski.
- 11) Bolesław Ślaski.
- 12) Prof. Aleksander Brückner „Dzieje języka polskiego”.
- 13) Prof. Jan Łoś. „Początki piśmiennictwa polskiego”
- 14) Prof. Ignacy Chrzanowski. „Wśród zagadnień, książek ludzi”. 1923, „Książka o Samuelu i Seklucjaninie”. Str. 65.
- 15) Dr. Ludwik Bernacki. Pierwsza książka polska.
- 16) Prof. Jan Łoś. „Początki piśmien. polsk.” Str. 106.
- 17) P. Kopko. Krytyczny rozbiór gramatyki narodowej O. Kopczyńskiego. Rozprawy Akad. Umiejęt. Wydz. filolog. Seria III. T. I.

## ROZDZIAŁ 8

Obróciło się koło dziejów, to też z tego użyczenia losu, trzeba co tchu korzystać, nie tracąc czasu na czcze przechwałki i napawanie się pychą. Oto na język polski tych, co zostali poza linią graniczną, nastaje Niemiec na Śląsku, nieodkupionym jeszcze świętą powstańczą krwią, - na Mazurach, w Malborskiem, Sztumskiem, w Gdańszczyźnie i za granicą zachodnią, - pobratymiec Czech w Cieszyńskiem i Litwinisko tak stare, a tak wciąż głupie. Ale już drugi swój Grunwald przemoc niemiecka znalazła i nigdy już Moskal nie nastąpi na Polskę. Można więc, nie lękając się posądzenia o szerzenie rusycyzmów, cofnąć się wstecz i podejmować słowiańskie nazwy i formy, brzmiące w „Bogurodzicy” i w tych szczątkach, które uczeni nasi niestrudzoną, a prawdziwie zbożną pracą nam odsłoniли i wciąż odsłaniają. Nie chodzi o to, ażeby te wyrazy i formy na gwałt i ogółem wcielać do mowy potocznej, - lecz o to, żeby te wyrazy, nieznane Lindemu, mieć w zasobie języka i używać ich w dziełach naukowych i literackich, jako synonimów, tudzież dla wypełnienia braków nazw i pojęć, a zwłaszcza, jako zastępstwo wyrazów, później wtrąconych, niemieckich. Nie chodzi również o to, ażeby rugować z języka jakikolwiek wyraz niemiecki, który weń wrósł i przystał do rzeczy jako jej znak widomy, przyrósł do tego miejsca i ma już swe dzieje po prostu z tutejszymi rzeczami i sprawami. Nie rugowałbym takich nawet koczokodanów, jak od czasu wprowadzenia poczty przez Austriaków w „Zachodniej Galicji”, grasujący wciąż jeszcze w Kielcach *bryftrygier* (listonosz), *banhof*, tudzież *foksal* (dworzec kolejowy), zdobiące słownictwo innych okolic, i mnóstwa nieprzebranego germanizmów na Pomorzu, w Poznańskiem i na Śląsku. Mają one swe miejsce w dziejach języka. Lecz jeśli ktoś użyje zamiast wyrazu kielnia (*die Kelle*), nazwy starej korzkiew, - zamiast wyrazu dyszel (*die Deichsel*, dolno-niemieckie *die Diessel*) starej nazwy oje, - zamiast wyrazu sala (*der Saal*) wyrazu samborza, (który, zapewne, jest źródłem nazwy wsi sandomierskiej Samboborzec, czyli dworzyszczce pełne sal), - zamiast, a raczej obok *wyrazów*, bać się, lękać się, postawi trzeci stopień, najwyższy - zrzasać się - (Krzysztof Radziwiłł pisze do króla, przedstawiając mu sytuację polityczną: „Najjaśniejszy panie, trzeba się nie tylko bać, trzeba się lękać...”), - ażeby tego rodzaju nowacje nie były poczytywane za wykroczenia przeciwko czystości języka, za neologizmy, rusycyzmy i t. p. Gdy wydzie słownik mowy staropolskiej, opracowywany i przygotowany już, pono, do druku przez prof. Jana Łosia, niezmierzone bogactwo, przepych, piękno i dostojność starych wyrazów stanie przed literaturą polską.

Od chwili wskrzeszenia niepodległości stoi otworem przed społeczeństwem i jego piśmiennictwem drugi skarbiec, stokroć obfitszy, to jest gwary, objęte już granicami państwa. Nie potrzebuje już teraz językoznawca i zbieracz przemykać się chyłkiem, kryć za pseudonimem swych prac czcigodnych, jak musiał to czynić nieodżałowany Hieronim Łopaciński, który swą naturę, instynkt i cnotę wrodzoną pszczoły, a zdobytą wiedzę, - istny promień Roentgena, -

musiał chować, jako występki, wobec kierowników państwowego gimnazjum w Lublinie, gdzie dla chleba wykładał łacinę. Wewnątrz kraju można zbierać słowa w biały dzień, jak żyto na polu. Trudno by tu było wyliczyć cały zastęp poprzedników, którzy od dawna pracowali nad zgromadzeniem słowostanu gwarowego. Nieocenione zasługi położyli: Oskar Kolberg, prof. Lucjan Malinowski, Karol Appel, P. Bykowski, Jan Karłowicz, Dr Aleksander Brückner, Zygmunt Gloger, prof. Jan Łoś, Stanisław Ciszewski, Józef Grajner, Stefan Ramułt, Andrzej Podbereski, Dr Nadmorski, Dr Lorentz, Antoni Kalina, J. S. Ziemia, Edward Rulikowski, Stefania Ulanowska, Adam Zakrzewski, Józef Muszyński, Karol Matyas, Jan Sembrzycki, Seweryn Udziela, Aleksander Petrow, Prof. Zawiliński, prof. Juliusz Zborowski, prof. Lehr, M. Witanowski, ks. Władysław Siarkowski i wielu innych. Niektóre okolice cieszyły się specjalnymi względami badaczy. Do tych należały przede wszystkim Kaszuby. Posiadły one specjalny słownik Stefana Ramułta<sup>1)</sup>, a nadto język Kaszubów był badany przez cały szereg uczonych, jak Aleksandra Berka, dr Lorentza, prof. Baudouina de Curtenay, Karłowicza, prof. Nitscha i innych. Nadzwyczajne zasługi dla gwaroznawstwa położył Jan Karłowicz. Nie tylko doprowadził do wydania „Słownika gwar polskich”, lecz umiał znaleźć i zachęcić cały szereg pracowników, którzy, dzięki jego inicjatywie i kierownictwu, poczęli gromadzić materiały i spisywać słowniki miejscowe. Za czasów Jana Karłowicza istniał formalny ruch umysłowy, widać było „prąd”, dążący w kierunku ludo-znawstwa i gromadzenia gwar ludowych. Wychodziły pisma specjalne, jak „Wisła”, „Prace filologiczne” skupiające szereg ludzi świadomych doniosłości tej sprawy. Dziś prądu żadnego nie ma, wśród inteligencji panuje do chłopów zdecydowana nienawiść, jako do „paskarzy” i „chamów”, a najświetniejsi publicyści cały lud polski obryzgują jadem wzgardy i obrazy. Jeżeli gdzie panuje świadoma i żywa praca, to jedynie wśród nielicznego grona specjalistów, którzy po dawnemu prowadzą rzecz swoją. Przede wszystkim niestrudzony prof. dr Kazimierz Nitsch, ten geograf wyrazów, który obiega granice i sieciami osnuwa krańce nazw, niczym pracowity pająk, mający w sobie swą własną, wewnętrzną wiedzę o potrzebie takich a nie innych zabiegów i takich a nie innych kierunków swych mądrych nici i sieci. Inteligentny ogół nie interesuje się tymi sprawami. Literatura nie kwapi się wcale do poznania tych tam poczyńań. Żadnego wrażenia na „łamacz” pism literackich nie wywołał artykuł Prof. Kazimierza Nitscha w t. VIII. „Rocznika Sławistycznego”<sup>2)</sup>, zajmujący się właśnie geografiami wyrazów polskich. Prof. Nitsch przedstawił w tej pracy rezultat swych badań, które umożliwiły mu nakreślenie kilku map Polski z zaznaczeniem granic rozmaitych nazw i terytorium, gdzie rozmieszczone są synonimy:

1) wilga, (wywielga, zofia, boguwola, żołna); 2) nietoperz, (mętoperz, szętoperz, latoperz, gacoperz, gacek, wieczorek, zaskórlak, cholewiarz); 3) kogut, (kokot, kohot, kogut, piejak, kur, krrak); 4) przycieś, (podwalina, spodek, tram, podrąb, próg, szwela); 5) krokwie, (kozły, koźliny); 6) banty (jętki, pęta, hembalki, kokoszki); 7) kalenica, (kalonka, warst, siodło, strop, wierzch); 8) klepisko, (bojowisko, bojewica, gumno); 9) zapole, (przyczótek, zastronie, zasiek, sąsiek, ćwierć, wach, zabłąże); 10) sworzeń, (sierzeń, zworzeń, szpernal); 11) ryczan, (obartel, kierownik, kołowrót, dreszmel).

Zakreślając na mapie kraju specjalnym zabarwieniem i najdogodniejszymi dla oka znakami teren i granice każdego z jedenastu głównych wyrazów, oraz dzielnicę jego synonimów, językoznanca daje plastyczny, jasny, dogodny obraz obszaru zasadniczego brzmienia danej nazwy i jego równorzędników, czyli ułatwia widzowi dokonanie wyboru, rysuje drogę dziejową każdego wyrazu, jego pochod, zakres władania, skąd wyszedł i dokąd zabrnął, - przedstawia

w tablicy graficznej materiał do historii kultury rodzimej i wpływu obcego na terytorium Polski. Oczywiście rzecz, iż jeden badacz nie może tak cyklopicznej roboty wykonać co do wszystkich wyrazów i całości języka. Dla narysowania map dwunastu rzeczy-wyrazów i ich synonimów musiał on przejść, czy przejechać setki i setki miejsc, zbadać, jak dany przedmiot w danym miejscu nazywają - wilga, boguwola, zofia, czy żoła, - znaleźć granicę na północy kura i koguta, a na zachodzie zazębienie kokota i koguta, a więc nie tylko przemierzyć ogromne przestrzenie, lecz zbaczać na prawo i na lewo dla znalezienia linii demarkacyjnej. Pomagała mu w tej pracy - wojna, a raczej wytworzone przez wojnę obozy jeńców, - oraz korespondencja prywatna, prowadzona z rozmaitymi życzliwymi zbieraczami na prowincji, odpowiadającymi na kwestionariusz, ogłoszony w tej materii. Językoznawca powinien właściwie tylko segregować zebrane materiały. Samą pracę notowania topografii rzeczy-wyrazów powinna wykonywać inteligencja polska wszystkich dzielnic, na wzór inteligencji poznańskiej, która już na kwestionariusze prof. Nitscha odpowiadała, oraz na arcywzór inteligencji niemieckiej, która właśnie swój wielki słownik narodowy w taki sposób zbiorowo prowadzi. Rzecz jest prosta i łatwa. Ktokolwiek styka się z ludem: ksiądz, organista, lekarz, aptekarz, weterynarz, geometra, budowniczy, rolnik, kierownik sklepu, urzędnik pocztowy, administracyjny, powiatowy, gminny, a nawet sam wszechobecny agitator przedwyborczy, słysząc z ust ludu autentyczną nazwę swoistą, może ją przecie zapisać na kartce korespondencyjnej z podaniem dokładnym miejscowości, gdzie przebywa jego rozmówca, który tak oto dany przedmiot, w kwestionariuszu wymieniony, nazywa. Oczywiście musiałby być sporządzony przede wszystkim kwestionariusz co do porządku zbierania wyrazów, plan tej pracy i biuro centralne odbiorcze, do którego należałoby dla użytku językoznawców cały zebrany materiał adresować.

Następuje pytanie, czy ta praca jest tak dalece pilna, ażeby ją w sposób zbiorowy i masowy prowadzić. Otóż tak jest niewątpliwie. Najeźdźcy zagrażali całości języka i rugowali go za pomocą szkoły, wojska, sądu i urzędów przeważnie na okrainach. W środku kraju polskiego wpływ rosyjski i niemiecki na zanikanie gwar był nieznaczny. Przeciwnie, nędzny stan szkolnictwa pod zaborem rosyjskim konserwował istnienie dawnego chłopskiego sposobu mówienia. Niepodległość Polski przyniosła w tej dziedzinie „niebezpieczeństwo” zasadnicze: szkolnictwo wyższe i niższe, mowę narodową w sądzie, urzędach, wojsku i na zgromadzeniach publicznych. Gdy wprowadzona zostanie w życie reforma rolna, powstanie typ rolnika, zbliżony pod względem obszaru ziemi posiadanej i normy życia do typu wielkopolskiego, pomorskiego i sztumskiego gospodarza, zwanego z niemiecka gburą (*Gebauer*). Podobnie, jak tam, gdzie synowie gburów stanowią całą niemal nową inteligencję, - księży, adwokatów, lekarzy, notariuszy, dziennikarzy i t. p., - dziatwa wieśniaków, czy rolników tego nowego typu na całym obszarze Polski zapelni tysiące tysięcy szkół, a później urzędów i stanowisk społecznych, kulturalnych i oświatowych. Język krakowski, historyczny, wielkomięski, pański, którym obecnie mówimy, stanie się językiem tej przyszłej warstwy, nowych zastępów nowej kultury polskiej. Przez snobizm właśnie, o którym wyżej tyle było mowy, ta nowa fala inteligencji, wychodząca z łona chłopstwa, wstydząc się, naturalną koleją rzeczy, swego prostactwa domowego i gardząc mową nieokrzyszanych ojców, będzie kultywowała z przesadą pański, miejski, wielkoświatowy sposób mówienia, a tym sposobem, przy ogólnym podniesieniu się stopy życia wiejskiego, spowoduje, jeżeli nie zupełny zanik, to głębokie przyćmienie gwary. Tak w oczach naszych, w oczach jednego pokolenia, stopniała gwara kaszubska w objęciach kulturalnej niemczyzny, przechodząc do stanu pół-mowy, mieszańca kaszubsko-nie-

mieckiego. Kaszub wstydzi się swej mowy wobec Polaka, który tę mowę ośmiesza, jako ze-psutą polszczyznę, woli tedy mówić poprawnie po niemiecku, gdyż wtedy nikt nie traktuje go, jako typu niższej kategorii. Teraz na tę resztkę gwary kaszubskiej napływa wielkomiejski język polski i do reszty wytrzebi gwara. W szkołach kaszubskich dzieci wyśpiewują krakowiaki i uczą się czystej polszczyzny. Jest to proces, z pewnością, nieunikniony, lecz tym też gorętsze i szybsze musi być notowanie zasobów gwarowych.

Drugim powodem konieczności jak najszybszego spisywania gwar jest tworzenie słowników specjalnych. Pragnąc wydzwignąć język z objęć terminologii fachowej niemieckiej, w najrozmaitszych dziedzinach techniki poczęto tworzyć słownictwo, spisywać słowniki i ogłaszać je drukiem. Te spisy narzędzi i czynności, wyrażone po polsku, o ile miałem możność zapoznać się z nimi, w przeważnej mierze składają się z neologizmów. Są to zbiory nazw, ukutych nie-rzad bardzo trafnie i pomysłowo, nawet w zgodzie z językiem, ale mają to na sobie piętno, iż są nowotworami, nieistniejącymi w mowie polskiej. Dobrze jeszcze, gdy nowa nazwa jest imioniskiem nowego zgoła przedmiotu. Tymczasem większość wyrazów tak wyrobionych z niczego,- na przykład w budownictwie, ciesielstwie, stolarstwie,- istnieje od wieków w mowie ludowej, lecz, wskutek swego ukrycia w mroku życia jest nam nieznaną. Już ta część wyrazów w geografii prof. K. Nitscha, którą ogłosił w „Roczniku Sławistycznym”, wskazuje, czego mogłaby dokonać masowa praca inteligencji. Cóż uczynić z wyrazem, który przez wieki istniał w dialekcie, gdy nowy wyraz, neologizm, wtłoczony zostanie w pamięć ucznia szkoły technicznej? Na nowo skazać go na zapomnienie? Logicznie przedstawiała by się ta sprawa w ten sposób, by człowiek, układający jakikolwiek słownik techniczny, miał przed oczyma wyrazy ludowe, określające przedmiot, który on ma do słownika, a przez słownik do szkoły i warsztatu wprowadzić,-a z liczby synonimów, uwidoczniionych na mapie kraju, wybierał ten, któryby był najbardziej odpowiedni, najłatwiej wpadał w ucho, najpiękniej brzmiał i najobszerniejsze terytorium obejmował w żywej, gorącej mowie.

Ażeby tę sprawę raz poruszyć, należałoby zacząć od jakiejś czynności. Uważam, iż, na przykład, wędrowni po kraju skautów, studentów i starszych uczniów mogłyby sobie obrać za cel zbieranie wyrazów, jak się zbiera kwiaty, lub motyle. Można by przebywać kraj od Warty po Wilię, notując nazwy poszczególnych części wozu w każdej okolicy i ta jedna próba dałaby już pewien obraz. Gdy się bowiem taki zebrany materiał części wozu oprze o dane, zawarte w zbiorze p. t. „*Rationes curiae Vladislai Jagiellonis et Hedvigis regum Poloniae*”, wydanym w Krakowie w r. 1896 przez prof. Piekosińskiego, gdzie uwidocznione są takie nazwy części wozu, jak - oś, maź, maźnica, połuba (przykrycie wozu), przykoszki, albo półkoszki, podkłady, podoški, szyny, barczce, czyli wagi ( - liczba pojedyncza barczca, bartcza, barcza), łanwie (niemieckie *Lanne*), postronki, pokład i t. d., - to otrzymalibyśmy pewien rys historii wozu w Polsce i jego obecnego bytu. W podobny sposób można by zbierać nazwy części składowych narzędzi rolniczych, najprostszych i najpierwotniejszych: - cepów (dzierżak, bijak, gązwy) pługa (klęk, trzusło, lemiesz i t. d.), motyki, kosy, grabi, siekiery, wideł. Inne grupy zbieraczy mogłyby gromadzić synonimy nazw przyrządów rybackich, oparłszy się o prace Bolesława Śląskiego<sup>3)</sup>. Spotykając na swej drodze nazwę odmienną od podanej już, jak gdyby zasadniczej i niejako normalnej, zanotować na kartce pocztowej dokładne brzmienie rzeczy-wyrazu z podaniem miejsca, wsi, osiedla, przysiółka, gdzie taka nazwa żyje w ustach ludzkich, i wysłać kartkę pod następującym adresem: Kraków. Akademia Umiejętności. Ulica Sławkowska dla prof. dra Kazimierza Nitscha. Niektóre gwary, jak to już zazna-

czyłem, dostąpiły tego zaszczytu, iż dawniej już spisane zostały, zbadane umiejętnie przez siły fachowe, dopełniane starannie, a nawet wywyższone ponad wszystkie inne, ponad sam język ogólnie polski przez poetów i literatów, którzy w tej gwarze właśnie pisali utwory o wysokiej artystycznej wartości. Tego zaszczytu dostąpiły gwary kaszubska i podhalańska. Co do ostatniej, to należy nadmienić, iż w samej już nazwie tej gwary widać wpływ obcy, gdyż wyraz „hala” nie brzmi po polsku, lecz ze słowacka. Gdy po raz pierwszy (po Stanisławie Staszycu) zawitali z dólskiego świata do Tatr poeci polscy Seweryn Goszczyński i Wincenty Pol, góry i lud, życie pasterskie i obyczaje wywarły na nich tak wielkie wrażenie, iż wysławiali te strony w swych pięknych dziełach. Dzieła te pisane są językiem nizinnym, dólskim, krakowskim. Gwara góralska nie przemówiła wcale do S. Goszczyńskiego, choć ją słyszał. Patrząc na górali i słuchając ich mowy, w istocie nie widział ich i nie słyszał. Przyniósł ze sobą nie tylko język, którym niby to jego górale przemawiają, oraz wyobrażenie jakichś górali, których można by nazwać wyśnionymi. W poemacie p. t. „Sobótka” S. Goszczyński przytacza niektóre wyrazy góralskie, jak smerek, juhas, juhaska, guńka, żętyca, koszary, baca, gęśle, gazda, - lecz bohaterowie jego poematu przemawiają iście operowymi ariami i prowadzą dialogi w sposób najzupełniej wymyślony z głowy. Mowa ich jest to najczystsza wielkomiejska polszczyzna, a treść ich przemówień to zacne myśli belwederczyka i czcigodne sny towiańczyka. Tak to język krakowski popłynął nawet w górę rzek, Dunajcem i dosięgnął do szczytu Wyżki. Gdy zaś przed laty Zakopane „odkryte” zostało przez Dra Chałubińskiego, a grono miłośników gór rzuciło się do badania sprzętów, zdobnictwa i budownictwa góralskiego (p. Bronisław Dembowski, dr Władysław Matlakowski, Stanisław Witkiewicz), - podniesiono gwara podhalańską do wyżyny języka pra-polskiego, entuzjazmowano się nim i stawiano na miejscu naczelnym. Stanisław Witkiewicz tłumaczył na gwara podhalańską „Fiorretti” św. Franciszka z Asyżu, a Kazimierz Przerwa-Tetmajer w gwarze wyrzeźbił swe arcydzieło „Na skalnym Podhalu”. O ile pierwsi poeci tatrzańscy za mało przyłożyli uwagi do poznania i wciągnięcia w swe pisma mowy góralskiej istotnej, o tyle późniejsi pisarze czynili na odwrót: - za wiele. Dla kogóż bowiem Stanisław Witkiewicz tłumaczył Lwa Tołstoja, albo świętego Franciszka na dialekt tatrzański? Ani jeden góral tych przekładów nie czytał i nie mógłby czytać, umiając czytać jedynie po polsku, a garstka snobów znała przecie i bez gwary utwory świętego Franciszka i Lwa Tołstoja, Ogół zapoznał się z mową górali i przyswoił sobie z niej bardzo wiele wyrazów. Wszyscy wiedzą już, co znaczy pazdur, płazy, ry-sie, skrzyżal, żabica, krzesanica, upłaz, a nadto nauczyli się na pamięć od górali wielu wyrazów obcego pochodzenia, jako niby rdzennie polskich: cucha (rumuńskie), watra (rumuńskie), sikława (węgierskie), kierpce, wirch, kierdel, baca, juhas i t. d. (słowackie).

Same nazwy miejscowości wskazują wyraźnie na to, iż Tatry były wędrowiskiem pasterzy rozmaitego pochodzenia: Rumunów, Słowaków, Węgrów, oraz górników, czy przemysłowców Niemców, a ta różnorodność przychodniów w te doliny górskie uwidoczniła się w języku, który został, - w języku stałych mieszkańców Podhala. Obok nazw rdzennie polskich - Osobita, Kościeliska, Gubałówka, Świnnica, Kościelec, Krzyżne, Miedziane, Młynarz, Dolina białej wody, Morskie Oko, Czarny Staw, wreszcie Zakopane i t. d. słyszymy nazwy zupełnie obce: Giewont, Gierlach, Waksmundska polana, Matlary, Szaflary, a nadto - Hruby, Hawrań, Krywań, Zubsuhe, Murzasichle i tym podobne. Język podhalański nie jest tedy czystym wzorem języka staropolskiego, jak utrzymywano, lecz jest jedynie nadzwyczaj ciekawym obrazem zazębienia się wzajemnego mowy rozmaitych banitów i pasterzy, którzy ze swymi kier-

delami, pod wodzą baców i przy udziale juhasów przybywali w te polskie od wieków pustkowie.

Pragnąc odnaleźć idealnie polską, to znaczy możliwie najbardziej wolną od wpływów zewnętrznych gwarę - macierz, należałoby szukać jej nie na pograniczu, lecz właśnie w głębi, niejako w łonie, macierzystego kraju. Należałoby wynaleźć w Polsce krainę, położoną z dala od wszelkich granic, a więc od wpływu niemieckiego, czeskiego i ruskiego, istic słowiańską od samego początku, wreszcie nieobfitującą w miasta i mało uprzemysłowioną. Takim krajem, według mojego rozumienia, będzie obręb terytorium, na którego jednym krańcu leży miasto *Opatów*, na drugim miasteczko Przedbórz, - na północy Ilża, na południu Stopnica. Jest to więc mniej więcej obszar gór i lasów świętokrzyskich. Okolica ta ma, - w przeciwieństwie do Tatr, które reprezentują pasterski sposób życia mieszkańców z niejaką domieszką rolnictwa (owies, grule),- wszystkie stopnie rozwoju: pasterski i leśny w okolicy samych Łysogór, rolniczy, jak we wszystkich innych okolicach kraju, (uprawa wszystkich zbóż i nasion, z wyjątkiem pszenicy), ogrodnictwo, wysoko postawione na południowym zboczu gór świętokrzyskich (w Bielinach, Porąbkach, Słupi, Krajnie), oraz w średniowieczu wszczęte, w jednych miejscach zamarłe, legendarne, w innych do dziś istniejące kopalnictwo rud żelaza, miedzi, marmurów w Miedzianej Górze, Karczówce, Chęcinach, Suchedniowie. Ten to leśny kraj, przegrodzony trzema równoległymi łańcuchami wzgórz i wyniosłości świętokrzyskich, był w zamierzchłych czasach granicą naturalną dwu plemion macierzystych - Wiślan i Mazowszan. Mazowszanie „zajmowali <sup>4)</sup> dolną Pilicę, średnią i dolną Sandomierzę, ostatnie ich placówki sięgały aż po dolną Chotczę. Stykali się z nimi od południa Wiślanie, - ale, zdaje się, pierwotnie nie bezpośrednio. Góry Świętokrzyskie, które idą w tym kierunku, co i osadnictwo mazurskie, dzieliły ich od siebie. Dziś, potomkowie owych Wiślan - Krakowiaczy i Sandomierzanie, przeszli i na północne ich skłony. Nie sądzę jednak, aby w plemiennej, przedpolskiej jeszcze dobie. Zgodnie z tym przypuszczeniem widzimy stoki południowe Świętokrzyskiego pasma silniej i dawniej zaludnione, północne zaś, szczególnie od wschodu, jeszcze w XV i XVI wieku były prawie puste. Można więc z tego wywnioskować, że Wiślanie dopiero w czasach historycznych zajęli je, posuwając się od silniej zaludnionego południa. W każdym razie byli oni pierwszymi ich osadnikami i ubiegli Mazowszan, którzy od północy szli ku nim, - ale do nich nie dotarli. Pasma gór owych, widocznie stanowiło niegdyś międzyplemienną puszcę. Grzbiet ich, najeżony gęstym, czarnym lasem długo, dla obu plemion niedostępny, podnosił się pusty i bezludny. Wiślanie jednak postąpili bliżej ku niemu i zaczęli go przechodzić na drugą stronę, podczas kiedy Mazowszanie bardziej się z daleka trzymali. Trzeba więc przyjąć, jako granicę północną Wiślan w dobie plemiennej: źródła Warty, część przynajmniej, jeśli nie całą górną Pilicę i góry Świętokrzyskie, które idą skośnie z północno-zachodu ku południo-wschodowi. Za ich wierzchołkami mieszkali Mazowszanie. Przeszli oni dalej za Wisłę i znaleźli się na prawym jej porzeczu”. Widzimy z tego rozmieszczenia pierwotnego osadnictwa tych okolic, iż święty Świerad, idąc w kierunku dzisiejszego Opatowa, spotykał na swej drodze lud, mówiący tym samym co on „wiślańskim” językiem. Szczep wiślański wdzierał z południa w głębokie jodłowe lasy, bukiem i dębem przetykane, z siekierą i sochą, wyrąbywał polany, na których, lasem ze wszech stron otoczone, istotnie osadnicze do dziś stoją sioła, jak na przykład, Klonów na południowym zboczu góry Klonowej. W obrębie elipsy, którą zaznaczyliśmy na mapie kraju, jedno tylko leży miasto - Kielce, - równie, jak wsie tej strony, lasami otoczone, które niemal do jego przedmieść docierają.

Było to miasto biskupów krakowskich, nie posiadające ludności napływowej, niemieckiej, a nawet nie dopuszczające poza swe bramy Żydów, którym aż do początków XIX stulecia (do 1819 r.), nie wolno było osiedlać się w tym mieście. Sterczą po górach ruiny zamków, w Bodzentynie, Chęcinach, Podzamczu, Iłży, Mokrzku. Kryją się po leśnych wyniosłościach ruiny ariańskich świątyń, jak między Gruszczyńcem i Krasocinem. Lasem gęstym tak otoczone, iż na drogach, prowadzących ku szczytowi, grube jodły stanęły, zieją mchem i tarniną zarośnięte przepastne otwory porzuconych kopalń rozmaitej rudy, a nawet pod ozdobą z dzikiej róży rozsypują się w gruzy dawne, poniechane fabryki. Tam i sam istnieje dworzyszczce, przerobione z ariańskiego kościoła, jak w Jelenowie pod Nową Słupią, - albo w żydowskiej, piaskami od świata odgradzonej mieścinie Rakowie - snuje się niewiarygodne wspomnienie, iż pracowały tutaj niegdyś liczne ariańskie drukarnie, wyrzucając na świat w polskiej mowie bezcenne dziś polemiczne pisemka.

Ludność tego obszaru jest do dziś dnia najrdzenniejszą polską, gdyż nigdy nie była wystawiona na żaden wpływ ościenny. Całkowite stuletnie panowanie rosyjskie nie zostawiło w mowie ludowej prawie żadnego śladu, oprócz może kilku „*kriepkich*” wyrazów, które z wojska przynieśli chłopcy wzięci do żołnierki z tych wiosek. Pamiętam chłopca z Mochowic, Piotra Dulębę, który „na Kapkazie” za Mikołaja pierwszego dwadzieścia pięć lat wysługiwał, jak w dworskiej stodole miarowym głosem wylicza nazwy miesięcy - *Janwar, Fiewrał, Mart, Apriel*, - a wszyscy inni, opuściwszy na boisko cepy, z podziwem niezmiernym słuchają tej cudzej mowy. Wyraz sądowo-policyjny - *wzyskat*, czyli pobrać, a najściślej po polsku mówiąc, wyegzekwować, chłop świętokrzyski przerobił na swojskie a zrozumiałe, no, i narodowe - wyiskać. „Przyjechał wójt z pisarzem, strażnikami i wyiskały ze mnie ostatnie trzy ruble”. Kraina ta, daleka od świata, wskutek nadzwyczajnej pierwotności swych dróg, ocalała swe lasy nawet przed najbardziej ostrą i podcinającą w korzeniu, austriacką siekierą w czasie wojny ostatniej. Jak za czasów legendarnego królewicza Emeryka, który w borach pod Kielcami, spotkał świętego jelenia, - przepuszcza wonny, wiosenny wiatr, w przedwiośnie z południa lecący, poprzez splawy swych jodeł w łysogórskim paśmie, kołysze zimowe chmury i mgły w światach buków Łysicy - obyż na wieki! Jak dalece polską była i jest ta dziedzina, świadczą nazwy gór: Królewska, Książęca, Witosławska, Jeleniowska, albo Zamkowa, Chełm, Łysiec, Łysica, Miejska, Strawczana, Kamień, Radostowa, Bukowa, Klonowa, Stróżna, Józefka, Święta góra,

Wietrznia, Karczówka, Kadzielnia, Zgórsko, Ołowianka, Miedzianka, Kozi grzbiet, Miedziana Góra, Chełmce i t. d. Jak daleko sięgał las, głucha puszcza rozpostarta po garbatej ziemi między dolinami Pilicy i Wisły, - świadczą nazwy osad ludzkich, przypominające bór, jego dzieje i sprawy: Bieliny, Brzezinki, Brzezcie, Bukowiny, Cisów, Dąbrowa, Dębno, Gaj, (dziedzictwo niegdyś Wespazjana Kochowskiego), Garbacz, (filozofa Józefa Gołuchowskiego), Grabków, Jaworzno, Jeleniów, Klonów, Leszczyny, Łomno, Napieńków, Nowiny, Ociesęki, Podleszany, Porąbki, Psary, Siekierno, Śniatka, Strawczyn, Tarczek, Trzcianka, Wilków. Inne nazwy o brzmieniu dawnym wskazują swymi imioniskami na pierwotność małopolskich dziejów: Bodzentyn, Bogoria, Chęciny, Gnieździska, Iłża, Jachowa Wola, Kurozwęki, Lechów, Łągów, Małogoszcz, Oblegor i Oblegorek, Oleśnica, Piekoszów, Radoszyce, Radlin, Rytwiany, Słupia, Strawczyn i Strawczynek, Szczukowice, Świętomarza, Staszów, Szydłów, Zborów i inne.

Niektóre z tych miejscowości mają swe legendy dawności, jak Święty Krzyż, Tarczek, Świętomarza. Kościół w Tarczku miał powstać w roku 1067. Osada ta, należąca wraz z całkowitą



niemal ziemią świętokrzyską, z górami, puszcami i osadami do biskupów krakowskich, - położona wśród głębokich lasów, w zaraniu organizacji państwa posiadała dworzyszczę biskupie, gdzie ci potężni władcy, pośredniczący między ziemią a niebem, potracający nieraz dynastów krakowskich i rywalizujący z nimi skutecznie, aż do zegnania ze stolca władzy i wypędzenia w kraju, - zabawiali się w sposób ówczesny myślistwem, a mieszkali zbrojno, wspaniale i żyli hucznie. Sąsiadująca z Tarczkiem Świętomarza, której nazwa w wieku XV brzmiała Szwiantha Marza, czyli Święta Maria, posiada kościół na cześć Matki Boskiej, którą dawna *mowa* tutejsza zwała Świętą Marzą.

W samym pobliżu świętokrzyskiego trzonu wzniesień najwyższych, obok Łysicy i Łyśca, czyli Łysej góry, nazwiska wieśniaków mają brzmienia rodzime: Janic z Krajna (zdrajca spisku księdza Ściegienego), Marek, (chłop dowódca własnej jego partii powstańczej chłopskiej w roku 1863-im), Bozowski, Kołomański, Szafraniec, Cedro, Boś, Kozioł, Michta i Michcik, Kmieć i Kmiecik, Dulęba, Obara, Piątek, Radek, Łakomiec, Pulut, Zalesiak, Zagozda <sup>5)</sup> i t. d. Długie wsie, „kolonie”, o chatach dużych, niebielonych z zewnątrz, dachu gontowym, oknach szerokich, z podłogą, niekiedy u zamożniejszych włościan przybierające postać dworców z gankami (w Psarach), - wrąbały się w lasy biskupie, wtargnęły na same przełęcz gór i rozpostarły się na ich zboczach, zwłaszcza południowych, jak Bieliny, Porąbki, Krajno, Bęczków, Mochocice, Dąbrowa i wiele innych. Ludność w tych zdrowych, zaiste kuracyjnych, osiedlach żyje długo. „Pod sto lat” wieku to nie dziwota w tej stronie. Dwa klasztory na Łyścu u jednego krańca gór i u podnóża Łysicy, rozszerzyły tu sztukę czytania od dawna, a tak dalece, że za moskiewskiego panowania, gdy szkół nie było niemal wcale - (jedna szkołka w Psarach pod Bodzentynem na całe te góry)- wszyscy w kościele trzymali w ręku książki do nabożeństwa. U podnóża Łysej góry w Bielinach i Porąbkach zaprowadzone zostały przez mnichów benedyktyńskich najrzadsze i najpiękniejsze drzewa owocowe przy chatach. Kwitną tam również najpiękniejsze zapewne w Polsce dziewczęta i kobiety, o oczach połyskujących, jak u Włoszek, kruczych włosach i regularnych rysach.

Osady te siedzą na przedwiecznych popieliskach. Między wsiami Radlinem, Wolą Kopcową i Leszczynami znaleziono swego czasu w wydmie piaszczystej cmentarzysko, które badał i opisywał ks. Władysław Siarkowski.

W niektórych miejscach tej okolicy rozwinięte było od dawien dawna kopalnictwo rud, oraz działały fabryki swojskiego typu. Potężni biskupi krakowscy, władcy olbrzymich przestrzeni leśnych od Kielc niemal po Opatów, zaprowadzili w Bodzentynie rozmaite fabryki i sprowadzali specjalistów. Potężne figury, jak Bodzanta, Florian Jelitczyk Morski, Zbigniew Oleśnicki, Jan Radlica, Jakub Zadzik i inni szerzyli tutaj według zachcenia, dzieła kultury. Florian Morski sypał zamkami, w Mokrzku, w Bodzentynie, - jak wstęgi wysnuwał mury dokoła tego grodu, który miał wówczas fabryki luster, blachy i żelaza, posiadał bruk, wspaniały ratusz i potężną kolegiatę, pełną dzieł sztuki a dziś jest zapomnianą pełną błota, nędzną mieściną. Rozmaite miejsca w górach świętokrzyskich noszą nazwy Ruda, lub Huta, wskazując na istnienie swojskiego przemysłu. Za naszych czasów istniejące kopalnie marmuru w Chęcinach i fabryki żelaza w Suchedniowie, Białogonie i Sielpi zatrudniały i dawniej ludność okoliczną. Jeżeli do Bodzentyna sprowadzeni byli przez biskupich władców jacyś obcokrajowcy-specjaliści, to się spolszczyli i zostali na miejscu, wytwarzając ludność miejską zwaną przez okolicznych chłopów „gulonami”, lub „kaszkieciarzami”. Nazwiska tych gulonów, nieraz sławne, jak Szermentowski, albo, przeważnie, księżę, proboszczowskie: Matyskiewicz, Pałysie-

wicz, Zegadlewicz i t. p., nie wskazują na obce pochodzenie. Ludność ta, jak cała zresztą chłopska ludność tych gór, odznaczała się w ciągu panowania rosyjskiego żarliwym i gorącym patriotyzmem. Jednym z najwznioślejszych epizodów powstania sześćdziesiątego trzeciego roku była bohaterska obrona mieszczanina bodzentyńskiego Zegadlewicza we własnym domu i jego śmierć męczeńska w walce z Moskalami. W lasach tych żyje nieśmiertelna legenda tego powstania, gdyż tu głównie miało ono najpiękniejsze swe dzieje. Cały lud sprzyjał powstaniu. Nie byłoby w tak strasznych warunkach przetrwało, gdyby nie pomoc ludowa. Strój wieśniaków z okolic Suchedniowa jest właściwie dawnym strojem górniczym. Składa się z czapki, otoczonej aksamitnym kołnierzem ciemno-granatowego koloru z amarantową wypustką i wyobrażeniem dwu skrzyżowanych młotów nad daszkiem. Pewne wyrazy ze sztolni i szybów, oraz od pieców fabrycznych musiały wpłynąć na mowy mieszkańców wsi najbliższych, jak fryc (fryc), gruba (piec), szorc i t. d. Język dzisiejszych osiedzieli tych okolic, który można by nazwać gwarą świętokrzyską, różni się od mowy w krakowskim i sandomierskim, czyli od mowy powiślań i radomiaków. Przypominam sobie z czasów młodości, iż do przysiołka Mochocice sprowadził się był człowiek „obcy”, chłop z dala, spod samej Wiślicy. Kupił „kolonię” od jednego z posiadzieli i zamieszkał wśród wsi zgoła cudzej. Ów „Krakowiak”, jak go nazywano, chatę swą białą starannie z zewnątrz i wewnątrz, czego w tamtych stronach nikt nie robi, nasadził w ogródku od drogi moc kwiatków, orał inaczej, siał inaczej, inaczej się ubierał w białą sukmanę z chwaścikami i czapkę rogatą, na której widok jego sąsiedzi pękali ze śmiechu. Otóż „Krakowiaka, człowiek jak złoto, śpiewał przy żniwie takie same krakowiaki, jak tamtejsi poeci wioskowi, lecz po swojemu, odmiennie. Inaczej też nazywał niektóre rzeczy i sprawy. Stąd wnoszę, iż świętokrzyscy chłopi tamtych okolic (górskich) muszą być przychodniami z bliższych osiedzi, z samego świętokrzyskiego lasu, nie ze słonecznych dolin urodzajnego powiśla.

Nad całym tym krajem i nad dolnymi stronami - płaskowzgórzem sandomierskim, radomskim i zawiślem aż po Tarnów góruje klasztor niegdyś benedyktyński na Łyścu czyli Łysej górze, zbudowany na jakichś starych popieliskach przez Bolesława Kędzierzawego w wieku XII-ym. W latopisie wołyńskim znajduje się pierwsza wzmianka o tym miejscu - „W 1261 roku Buranda z Tatarami, gdy mu się Chełm nie poddał, odszedł do Lublina, a potem do Zawichosta. Zdobywszy Sandomierz... Tatarzy... poszli do grodu Łyśca, w lesie na górze, gdzie murowany kościół Świętej Trójcy i wzięli ten gród i wysiekli wszystkich od „mała do wielika”. W r. 1286 Leszek Czarny w przywileju dla tego miejsca zeznaje, iż „Kościół Świętej Trójcy zbudowali jego przodkowie”. Stąd widać, że klasztor przetrwał zniszczenie tatarskie i że go zmurował monarcha polski. Tym monarchą był Bolesław Kędzierzawy<sup>6</sup>). Lecz miejsce to otaczają wieńcem stu-barwne odwieczne legendy. Jedną z nich można czytać na tablicy marmurowej, wprawionej w ścianę kościelną w roku 1806. Głosi ona: „Kościół na Łysej górze z nastaniem wiary do Polski. R. P. 966 przez Mieczysława i Dąbrówkę małżonków, pierwszych polskich chrześcijańskich monarchów, na miejscu osławionej bałwochwalni trzech bożyszcz ku czci Trójcy Przenajświętszej został wzniesiony, aby gdzie dla potrójnego biesa Świst, Poświst i Pogoda bluźniono, tam wieczyście Bóg trójjedyny. Ojciec, Syn i Duch Święty chwałę bezustanną odbierał. Naprzód z Dąbrówką przybyłych sześciu Benedyktynów otrzymało tu fundacje. Później w R. P. 1006 Bolesław Chrobry, poprzednich władców syn, a pierwszy król Polski, powiększył kościół, klasztor i uposażenie, gdy zaś pierwsi zakonnicy męczeństwo ponieśli, innych dwunastu Benedyktynów z Cassino sprowadził. Święty Emeryk,

syn świętego Stefana, węgierskiego króla, za wolą bożą a rozkazaniem anielskim, drzewo żywota, Krzyż, krwią Chrystusową skropiony, temu miejscu darował”...

Przyczynia się do szerzenia legendy Długosz, pisząc: „Dla zapelnienia klasztoru nowej fundacji udał się król Bolesław (Chrobry) przez umyślnych posłów do opata góry Kassynu, i przysłanych stamtąd dwunastu braci, pochodzeniem i językiem Włochów, z łaskawością przyjąwszy, w klasztorze łysogórskim osadził. Od owego czasu, aż prawie do naszego wieku, na zastąpienie ubywających, nowi bracia na Łysą Górę do Polski z Góry Kassynu przybywali, nim wreszcie zarzucono stary zwyczaj, a Polacy zaczęli wstępować do klasztoru i nim rządzić”, Długosz tedy poczytywał kościół na Łyścu za dzieło Bolesława Chrobrego i nadmieniał, że kościół był niewysoki, gruby, sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Żywa legenda utrzymuje, iż z Węgier, przez księcia Emeryka, przyniesiony został Krzyż Święty. Oprawa pięciu ułamków drzewa świętego była z kształtu niełacińska. Był to krzyż podwójny. Struktura dawnego kościoła bizantyńska, a podobno i ubranie przy mszy długo przez mnichów używane, nie łacińskie, lecz wschodnie - gmatwają sprawę. Istnieją przypuszczenia, iż pierwotnie na Łysej górze osiedlili się Benedyktyni sazawscy, czyli słowiańscy, a do nich Bolesław Krzywousty sprowadził Benedyktynów łacińskiego obrządku. Istnieli wówczas Eremita w sąsiednim Opatowie - Żmigrodzie<sup>7</sup>). Jeden z mnichów łysogórskich zapisał podanie, iż pierwsi zakonnicy świętokrzyscy mieszkali w pustelniach i na wzór pustelników żyli, że ponosili prześladowania od kapłanów pogańskich, wybiegali wszelako do miast i wsi na opowiadanie wiary świętej. Jacy to byli „kapłani pogańscy” i do jakich „miast” wybiegali pustelnicy łysogórscy? Nie było w okolicy miast, a pewnie i „kapłanów pogańskich”, gdyż sama religia pogańska wydaje się mocno wątpliwą, lecz musieli być wróże, guślarze, znachory, (znachor == *noscibilis, nobilis*), gdyż ci przetrwali aż do chwili dzisiejszej. Sam widziałem wróża ze wsi Bęczkowa, który odczytał uroki i uzdrawiał chorych, posługując się rzucaniem na wodę rozżarzonych węgielków, zamawianiem chorób i t. p. Wdrożenie chrześcijaństwa musiało się dokonać bez trudu i protestu, tak jak to przedstawia Ks. Kamil Kantak w swoich „Dziejach Kościoła Polskiego:” „Ze zdziwieniem i z niedowierzaniem lud patrzył na nabożeństwa nowe, równie niezrozumiałe, jak dawne pogańskie. Nowe kościoły kamienne stały, jakich nie mieli dawni bogowie. W nich odprawiali jakieś nabożeństwa i modlitwy nowi kapłani obcy, przybrani w paradne szaty, wspanialsze od stroju dawnych. Onieśmielony lud patrzył na to, co się działo wewnątrz owych murów, pod dachem, który taką przesadną obawą przejmuje człowieka pierwotnego. Widział dokoła siebie jakieś potężne czary. Nowy Bóg, widać, mocniejszy był od dawnych bogów. Sam książe pokłonił się nowemu Bogu. A przed majestatem, jaki rozwijał najwyższy kapłan tego nowego Boga, sam książe jakoby w cień ustępował. Ci kapłani obcy znali przeróżne czary: „tajemniczą sztukę czytania i pisania”. Cóż dopiero mówić o przepychu i wspaniałości władców, którzy zjeżdżali w leśne strony, o których mowa, zbrojno i hucznie, a w swym dworzyszczu w Tarczku polowali i hulali na wzór Pawła z Przemankowa i Gamrata! Osadnicy leśni, poddani biskupów krakowskich z Woli Jachowej, Radlina, Krajna Górna, Napieńkowa, Psar, Leszczyn i tak dalej - byli posłuszni na każde skinienie. Przywilej Leszka, księcia krakowskiego, sandomierskiego i sieradzkiego, z dnia 26 lutego 1286 roku za opactwa mnicha Racibora bierze wszystkich członków zgromadzenia (*familiam*) i konwersów, czyli nie braci, lecz w zakonnej odzieży zostających w klasztorze, pod szczególną monarszą opiekę... Według świadectwa Krzysztofa Warszawskiego, które ze znacznie późniejszych pochodzi czasów, przy kościele świętokrzyskim osia-

dali pustelnicy, prowadzący życie ostre, wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta od pokarmów mięsnych, nie łatwo przyjmujący, i to czasem, jałmużnę.

W roku 1490 opat klasztoru Łysogórskiego Maciej z Pyzdr, mistrz nauk wyzwolonych i filozofii, - „dom emerytów, czyli osobny klasztor św. Katarzyny, wraz z kościołem darował Bernardynom z obowiązkiem, aby w większe uroczystości przybywali do św. Krzyża dla słuchania spowiedzi. Takie jest podanie Szepińskiego”<sup>8)</sup>.

Jakichże to „emerytów” dom, czy nawet osobny klasztor, mógłby istnieć u św. Katarzyny „Był to dom, czyli osobny klasztor „eremitów”, o których mówił Krzysztof Warszawicki i inni. Unikając życia, dość zgiełkowego, które się wytwarzać zaczęło wokół klasztoru świętego Krzyża, eremici, czyli ludzie poszukujący dla siebie „życia ostrego”, uchodzili w coraz głębszą puszcę, poza najwyższą z gór, Łysicę. Dolina, która od stóp Łysicy rozciąga się aż do Zagnańska, a leży między górami - Łysicą, Strawczaną, Bukową i Klonową z jednej strony, a Kamieniem kraińskim, Radostową i Kamieniem mochockim z drugiej, zamknięta ze wszech stron, przetrnięta wodami Czarnej Nidy, co ze źródła świętego Franciszka na Łysicy wypływa, a bierze w siebie strumienie ze wszystkich gór okolicznych i, wyłamawszy ujście dla siebie między górami Radostową i Kamieniem mochockim, uchodzi ku Leszczynom - była wówczas pokryta jednostajnym głuchym borem, rosnącym na „gozdach”, mokradłach i smugach. Za mego dzieciństwa ta dolina, najściślej moja ojczyzna, pokryta była śladami dopiero co wytrzebionego lasu, wykarczowanych „odpadków” leśnych, albo pniakami po lesie niedawno wyrąbanym. Opowieść ludzka mówiła o starych borach, które okrywały sobą całą tę przestrzeń, jako o widowisku niedawnym. W wieku XV i dawniej, dolina ta była dziedkiem, jednolicie leśnym, posępnym, zimnym, mokrym pustkowiem. Środek jej zajmowało uroczysko, zwane Wilków, dalej Ciekoty, Międzyrzecze. W pobliżu jedynej drogi, prowadzącej ze świata do dziedzin biskupich w Bodzentynie i Tarczku, była jakowaś osada Wzorki, świadcząca o pierwszej próbie worywania się w puszcę. Droga, którą można by nazwać biskupią, prowadziła ze stolicy tych stron i stolicy możnych arcykapłanów krakowskich, - z Kielc na ich dworzec myśliwski - Wolę Kopcową, przebywała rzekę Czarną Nidę w bród w miejscowości Cedzyna, i szła na Leszczyny, obok odosobnionej góry, wysuniętej na południe z Łysogórskiego pasma, a noszącej nazwę Stróżna, do Krajna, rozległej wsi biskupiej. Tu teren gwałtownie podnosił się w górę, a droga wdzierając się na przełęcz górską pod Łysicą, zniżając się ku owym Wzorkom i wilgotną doliną między górami Strawczaną a Łysicą zmierzała do Bodzentyna. Ażeby dziś przebyć tę drogę, trzeba być przyzwyczajonym do dróg polskich, mieć zdrowe kości i nerwy, gdyż i dziś na niej źle osadzone w zębach plomby wylatują. Za czasów biskupa Lamberta, który z królewiczem Emerykiem miał nieść z Kielc drzewo Krzyża Świętego na Łysiec, był to, zapewne, korzenisty i pełen wybojów szlak wśród puszczy. W miejscu, gdzie dziś stoi klasztor świętej Katarzyny, drogi rozwidlają się: jedna dąży w stronę Bodzentyna, a ślad drugiej wdziera się na samą górę Łysicę. I dziś jeszcze można rozpoznać w lesie kierunek drogi, idącej w zakosy ku szczytowi góry, a później jej grzbietem aż do świętego Krzyża na Łyscu. W tym rozwidleniu dróg od niepamiętnych czasów stał jakiś dom dla pielgrzymów<sup>9)</sup> oraz kaplica. Tutaj także musieli się przytulić eremici świętokrzyscy. Wyraz „emeryci” w podaniu mnicha Bonifacego Szepińskiego jest najwyraźniejszym błędem przepisywacza. Nie mogło być „emerytów” w klasztorze świętokrzyskim, gdzie w wieku XIV było wszystkiego dziesięciu zakonników, a najwyższy ich zastęp dosięgał w wieku XV do liczby dwudziestu. Darowizna Macieja z Pyzdr mówi o domu i kościele.

Istniał więc tutaj w końcu piętnastego wieku niewielki kościół i klasztor. W miejscu tak dziwnym i narażonym na napady „zbójów świętokrzyskich” eremici byli w każdej chwili gotowi na śmierć, to też za patronkę swą obrali męczennicę aleksandryjską, świętą Katarzynę, z trzeciego wieku po Chrystusie, którą cesarz Maksencjusz kazał zamordować kołem, najeżonym nożami, a gdy to koło samo się rozprysło, mieczem ściąć kazał. Że miejsce to, jako siedlisko pustelników, od najdawniejszego czasu miało kult dla świętej Katarzyny, świadczy utrzymanie nazwy całej okolicy przez Bernardynów, gdy im kościół i klasztor подарowano. Inna wersja, podana przez Łętowskiego, zaznacza, iż pustelnię u św. Katarzyny pod Bodzentynem założył Wacław Polak. Jest to potwierdzenie wiadomości, iż pustelnia w tym miejscu istniała od dawien dawna i nosiła miano świętej Katarzyny. Po przybyciu do Polski Jana Kapistrana, ucznia i przyjaciela św. Bernardyna Seneńskiego, po rozszerzeniu się niezwykle kultu religijnego zwłaszcza w kierunku zakonnym, biskup krakowski Jan Rzeszowski, właściciel Łysicy i lasów tej części kraju, „zmurował kościół u świętej Katarzyny i oddał go Bernardynom, którzy wystawili sobie klasztor, a drogę od siebie na Łysą górę wyrąbali. Opat Maciej z całym zakonem bernardyńskim zawiązał filadelfię, czyli uczestnictwo zasług duchownych<sup>10</sup>). Wywód o dawności pustelni świętej Katarzyny pod Łysicą i łączności z klasztorem świętego Krzyża na Łyścu wydawał mi się koniecznym ze względu na „Kazania świętokrzyskie” znalezione w bibliotece petersburskiej przez prof. dra Aleksandra Brücknera. W obszernym objaśnieniu tekstu tych kazań uczony badacz z ostrożnością zaznacza: „Rysów jakichkolwiek, malujących społeczeństwo, w którym się obraca autor kazań nie przytacza: lakoniczności jego tekstu, pisanego nie odpowiadałyby wycieczki i docinki, jakie w kazaniach gnieźnieńskich znajdujemy, Nie umiem też nic powiedzieć o osobie, - może to był ksiądz świecki, bo nic na mnicha nie wskazuje, - ani o miejscu, w którym przepowiadał (!) słowo boże<sup>11</sup>).

Ks. Józef Gacki w swej książce o klasztorze łysogórskim pisze o ubytkach z biblioteki tego zgromadzenia: „Pierwszy Załuski, co tylko mogło być rzadszego, sobie przywłaszczył. Rękopiśmienna kronika klasztoru św. Krzyża z XIII wieku przeszła między innymi w jego posiadanie. Czacki przy pomocy Gołębiowskiego i Juszyńskiego, a Ossoliński za sprawą Lindego potworzyli znakomite zbiory z bibliotek, mianowicie klasztornych”. Prof. Aleksander Brückner zaznacza w przedmowie do tekstu kazań w „Pracach filologicznych”: Z bogatej biblioteki klasztoru Piastowskiego przeniesiono rękopisy do biblioteki uniwersytetu warszawskiego, a stąd przewieziono je po roku 1831 do Petersburga. W roku 1831 skatalogował ten rękopis, jak wszystkie inne uniwersytetu warszawskiego, Ł. Gołębiowski”. Rękopis, w którym znalezione zostały kazania, nosił tytuł „*Codices latini theologici*”. Na paskach pergaminowych, podkładanych we środku każdego z papierowych zeszytów tego kodeksu pod sznurki, by ten papier nie nadwerężył, prof. A. Brückner spostrzegł wyrazy polskie, pisane niezwykle ortografią. Wyjęto osiemnaście owych pasków, z których trzynaście tworzy jedną kartę podwójną, a pozostałe pięć dolną połowę drugiej karty podwójnej. Jedna ze stron pergaminowych kodeksu zawiera notatkę historyczną o wybudowaniu w roku 1411 w kościele świętokrzyskim ołtarza przez opata Michała. Nie rzemieślnik w mieście opracował ów kodeks - (w wieku XV<sup>12</sup>) - lecz braciszek zakonny, więc w klasztorze świętokrzyskim ową kartę pocięto na paski. Pierwszy raz biblioteka świętokrzyska spalona została przez Tatarów w roku 1260. Drugi raz spłonęła wraz z całym klasztorom w roku 1459.

Jeżeli zapiska, położona na końcu kodeksu „*Codices latini theologici*”, pochodzi z roku 1411 - „*Sub anno domini 1411 ecclesia antiqua s. Crucis dicta lissecz est reconciliata etc.* - zna-

czyłoby to, że kodeks ów ocalał z pożaru 1453 roku. Jeżeli kodeks pochodzi z czasów późniejszych, to sama karta pocięta na paski mogła ocaleć. Stanowiła ona przecież rodzaj konpektu dłuższych przemówień, kaznodzieje mieli ją w ręku, przy sobie. Mogła nie być wcale w bibliotece i dopiero później tam się dostała, a jako wzór kazań przestarzałym pisany językiem, mogła się wydać, jako strzępek nieużyteczny, zasługujący tylko na to, ażeby być materiałem osłaniającym sznurki oprawy.

Prof. A. Brückner przypuszcza, iż autorem kazań nie był mnich, „bo nic na mnicha nie wskazuje”. Tymczasem benedyktyni łysogórcy trudnili się właśnie kaznodziejstwem. „Kiedy coraz liczniejsze zebrań pielgrzymów do relikwii Krzyża św. przybywały na Łysą Górę, wtedy benedyktyni tutejsi pracę ręczną zamienili na pracę duchowną, na przemawianie do ludu, na służenie mu św. Sakramentami. Co dzisiaj wierni pozyskują w Częstochowie, - takichże posług- religijnych doznawali tu niegdyś na Łysej Górze<sup>13</sup>). Zgromadzenia ludu były tak wielkie, zwłaszcza na Zielone Świątki, iż król Kazimierz w r. 1468 wydaje specjalny przywilej na prośbę opata świętokrzyskiego Michała, ażeby jarmark doroczny przenieść do Słupi, gdyż tam (na Łysej górze) „co rok na Zielone Świątki bez przywileju i ze zwyczaju zbierało się mnóstwo obojga płci ludu, że trąby, bębny, piszczałki i inna wrzała muzyka, że tańce i krotchwilne odbywały się igrzyska, a obok tego zdarzały się mnogie kradzieże, zabójstwa łotrostwa i rozpusta, co nieraz dziennemu i nocnemu nabożeństwu wiele przeszkadzało<sup>14</sup>). Prof. A. Brückner i prof. Jan Łoś uznają, iż „Kazania świętokrzyskie muszą być dziełem wieku XIII i mogą być odniesione do drugiej jego połowy<sup>15</sup>). Łacniej można przypuścić, iż te utwory powstały w klasztorze benedyktyńskim, który utrzymywał stosunki z kongregacją w Tyńcu i Sieciechowie, a przez tamte ze światem zachodnim, niż na ówczesnym polskim probostwie. Prędzej „Złota legenda”, która w tym samym właśnie czasie (1255 roku) powstała i była przepisywana powszechnie, mogła dojść do rąk benedyktyna na Łyścu, niż do rąk parocha na odludziu. Jakub de Voragine był wprawdzie nie benedyktyńskim, lecz dominikaninem, ale jego dzieła zarówno „Dzieje Lombardzkie”, jak „Zbiór Kazań” zażywały takiej wziętości i sławy, iż mogły być wzorem dla benedyktyńskiego autora na Łyścu.

Zachowały się następujące kazania: O aniołach w dzień świętego Michała (koniec), o świętej Katarzynie (całe), o świętym Mikołaju (początek). Na Boże Narodzenie (koniec), Na Trzy króle (początek i koniec bez środka), Na Gromniczną (początek). Dziwnym zrządzeniem losu zachowało się kazanie o świętej Katarzynie w całości, to właśnie, o którym można by przypuścić, iż było napisane dla eremitów pustelni Świętej Katarzyny i tamże, zwłaszcza 25 Listopada w dniu św. Katarzyny wygłaszane w pierwotnym, pustelnicznym kościółku. Kult świętej Katarzyny musiał być żywy wśród benedyktynów łysogórskich, skoro tak dalece rozszerzył się wśród ludu okolicznego i skoro tę nazwę nadali pustelni, zaludnionej przez swych eremitów, z którymi ciągle i żywe utrzymywali stosunki. Oto całkowite brzmienie kazania, które być może rozlegało się w XIII-ym wieku między jodłami pustelni pod Łysicą:

„*Surge, prospera, amica mea et veni.* (Cant. 2. 10). Te słowa pisze mądry Salomon, a są słowa syna bożego tę to świętą dziewicę Katarzynę w sławę królestwa niebieskiego wabiącego. Wstań, prawi, pospiesz się, milutka moja i pojdzi. I zmówił syn boży słowa wielmi znamienita, jimż każdą duszę zbożną pobudza, ponęca i powabia. Pobudza, rzeka: wstań; (ponęca), rzeką tako: pospiesz się; powabia, rzeka; i pojdzi. I (mówi tako): Wstań, otbądź prawi stadła grzesznego, pospiesz się w (lepsze z dobrego), pojdzi tamo do królestwa niebieskiego. I (mówi): wstań, ale w świętem pisani czterakim ludziem pobudzają je, m(owi Bóg) wszechmo-

gący: wstań, pokazuję iż są grzesznicy czteroracy. Bo mówi to słowo (Bóg) albo siedzącym, albo śpiącym, albo leżącym, albo um(arłym). Siedzący są, już się k dobremu obleniają; leżący są, już się w grzesie Kochają; śpiący są, już się w grzesach zapiekają; umarli są, już w miłości bożej rozpaczają. A tym wszem tento bóg miłościwy mówi rzeka: wstań. I mówi pirzwej siedzącym: wstań, już się k dobremu obleniają czteradla, iż na będące dobro nie gładają, iż wrzemiennem dobrze lubują, iż czego jim dojć niepamiętają, iż o sobie ni jedne piecze nie imają, a tego dla..... iżeć k dobremu wstać się obleniają przeto przez (ślepego) dobrze się znamionają, o jemże pisze święty Łukasz *Coecus sedebat* i ślepy, bo na będące dobro nie gładął; siedziesze, bo w dob(rze wrzemiennem lubił); podle drogi, bo czego jemu było dojć nie pamiętał, (ubogi), bo nicz dobrego nie imiał. A przeto i święta Katerzyna (czujnego?) samnienia była, ku głosu syna bożego wstać (skora?) była. A wtore mówi bog miłościwy leżącym, już się we złem Kochają. A tacy dobrze są przez inego niemocnego paralytyka trudną niemocą urażonego znamionami, O jemże pisze święty Łukasz: *Offerebant ei miserum paralyticum iacentem in lecto...* Czo nam przez tego niemocnego na łoży leżącego znamiona? Zawierne nicz inego, kromie człowieka grzesznego we złych skutcech prześpiwającego, jenże nie pamiętają dobra wieku jego objązał się tomu, czoż iest wrzemiennego, leniw iest ku wstaniu czynić każdego skutka dobrego, *qui propter momentancum (non ti) met aeternum supplicium... quo cruciatur*. Święta Katerzyna nie mieszkaci jest stała, we złem nie leżała, asi i ty (?) (jż są) w błędnem stadle leżeli, ty jest swoją nauką otwożiła, jakoż się czcie w je świętym żywocie... (Karta b verso) A trzecie toto słowo wstań mówi bog śpiącym, już się w grzesach zapiekają. Bo grzesznik w grzesach zapiekłony jest jako kłodnik w ciemnicy skowany... (A czwarte) mówi bog wstań umarłym, już w mi(łości bożej) rozpaczają... *Surge* stała grzesznego, *propera*, w lepsze z dobrego *ac veni* do królestwa niebieskiego Amen<sup>16</sup>). Język tego kazania jest jeszcze jednym dowodem, iż mogło ono powstać w benedyktyńskim klasztorze. Nie jest to język ludowy. Mnisi klasztorów benedyktyńskich w Polsce nie pochodzili z ludu. „Bulla dla Tyńca r. 1229 pozwałała przyjmować do benedyktynów tylko wolnych lub wyzwolonych, zależni zatem w jaki-bądź sposób od panów ludzie w zakonie miejsca nie mieli. Mało więc z krajowców mogło do zakonu wstępować<sup>17</sup>). Nieliczni krajowcy, ludzie „urodzeni”, a więc światlejsi, „nobiles” w najlepszym znaczeniu tego wyrazu, byli zakonnikami na Łysej górze. Że byli to w głównej mierze Polacy, świadczą imiona opatów łysogórskich - około roku 1260 - Stanisław, 1286 - Racibor, 1327 - Strzesko, 1351 - Świętosław, 1372 - Minogniew, 1393 - Sandko i t. d.

Prof. A. Brückner w komentarzu do wydania kazań świętokrzyskich zaznacza, że „Psałterz Floriański, pomnik małopolski, krakowski powstał w dziedzinie odmiennej tradycji ortograficznej i nieco odmiennej gwary. Wobec tego pozostaje do porównania pomnik wielkopolski, kazania gnieźnieńskie; między nim a świętokrzyskim istnieje związek niezaprzeczony, wyrażający się tę samą tradycją ortograficzną i tę samą niemal gwarą...”

Ten tak dawny zabytek jest tedy dowodem istnienia owego języka królewskiego, pańskiego, obozowego, który płynąc, jak rzeka po kraju, trafiał oto nareszcie do ucha słuchacza z ludu. Jeżeliby prawdą było, że kazanie o świętej *Katerzynie* mogło być wygłaszane w klasztorze, noszącym imię tej świętej u podnóża Łysicy, dla słuchaczy ze wsi Święta Katarzyna, Wzoraki, Krajno i Wilków (o ile ostatni już wówczas istniał), - to nasuwa się pytanie, jaki też był skutek przemówień, - co słuchacze rozumieli z egzorty? Jak dalece różniła się mowa chłopska od mowy kaznodziei? Kazania świętokrzyskie mają formy nieznanne naszemu „literackie-

mu” językowi: - włodanie, włodyczstwo, imają i imał, wie-liku, połający zamiast pałający, sąmnienie, pirzwej, odzierzeli, sirce, miłosirdnyj, cyrckiew, czworo, czworaki, tegdy, kiegd-y, fala i falić w znaczeniu - chwalić, dziańsia zamiast dzisiaj, nieustawiczstwo, bogaćstwo, świadcęstwo, człowieczstwo, Nikołaj, królewać i królewanie, w grzese i w grzeszech, na stol-cy, na morzy, na łoży, w pisani, wabieni, czakani, narodzeni, czynieni, w skutcech, w królech, na trojakiem mieście w znaczeniu - na trojakiem miejscu, boga miła, nabożnym modlenim, słowa wielmi znamienita, ta ista słowa, w nasza sirca, togo i tomu, ty to króle, w kakie wrze-mię, kilko w znaczeniu starosłowiańskiego koliko, pod obrazem trzy męży, albo - trzech kró-lew, za trzynadzieście dni, czworo i czworaki, wstani, dowiedzi, pojdzi, pobudzają je mówi bog, nie pamiętają, kając idziechą, usłyszew to król Ezechiasz, biesze i siedzesze poczechą i idziechą, pospieszychą się, zapłakachą, wzdachą, przysiągł jeśm, jeście wzdawali, bychom pokutę czynili, iżbychom w jego miłości nierozpaczyli, żadać się, żadał się przyjąć - w zna-czeniu wzdragał się przyjąć, - podle, kromie, tamo, kamo, słowa zmowiona oćcem świętym, dziewicą porodzonego, otbądź stadła grzesznego, iżby grzecha ostał, sto tysięcy ośmdziesiąt tysięcy, i pięć tysięcy czyli sto ośmdziesiąt tysięcy, wrze-mię, kłodnik w ciemnicy skowany, lichota w znaczeniu biedy, tajnica czyli misterium, tajemnice apokalipsis, pod obrazem ba-rańca śmirnego i t. d. Czy w dzisiejszej gwarze wsi Krajna, Wzorków, Święta Katarzyna, Wilkowa, których ludność do tegoż kościoła stale uczęszcza, nie została którakolwiek z tych dawnych form mowy? Mam tę gwarę w uchu z dzieciństwa i młodości, jest to moja mowa, która każdą myśl i czucie osnuwa sobą, lecz dawno żywo brzmiącej nie słyszałem, to też nie mógłbym dać odpowiedzi. Muszę się posługiwać słownictwem pilnego zbieracza mowy, oby-czajów, pieśni podań i wierzeń kieleckich, ks. Władysława Siarkowskiego.<sup>18)</sup> W mowie ludo-wej tamtejszej ten zbieracz notuje takie wyrażenia, jak - „ty koni jesce ze stajnie nie wysły, - ty co nocowały wyjechały ju”, analogicznie do „ty to króle” z „Kazań Świętokrzyskich”. For-my stare w mowie ludowej, jak: „wołałemzem ciebie, aby przysedeś do domu, wywałkowa-łamzem” - profesor Lucjan Malinowski tłumaczy, jako starą formę, złożoną z imiesłowu wołał, ze słowa posiłkowego jeśm, do którego dodano po raz drugi jeśm. Jest to więc w lu-dowej wymowie podane: wołał jeśm że jeśm. Używanie czasu zaprzeszłego: „poszed tatuś beł wczora z nam, - liczby podwójnej - wa, naju, waju, nama, wama - „żeby wa nie znalazła, dla waju, z wama. Starymi zdają mi się być takie wyrażenia, jak - nikiedy w znaczeniu nigdy, - dowolnie w znaczeniu dostatecznie, - lichey w znaczeniu słaby, biedny (lichota - bieda w Ka-zaniach), barsy - gorszy, - białogłowa, - okrzyk potwierdzający biedyć-ta! (bie-dyć-tak!), blu-zieństwo - bluźnierstwo, - bojazyć - panoszyć się, - buić == bujnie rosnać, - burzawa === zawierucha, - chachoły = okrycie pasterskie ze słomy przed deszczem, - okrzyk, wyrażający pragnienie - o, gdybyż! zaprawdę! - który brzmi w tamtej okolicy - duskus! - w mowie staro-pańskiej duszkoż! - godzić == czyhać, gryzisko == cierpienie wewnętrzne, - grzalas == ko-ślawiec, - ineli == równy, - kady? == gdzie? (Kady moje pieniądze? - kneie == doły po dro-gach, napelnione wodą, - krasiuwo === omasta, - lachy == gąszcze, zarosłe leszczyną, - luto-wać == mieć miłosierdzie, - miąz == odwilż, - neta! == macie! - okez! - o kęs (Markotno mi, okez mi serce nie pęknie!) - orzesotka== żoła, - ozegle, ozydle = kołnierz koszuli pod szyją (gzło, ogzle, ozgle), - pałaki == niziny zarosłe trawą między gruntami zboża, - pasieka == płot pleclak z jałowca, - pecyna == bryła ziemi, - pociosek = kij do wygarniania ognia z pie-ca, kilkoletnie drzewko świerkowe lub jałowcowe, które leży na ziemi po ciosie siekierką, - połanek == część ziemi między miedzami, - poskuta === posługa, - pożywiol == żywność, -



przełoń = ścieżka między krzewami - przegorzać się == swarzyć się, kłócić się, - przyłóg = ugór, - rzedlica == miejsce na źródło, trzęsawisko, - rzydłina == na polach zboża zalewiska wiosenne, - ścibło = źdźbło, - seremno == smutno, trwożno (Szedłem koło smętarza w nocy i zrobiło mi się seremno), sieroga = małe chmurki, rozwleczone nad ziemią) - skiełki = plotki, bajki, - škumo == rzekomo, rzkomo<sup>19</sup>). (Zalecali mi się škumo na ogólach. Przyjeżdżali do mnie we zgrzebnych kosulach), - spława = wierzchołek drzewa, - spławina == gałęzie drzew do ogacenia chaty, - sumce == kłocę drzewa do budowy, - widma, albo wydma (nie wiedźma!) == czarownica, nierządnicą, - wybiegać == rosnąć bujnie, - wyniki = mokradła na łąkach, - wyrzut == przypadek w drodze, - wyscernik == prześmiewca, - zagadzić == wściec się (Pies zagdzony, czyli wściekły), - zdanie == spryt, talent, zdolność, - zmacha == olbrzym, zwiernica == gwiazda wieczorna.

Przytoczyłem tutaj nieco luźnych wyrazów ze słowniczka mowy świętokrzyskiej, zebranego przez ks. Władysława Siarkowskiego, który to słowniczek jest małą i ułamkową częścią bogatej mowy tamtejszej. Sam pamiętam żywe wyrazy, zasłyszane z ust ludu, których nie ma w spisie ks. Siarkowskiego, jak - pławina czyli pęd, latorośl kaliny, albo akacji, osypana młodziutkimi listkami i pławiąca się w wiosennym powietrzu, - spławy - wielkie gałęzie jodłowe grube, obwieszane mnóstwem igieł, - śniat (źródło nazwy wsi Śniatka) - wielki pień bukowy, - sarn == rodzaj męski od sarna, - wciórnaści, wciórnaści == wszystkim i wszyscy, używane w przekleństwach w połączeniu z diabłami, - i t. d. Widać, iż niektóre ze starych wyrazów spłynęły z mowy pańskiej, miejskiej, w danej okolicy —kieleckiej. „Duskus, okez, škumo” - to poobtrącane i obdarte resztki górnej mowy. Lecz jakże przeolbrzymie mnóstwo wyrazów powstało w tej gwarze z szumów, szelestów, łoskotów, wrzasków i ryków, zasłyszanych w przyrodzie, - ile wyskoczyło z gorąca pracy, z potu wysiłków! Ile oddaje własnym swym sposobem wewnętrzne męki, troski duszy! Większość wyrazów i określeń tego żywego języka powstała w drodze onomatopei nieświadomej. Armacyć, arkotać == naradzać się tłumnie, - beceć, bełkotać, biegnąć do wyryptu == biec co tchu, - chamrać, pochamrać == poszarpać, - chlać == pić, - chlustać, - chłopotać == dokuczać, - ćkać = żreć, - ciorać == walać, - cmędzić == myśleć o czymś dokuczliwym, - głębościć == niepokoić się, - kurzac = węglarz, - lgi == przyrząd drewniany na sanie do podtrzymania drzewa, - łupnąć == uderzyć, == obdziabać == obdrzeć, obciosać drzewo, - obryknąć == złajać, - ochalacić == obciąć brzozę z gałęzi, - omuskać = obielić dom, obsiepać == spaść zboże w polu, - perkać, perkotać == warzyć kaszę, - piokać = dychać, - poterpać == poszarpać, - rudawina == plwocina suchotnicza, - szczyk == pierwsza trawa na wiosnę, którą bydło szczypie, - trzunąć == ruszyć tłumnie z miejsca, - ukrzyć == oderwać, - upsnąć się == wysłiznąć się, - włoscyna == łupina zewnętrzna na orzechu laskowym, - wytrzesc == ciekawski, - zaskrzyć == dokuczyć, - ziugać = wpadać, (koła ziugają z drogi rozmięklej do rowu) - i t. d.

Weźmy najpierwotniejszy i najzwyczajniejszy przedmiot: kamień. Mieszczanin, patrząc na swój „bruk”, tworzy wyraz - „brukowiec”, zupełnie wieśniakowi nieznaną. Oprócz tego zna nazwy takie, jak kamień, gład, cios. Góral zakopiański ma kilkanaście nazw na najrozmaitsze formy, rodzaje i kształty kamienia: wanta, krzesanica, skalina, skole, piarg, skrzyżal, żabica, kamiusek i t. d. Chłop świętokrzyski najrozmaiciej określa rzuty kamieniem: cisnąć spod ręki, żeby furczał, warczał w powietrzu - to frygać, - odrzucić z drogi między chwasty i pokrzywy, gdy wydaje jakby syk tych roślin, - to sygać, - rzucać z ramienia w drzewo, w mur, - to rypać - bić z całej siły w nieprzyjaciela - to prać, - odrzucić wielki gład w wodę, czy w dół, - to

buchnąć, - nagłym ciosem zdzielić - to trzepnąć i t. d. Gwara ta ma wielorakie nazwy nie tylko na wyrażenie czynności fizycznych, metafory wyskakujące z pracy, jak iskry z żelaza rozpalonego i leżącego na kowadle pod młotem, — onomatopeje tak nieraz lotne, przejrzyste i wonne, jak same zjawiska przyrody, ma ona również nazwy swe własne dla określenia stanów duszy, zwłaszcza cierpień wewnętrznych, chłopskich stanów cierpliwego trwania, czekania, przewlekłych a bezradnych smutków, na których wyrażenie język warstw górnych nazwy niema wcale. Niektóre pieśni tamtejsze zawierają w sobie wspomnienia histo

Jedwabną wstążeczką,

Nie płac, moja, nie płac,

Bedzies kochanecką”.

Miłosne:

„Kary konik, kary,

Siodelecko niesie,

Cekaj mie, Marysiu,

W kalinowym lesie.

Potocę, potocę

Jabko po paproci,

Niech ze ja się doznam

Marysi dobroci.

Cy ja carowany,

Cy kóniki moje?

Nie mogę przejechać

Bez brzezińskie pole”...

Ks. W. Siarkowski oświadcza w swej pracy o czarach i guślach, o zażegnaniach i modlitwach, iż strony kieleckie, zwłaszcza w okolicach gór świętokrzyskich „uważać można za główną dziedzinę guseł i zabobonów, wiernie po dziś dzień z czasów pogańskich przechowywanych” „Czarownice<sup>20</sup>), - zaznacza, - dzielą się na dwa rodzaje, jedne, które od samego diabła wyuczyły się czarów; drugie zaś od czarownic, mistrzyń w swoim rzemiośle. Ma się rozumieć, że w zebraniach czarownic uczennica czartowska, a zwłaszcza taka, co szereg lat spędziła na wyprawianiu gracko ludziom psikusów, ma większe poważanie i znaczenie, niż inne jej koleżanki. Jej to przed innymi przynależy się pierwszeństwo na bankietach, czyli gołdach diabelskich, odprowadzanych na każdym nowiu księżycy w ogrodzie zaczarowanym na szczycie Łysicy. Do niej też z odległych stron gromadzą się inne adeptki, by otrzymać zioła, które li tylko na grzbiecie gór świętokrzyskich rosną. Czarownice od Łysicy pochodzące mają ogromną wziętość u współtowarzyszek, rozproszonych po różnych zakątkach kraju, bo one są w ustawicznym sojuszu z diabłem. Im to wyłącznie służy przydomek - ciota bo inne nazywają się widmy, widzmy. Każda ciota może przelać swoją moc na inną nowicjuszkę, ale nie wcześniej, jak na śmiertelnym łożu; dzieje się to wtenczas, kiedy umierająca poda nowej kandydatce swój średni palec do pociągnięcia (Brzezinki)”. W podania, legendy, klechdy o wiekoludach czyli zmachach, o prastarych kościołach, których wybudować zły nie dozwolił, obfitują wsie Leszczyny, Kopcowa Wola, Bieliny, Jachowa i Szczygiełkowa Wola. „Każda prawie wieś tamtejsza ma guślarza, inaczej zwanego wróżem, lub kobietę wróżkę, zabawiającą się guślarskim rzemiosłem. Godność guślarska przechodzi w spadku u mężczyzn: z ojca na

jednego z synów, zwykle pierworodnego, (jeśli do tego uzdolniony), u kobiet: z matki na jedną z córek. Charakter guślarski wyłącznie polega na znajomości pewnych formuł wierszowanych, w których nieraz trudno dopatrzeć się jakiej bądź myśli, a które w pojęciu ludu posiadają moc lekarską, to jest, że wymówione nad złożonym chorobą człowiekiem lub zwierzęciem, przywracają zdrowie. W formułach tych... wspomniane są góry, jak Szklanna góra, Perzowa, Ulianowa, które w czasach pogańskich musiały być przedmiotem czci religijnej. Formuły te... wymagają pewnych przyborów: splotów włosów widełek nietoperza, kawałków odzieży z wisielaka, mchu z krzyża, stojącego na rozstajnej drodze, wody wrzącej, chleba, węgla i t. d. Lud tutejszy wielkim szacunkiem otacza guślarzy i guślarki, uważając ich za swoich dobroczyńców, którzy radzą w różnych okolicznościach, oddalają choroby i różne nieszczęścia od biednego człeka”.

Materiały, gromadzone pracowicie i starannie przez ks. Władysława Siarkowskiego, co do okolic kieleckich są pierwszorzędnej wagi, lecz są niekompletne, stanowią dopiero początek całego zadania. Nie jest to, - co do gwary, - materiał, o który przede wszystkim chodzi, mowa ludzi u podnóża Łysicy i Łysogór, lecz gwara parafian kieleckich, gdyż ks. Siarkowski przez szereg lat był w Kielcach wikariuszem i przede wszystkim mowę ludową wsi najbliższych spisywał. Pragnieniem całego mego życia było wydanie książki zbiorowej p. t. „Nida”, gdzie znalazłyby się materiały z pierwszej ręki i według najnowszych metod naukowych zebrane z zakresu geologii gór świętokrzyskich, - z zakresu hydrografii tych okolic, gdzie byłyby podane na podstawie opisów szczegółowych źródła, strumienie i strumyki i dopływy Nidy, gdyż teraz wszystko jest bałamutne we wszystkich informacjach. W książce tej mogłaby być uwidoczniła roślinność tych okolic, opisane precyzyjne lasy jodłowe, które należy dla przyszłych pokoleń zachować, jako narodowy rezerwat, park małopolski. Następnym punktem miały być wykopaliska pod Wolą Kopcową i Radlinem. Dalej - człowiek historyczny w jego życiu na tym obszarze, osadnictwo początkowe, pochodzenie i historia wsi dawnych. Pierwotne apostołstwo świętego Świerada, Benedyktyni z ich autentyczną historią, Bernardyni u świętej Katarzyny, Bernardynki w tym samym klasztorze, na miejscu Bernardynów, władza i działalność biskupów krakowskich. Gwara ludowa w szczegółowym słowniku, obyczaje, klechdy, podania. Życie mieszkańców tych stron - myśliwskie, pasterskie, rolnicze, przemysły rolne, kopalnictwo, górnictwo, przemysł, miasto.

Życie szarpane w okresie moskiewskiej niewoli nie dało tej pracy ani podjąć, ani wykonać. Dziś jest ona do zrobienia. Dałaby pierwszy może wzór książek do czytania dla wszystkich ludzi w danej okolicy, oraz pierwszy przykład łączenia nauk w całość harmonijną. Dziś rzeczy naukowe są rozszarpane, porozdzielane, niedostępne, jedne dla drugich obce i odtrącające się wyniosłością. Chcąc jakikolwiek szczegół znaleźć, trzeba wertować biblioteki, zdobywać niedostępne wydawnictwa, stać się badaczem. Nikt nie może być oświeconym człowiekiem, który po trudzie zawodowym czyta mądrą, pożyteczną i piękną książkę o swojej ziemi. Badanie okolic kieleckich od Przedborza do Opatowa i od Ilży do Stopnicy powinni zacząć sami kielczanie. Inteligencja, nauczyciele, księża, młodzież. Zbierać słowniki gwarowe w każdym zakątku i przy każdej sposobności, najlepiej podzieliwszy sobie zadanie, jak to czyni znakomity zbieracz Stanisław Ciszewski<sup>21</sup>), gromadzący, na przykład, „Terminy, używane do oznaczenia zagłębień i wydrzeń ziemnych przez lud okolicy Sławkowa i Skąły w Olkuskiem” Każda dziedzina życia ludowego - pasterstwo, rybołówstwo, uprawa roli, myślistwo, przesady, legendy, medycyna ludowa, religijność - ma swe nazwy. Te zbierać, noto-

wać, układać w alfabet, przytaczając ściśle miejsce, gdzie nazwa istnieje. Każda nazwa z podaniem miejscowości przyda się do wielkiej geografii wyrazów prof. dra Kazimierza Nitscha i każda jest przyczynkiem do wielkiego dzieła p. t. „Nida”, które wcześniej, czy później ukazać się powinno. Jeżeli mógł samotny uczony w obcym środowisku, - za co należy mu się od nas niewymowna, narodowa wdzięczność, - wynaleźć strzępek pergaminu pocięty na paski, ocalony z pożarów, z rąk barbarzyńców, z rąk kacapów, którzy go z kraju ukradli i na kraj świata zawlekli, a z tych zuchelków odtworzyć jakoby logarytm prześwietnej i precudnej mowy polskiej trzynastego wieku, to chyba my wszyscy, ludzie wolni, nie skrepowani w naszej pracy niczym, możemy zgromadzić żywą i ogromną mowę ludu, jeżeli nie taką samą, jak tamta w wieku XIII, to najbardziej do tamtej zbliżoną. Jesteśmy na progu wiedzy o naszym narodowym języku, ale nie przekroczymy tego progu, jeśli szeroki ogół nie uświadomi sobie przy dobrej woli konieczności powzięcia i wykonania pracy powszechnej w tej dziedzinie. Zadaniem wiedzy jest poznanie się w swoim jestestwie i możliwość postawienia zasady ogólnej. To zaś, w zakresie, o którym mowa, możliwe jest jedynie za pomocą zebrania, zbadań i celowego zużycia szczegółów. Mamy w przeszłości jedno ogniwo tajemniczego łańcucha mowy narodowej, w próżni wiszące. Drugim ogniwem będzie ta praca zbieraczy, która się winna rozpocząć. Znajdą się nieomylnie ręce, które szepią te ogniwa.

---

1) Słownik języka pomorskiego, czyli kaszubskiego, w Krakowie 1893-4, przez Stefana Ramuła.

2) Rocznik Sławistyczny, wydawany przez Jana Łosia, Kazimierza Nitscha i Jana Rozwadowskiego. Kraków. 1918. Tom VIII.

3) Bolesław Śląski. Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle dawniej i dziś. Warszawa 1917. Z dziejów marynarki polskiej. Poznań 1920. Spław i spławnicy na Wiśle. Warszawa, 1916.

4) Prof. Karol Potkański. „Kraków przed Piastami”. Str. 5.

5) Nazwisko Zagozda oznacza przybysza zza gozdu. Gozd nazwa własna miejscowości obok Łącznej w pobliżu Suchedniowa, w kilku miejscach, z tej i z tamtej strony pasma górskiego powtarza się jako imię pospolite. Oznacza łąkę podmokłą, zakisłą, otoczoną lasem. Przypuszczam, iż musiał istnieć rzeczownik *gozd* dla oznaczenia właśnie takiej niecieczy, kwiecistej, wilgotnej łąki, uroczyska zasłanego trawą. Widać to źródło w nazwie kwiatu- goździk, w nazwie herbie - Gozdawa, w nazwie miejscowości Gozd i Goździków (w Radomskim), wreszcie w nazwie rodowej wieśniaków na krainiejszej górze pod Łysicą - Zagozda.

6) Ks. Józef Gacki. „Benedyktynski klasztor na Łysej górze”. Warszawa 1873. Str. 22.

7) Ks. Kamil Kantak. Dzieje Kościoła Polskiego. Początki metropolii. Gdańsk 1912. Str. 244.

8) Ks. Józef Gacki. Benedyktynski klasztor świętego Krzyża na Łysej górze. Warszawa 1873. Str. 84.

9) Słownik Geograficzny. Święta Katarzyna.

10) Ks. Józef Gałęcki. Benedyktynski klasztor Świętego Krzyża na Łysej górze, Warszawa 1873. Str. 85.

11) Prace Filologiczne. Tom III. Zeszyt I. Warszawa 1889 Str. 704.

12) Prof. Dr Łoś. „Początki piśmiennictwa...” Str. 175.

13) Ks. Józef Gacki. „Benedyktynski klasztor...” Str. 149.

14) Str. 215.

15) Prof. Jan Łoś. „Początki piśmiennictwa...” Str. 176.

16) „Prace filologiczne”. Warszawa 1889 t. III. Str. 716 - 717.

17) Ks. Józef Gacki. „Benedyktynski klasztor...” Str. 29.

18) Zbiór Wiadomości do antropologii krajowej. Kraków 1878, 1879, 1880. t. II, III, IV. Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc. Zebrał ks. Władysław Siarkowski.

19) Mikołaj Rej w Postylli - „Pieniądzy rzekomo w gołą rękę brać nie chce, ale do mieszka daj przedsię”.

20) Zbiór wiadomości do antropologii... Kraków 1879. Tom III. Str. 33.

21) Prace Filologiczne, 1891. Tom III. Str. 71.

## ROZDZIAŁ 9

Jakiż przypuszczalnie mógłby być stosunek literatury „pięknej” do poczynañ ogółu w dziale powiększania słowostanu mowy znanej i dostępnej dla wszystkich? Czy cechować go będzie zupełna obojętność? Czy praca powszechna dla dobra właśnie literatury może się odbywać bez wiedzy, bez udziału, jak gdyby poza plecami literatów? Stworzenie w tych czasach „Akademii Literatury Polskiej” jest niemożliwością wobec absolutnego braku mieszkań i zupełnej obojętności zainteresowanych w tej sprawie, czyli literatów. Ale może żywioły literackie zechciałyby utworzyć Akademię bez lokalu, zapraszając do wygłaszania odczytów tak niezwykle znakomitych pracowników, jak prof. Brückner, prof. Łoś, prof. Nitsch, prof. Rozwadowski, prof. Baudouin de Courtenay. Panowie ci dokonali nadzwyczajnych rzeczy w dziedzinie poznania i rozszerzenia granic języka polskiego, mają w rękę doniosłe prace dla dobra tego języka podjęte, a w sferach literatury „pięknej” szerzy się w dobie obecnej niebывałe barbarzyństwo, widoczne choćby w dziedzinie przekładów z obcych literatur. Obok tłumaczeń niezrównanych, świetnych, równych dziełom oryginalnym, a jednocześnie wchodzącym w skład naszego literackiego skarbcza, dokonanych przez klasyka mowy polskiej Leopolda Staffa, Miriamę, dra Tadeusza Żeleńskiego, Jana Kasprowicza, Stanisława Wyrzykowskiego, Marię Grossek, Józefa Jankowskiego, Antoniego Langego i innych ukazują się istne monstra, straszdyła, przerażające ogromem zbrodni językowych. Byłoby tedy bardzo na czasie zetknięcie się i obcowanie uczonych ze sferą literacką. Mamy świetnych poetów, nadzwyczaj dowcipnych satyryków i prześmiewców, zgrupowanych w czasopiśmie „Skamander”, mamy interesujące i ciekawe grupy młodych pisarzy, wydających czasopismo „Ponowa”, „Czartak”, „Nowa Sztuka”, „Zwrotnica”, a nawet mgławice literackie na prowincji - w Lublinie, Poznaniu, Wilnie. Grupy te nie mają w sobie ani pasji, ani siły, która by przypominała życie poetyckie we Francji, wrzące zawsze od XVI wieku aż do dnia dzisiejszego. Lecz samo ich istnienie może stanowić glebę podatną dla pracy podstawowej nad rozszerzeniem i urobieniem literackiego języka w Polsce. Zgromadzeni na małej przestrzeni miasta, czy miast, w stosunku do ogromów kraju wiejskiego, - piszący dla niewielkiej ilości czytelników miejskich lub dworskich, podczas gdy nieproporcjonalna większość narodu pogrążona jest w analfabetyzmie, w prostactwie upodobań, w parafiańszczyźnie myślowej, w nieuctwie, literaci skazani są na poszukiwanie nowych tematów, ażeby czymś niezwykłym, fajnym, wprost niebывałym zaimponować swej wybrednej klienteli, która już wszelkie „kierunki” przeżuła, wszelkie cudęńki widziała i wszystkim się znudziła. Stąd poszukiwanie cudaczných efektów, chwywanie wszystkiego, co ktokolwiek, gdziekolwiek wymydlkował. Zjawisko to przypomina żywo wystawę „Niezależnych” w Paryżu. Gdy się zwiedziło długie nieskończenie szopy, zawieszone obrazami nadzwyczaj przejaskrawionymi w barwie, ekscentrycznymi w rysunku, najdziwniejszymi w pomyśle i formie, oczy przestawały w ogóle widzieć i odróżniać fenomen

od fenomenu, doświadczały tylko utrapienia i znużenia, a farby drżały we wzroku po prostu, jako pasy, plamy i iskry. Skoro się z tej wystawy nareszcie wychodziło, wzrok z radością i rozkoszą witał nie tylko nieefektywne niebo i pospolite chmury, ale także proste i szczere sosnowe sztachety, grube, mocne, solidne przeszło mostu, zacny stragan z rzeczywistymi jabłkami, fale rzeki, barwę tramwaju i nareszcie nieefektywną, pospolitą i jednostajną masę kamienia. Nigdy wyraz „sztuka” w znaczeniu zabawy w sztukę, mistyfikacji snobów i filutów za pomocą cudactw, nie święcił większego tryumfu.

Nowością niewątpliwą w dziedzinie literatury byłoby, wzbogacenie języka co najmniej dziesięciokrotnie słownictwem gwarowym i starem, nazywającym po imieniu dziesięciokrotnie od naszego obszerniejszy zasób rzeczy, zjawisk, pojęć i czynności, ruchów i odczuwań, które człowiek naszego rodu przez tyle wieków w walce z dziką przyrodą i w trudzie niezmiernym utworzył, wciągając do swojej mowy nazwy tych rzeczy i pojęć. Prof. K. Nitsch utrzymuje, iż „Słownik gwar polskich” Karłowicza jest to zaledwie indeks tych gwar, rodzaj katalogu ludowej mowy polskiej. Jesteśmy tedy w przededniu poznania samych siebie. Jaką byłaby literatura, używająca mowy tak bogatej - któż wiedzieć może? Nie będzie to przecież pismo w jednej jakiejś gwarze lecz mowa wzbogacona o wszystkie dialekty. Pisano już w gwarach poszczególnych, - i to było zrozumiałe, tolerowane, nawet modne. Czemuż miałoby razić wciągnięcie do istniejącego, historycznego języka szeregu, czy szeregów wyrazów gwarowych, niezbędnych dla określenia rzeczy, spraw i pojęć, które się inaczej, niż wyrazem ludowym określić nie dadzą. Nie idzie również o to, ażeby stronice wyrazów nieznanymi wpakowywać do istniejącego języka i niezrozumiałym go czynić dla osób, nie znających dawnej gwary, pochodzących z miasta, lub okolic uprzemysłowionych. Jeżeli jednak można było w ciągu wieków przyswoić sobie sześć tysięcy wyrazów niemieckich, dwa tysiące czeskich i innych niemało, to i tych rodzimych łatwo będzie wyuczyć się przy dobrej woli i odrobinie pobłażliwości dla literackich wyskoków. Wyrazy te będą napływały same. Wyrazy niemieckie, zakwaterowane w naszym języku, same przyschną, gdy ich się nie będzie zbyt zajadle używało. Nikt już nie zdoła wydrzeć z języka cegły, ani zerwać dachu, bo niema co na ich miejsce postawić, lecz są wypadki szczególne, kiedy można wyraz niemiecki skutecznie polskim zastąpić. Oto przykład. W zamku kieleckim, wzniesionym przez możnych krakowskich biskupów, istnieje sala wspaniała, ozdobiona portretami władców niegdyś tej okolicy i tego pałacu. Sala jest to wyraz niemiecki. W starym języku polskim istniał wyraz *samborza*, oznaczający to samo, co sala. Taka niezwykła, dostojna świetlica, obejmująca z łatwością dwa gimnazja, mnóstwo urzędników i słuchaczy, gdy nas w dniu rocznicy Cyryla i Metodego usiłowano tam właśnie manić po moskiewsku na jakiś kacapski słowianofilizm, - mogłaby nosić, choćby w tym jednym wypadku, miano *samborza*. Jest w przeszłości imię Sambor, nazwa miasta Sambor, nazwa wsi Samborzec, może istnieć nazwa jednej sali zamku w Kielcach - *samborza zamkowa*. Ale i wielka izba sejmowa mogłaby nosić miano *samborza*. Czy nazwa *izba*, oznaczająca biedne pomieszczenie w chłopskiej chałupie, nazwa o niesłowiańskim pochodzeniu i stanowiąca najniewłaściwsze tłumaczenie terminu francuskiego *chambre* jest odpowiednią dla zbiorowiska kilkuset posłów sejmowych? I to jest *samborza sejmowa*. Co więcej - „gabinet ministrów” jest terminem bardzo niewłaściwym, gdyż wyraz *gabinet* ma rozmaite znaczenie, nie wyłączając jednego o niedyspozycyjnym charakterze. Tymczasem istnieje prasłowiański termin *trzem*, oznaczający pokoje górne, tajemne, niedostępne. Nie powinno by się mówić „gabinet ministrów”, lecz „trzem pełnomocników” bo i słowo minister

jest wyświechtanym liczmanem europejskim, podczas kiedy pełnomocnik jest naszym własnym i przepysznym rzecz malującym określeniem tego urzędu. Mówi się nawet o ambasadorze, czyli pośle: minister pełnomocny. Tak tedy wysokie urzędy nasze mogłyby otrzymać polskie nazwy: 1) naczelnik, 2) pełnomocnik, 3) trzech pełnomocników, 4) samborza poselska. Za czasów Stanisława Augusta mówiono jeszcze *sesya*, a wkrótce potem sesja uschła i weszło w użycie - posiedzenie. Mogłoby to samo być teraz z samborzą, trzemem i pełnomocnikiem. Mogłoby, - lecz stoi na przeszkodzie najtkliwszy ze snobizmów, snobizm urzędniczy, któżby się zdołał wyrzec tytułu - „pan minister” i zamienić to na ordynarne określenie „pełnomocnik”? Jak w Anglii, według świadectwa Tackeray’a, ciało i krew zmusza snobów do naśladowania lordów, tak u nas ciało i krew zmusza nas do naśladowania zagranicy. Tak tedy będziemy mieli w dalszym ciągu nienaruszony „gabinet ministrów”. Podobnie - w literaturze będziemy mieli w dalszym ciągu wdrażaną świadomie w utwory literackie teorię nonsensu. Zabawne to jest widowisko, gdy teoretycy, propagujący wdrażanie w utwory literackie nonsensu piszą długie i najskrupulatniej logicznie sformułowane wywody o konieczności pisania nonsensów. Praca ta jest najzupełniej zbyteczna. Wybijają oni drzwi otwarte. Poezja, osobliwie liryczna, jest, była i będzie ufundowana przede wszystkim na nonsensie. Od piosenki żniwiarza na polu do liryki Stefana Mallarmé’go, a od tych liryk do nowel i liryk Edgara Poe’go, ba - do epepei o Orlandzie Szalonym, - do Boskiej Komedii i Dziadów - wszystko, po prawdzie, jest grubym nonsensem. Poezja nie wypływa z logicznych przesłanek, lecz z nielogicznych emocji, z nieświadomych wzruszeń, z cierpień, z ekstaz, marzeń, snów, dywagacji, obłądów. Po cóż udowodniać, iż poezja musi być nielogiczną, skoro ona nie może być inną? Czasami utwór liryczny ma swą szczególniejszą wierność, pasuje do czegoś, - na przykład, do szalonego, obłąkanego bicia serca i w słowach bezładnych, nieświadomie, bezwiednie o tym, odtwarza bicie serca, - jak ten oto wiersz rosyjskiego poety:

*„Ja cielował jejo,  
Ja jej skazał: pridiosz?  
- Da - da, pridu. -  
I niet jeja i gasniet swiet  
I nocz’ nieprewozmocz’...  
Niet - niet! Kuda idti mnie, gdzie kanut’?  
Niet - niet!”*

Jakiż „sens” zawiera się w żalonych wylewach, najzupełniej logicznego w swych przejawach, w swym rozwoju, w swych wybuchach uczucia tęsknoty u naszego wielkiego poety?

„Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,  
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie,  
Spójrzę w lecące po niebie łabędzie,  
I tam polecę, gdzie one polecą”.

Lecz jakikolwiek brak logicznego sensu zawierałby w sobie utwór poety, słowo jego było aktem logicznym, skoro stosowało się do zasad niezłomnych, którym podlega nieświadomie mowa człowieka. Słowo, umieszczone we właściwym miejscu, w obrębie zdania, zbudowanego należycie, cokolwiek by wyrażało, było ostoją rozumu. Wyrwane ze zdania, jak to czyni Marinetti i jego naśladowcy, jest jak roślina wyrwana z ziemi.

Połączone znakiem dodawania z innymi słowami, nie wyraża żadnej elektryczności zjawisk, jak mniema włoski futurysta, lecz tworzy stosy bezładnego i zwiędłego chwastu, a nawet kupy nawozu. Słowo jest tajemnicą, piękną, bytem subtelnym. Ma swe dzieje głębokie, w otchłani czasu zgubione. Słowo - przysięga - oznacza sięganie, przysięganie ręką do ognia, lub do sztaby rozpalonego żelaza, później do krzyża miłosiernego Chrystusa, na świadectwo prawdy. Słowo- oszołomiony - oznacza człowieka, który po raz pierwszy przywdział *szolom*, hełm żelazny na głowę i nie bardzo jest pewny siebie z niepomiernym na ciemieniu ciężarem. Okrzyk - pal go sześć! - to rozkaz sędziego do kata, ażeby przypiekał po raz ostatni, po czym następowała przerwa, zdjęcie z koła cierpień. A ileż takich tajemnic zawiera każdy rzeczownik, każde nasze słowo! Przeznaczone do doskonalenia się w znaczeniu estetycznym, do nabierania mocy, zapachu, barwy, jak kwiat od starannej uprawy i pielęgnowania, - do przeistaczania się w dźwięk muzyczny, skoro się połączy na zasadzie prawa doboru z innymi słowami, poszukującymi tegoż doboru, ażeby wydać najżywszą piękność, harmonię naśladowczą, - spychane jest do rzędu osamotnionych świstów, lub zgrzytów. Poezja, wielkie spoidło osamotnionych ludzi na ziemi, wielka pociecha dusz nieszczęśliwych, staje się nieszczerością, udawaniem, powtarzaniem, fałszem - i nie może liczyć na odczucie intelektu najbardziej skłonnego do najchętniejszego odczucia.

Dzieło artysty uzupełnia się przez zrozumienie go i odczucie. Jakież może być odczuwanie utworów, które są jedynie produktem snobizmu i jedynie na snobów liczą? Chcąc myśleć, czuć, wzruszać się przy czytaniu, trzeba sięgać do dzieł nieliterackich, pozaliterackich. Tam się, o dziwo! znajduje poetyckie wzruszenie. Alboż nie jest książką pełną poezji wielkie dzieło prof. Ludwika Birkenmajera o Koperniku, - gdzie wszystko jest przedziwnie potrzebne, jasne, ściśle, wydobyte z nicości, wyrwane z próżni, wyszperane z niewiedzy, z ciemnoty, myślą wyćwiczoną i mądrą dosięgnięte w roku czasów? Ażeby podjąć dzieło takie, jak zbadanie geniuszu Kopernika, wyśledzenie dróg jego myśli, sposobów jego odkryć, samotnych jego mocowań się z opornym wszechświatem i wzlotów aż do siedliska tajemnicy, trzeba posiadać tyleż zapewne pasji, nieustającej podniety, furii wewnętrznej i natchnienia wysokiej miary, co do napisania poematu, dramatu, lub powieści. Alboż nie zawierają poezji pisma Tadeusza Wojciechowskiego, gdzie się pospołu z nim odzyskuje wzrok sowy, czy kota i widzi coś niecoś w dali zagasłej, gdzie już nic niema dla wiedzy? Z luźnego wyrażenia kronikarza, przez umiejętne zestawienia i pracowite porównania, od znanych do mniej znanych zjawisk, jak od uderzenia krzesiwa o krzemień, iskra błyska i przez chwilę oświeca mroki. Czyż nie są pełnymi poezji pisma Karola Potkańskiego, gdy bada, roztrząsa, gdy sądzi? Gdy sądzi sprawę Wincentego z Szamotuł, czyni to z takim samym ogniem ducha, sprawiedliwością, z taką samą oględnością i ostrożnością gentelmana, jakby rozstrzygał posądzenia straszliwe żywego człowieka i honor jego w ręce piastował. Poezja ta wytryska z olbrzymiej pracy, z jasności myśli, z surowych naukowych zasad, a nade wszystko z tej głównej zasady - nowości i postępu, którą każde z tych pism zawiera, szerzy i którą oddycha. Czyż nie jest poezją tworzenie niewątpliwej prawdy filozoficznej, ujmowanie w ostateczny, nieodmienny syllogizm zasady, długo wewnątrz ważonej i opracowywanej? Zmarły niedawno myśliciel Edward Abramowski mówił, iż znalezienie pewnych formuł dla pewnych prawd dawało mu chwile zachwyty, chwile szczęśliwe, które poeci nazywają w swym słownictwie natchnieniem.



## ROZDZIAŁ 10

Tyle złego powiedziawszy o snobizmie, należy w chwili rozstania się rzucić mu i cieplejsze słowo. Jeżeli postęp podobny jest graficznie do linii prostej, to snobizm przypominałby swym kształtem linię falistą, na płask rozpostartą, błędzącą we wszelkich kierunkach dookoła linii prostej, swojego wzorca. Snobizm nasycy nową treścią jałowe pustki, zakamarki, schowki, dziury, wypełnia nową bądź co bądź modą najobskurniejsze podwórka barbarzyństwa, oświeca zapadłe ścieżki i drożyny banalności, stroi najostatniejszą parafianiszczynę w szateczki inne, niż przedtem nosiła, aż do odwołania przez obrzydzenie powszechne i wybuch nowego naśladownictwa. Snobizm jest postępowaniem dusz wtórnych, jałowych, martwych w sobie, ryf, kołków, naśladowców. Nie należy snobizmu do szczętu wytrzebiać, aby snadź nie został sam szczyrek bezdenny i sam ugór, samo jeno barbarzyństwo. Należy go jednak oświecić latarniami Thackeray'a, żeby się znowu zbyt nie rozbijał w Sarmacji i po wawrzynowy liść postępu nie sięgał.

Błogosławiony jest postęp nieustanny, nieustępliwy przed niczym, dokładny, ściśle świadomy swego rozwoju i biegu, postęp, który się zaczął w naszej ojczyźnie z chwilą wyzwolenia jej z obcej niewoli! Mało go jeszcze, jak mało szczerego złota w skarbcu polskim. Ale się z dnia na dzień powiększa, jako i złoto. Postęp nie może się zamknąć w żadnej doktrynie, wyrzywa się z objęć każdej, szukając w swych przemianach formy coraz doskonalszej, a zużywszy poprzednią, przeistacza się w inną, bardziej zbliżoną do wzorca wyśnionego. Nie może się zmieścić w szrankach żadnej politycznej, czy społecznej partii, gdyż jego zadanie polega na przekształcaniu człowieka, skrepowanego powrozami doczesności, na ducha wolnego, syna bożego i brata synów bożych. Nie może się zamknąć w granicach jednej warstwy społecznej, jednej kasty i jakiegokolwiek zespołu, - nie poprzestaje nawet na jednym narodzie, lecz narody ościenne, które w dziejowym zazębieniu się o naród polski w granicach Rzeczypospolitej zostały, obejmuje w jedno wspólne pracowisko. Nikogo nie spycha w dół, nikogo nie strąca do ciemnicy, zalanej krwią ofiar, wszystkim na oścież otwiera ten sam ustrój, zagarnia w kluby tego samego rozwoju, który zdąża w kierunku najlepszego stanu posiadania. Postęp ma własność światła, biegnącego w dal wiekuiście i ma naturę linii prostej, która w swym niepowstrzymanym rzucie naprzód nigdy i nigdzie niema końca. Etapami jego drogi są - praca wspólna w jasności dnia, dźwiganie wszystkiego ku dobremu, poświęcenie dla dobra braci, ofiara ze siebie i bohaterstwo, bohaterstwo tak wspaniałe, wielkie i wzniosłe, jak hetmana Żółkiewskiego i tak ciche, pokorne i nikomu nieznane, - *nobilitas* najwyższej miary, - jak Włodzimierza Koniecznego.